

Lengyel Peter — Druga planeta slonca OGG
Péter Lengyel

Druga planeta słońca OGG

Tytuł oryginału: Ogg második bolygója
Przełożył Tomasz Kulisiewicz

POWRÓT

1

Zaczęło się to dwa i pół tysiąca lat temu. Igo–Vandar siedział samotnie w bibliotece mikrofilmów statku. Prawa ręka niepewnie zawisała nad szeregiem przycisków pochyłego pulpitu. Oprócz małego ekranu pulpit zawierał dwa rzędy przycisków oznaczonych różnymi kolorami. Wreszcie nacisnął środkowym palcem zielony przycisk. Lewą ręką sięgnął w kierunku drugiej grupy klawiszy rozmieszczonych półkuliście. Czternaście przycisków tej grupy oznaczonych było symbolami. Nacisnął w krótkich odstępach cztery z nich. Dały się słyszeć delikatne trzaski, a potem na prostokątnym ekranie pojawił się olśniewająco jasny srebrny punkt. Błyskawicznie rozszerzał się, jednocześnie bladł, aż zamienił się w kulę. W jej środku pojawił się następny punkt, który także się rozszerzał. Rozszerzające się kule zaczęły zmierzać w stronę krawędzi prostokąta. W chwili gdy pierwsza z kul wyłynęła poza granice ekranu, pojawiło się na nim obracające się ciało niebieskie. Obracało się coraz wolniej aż do chwili, gdy było już wyraźnie widać, że jest to planeta z niebieskimi oceanami i dwoma ogromnymi, zielonymi kontynentami. Okolice biegunów pokrywały białe czapy lodu. Obrót planety na ekranie ustał. Igo nacisnął kolejne klawisze na pulpicie. Kulę pokryła sieć schodzących się na biegunach południków. A więc to jest Eela.

W nieskończonej czerni wszechświata, niezliczenie wiele lat świetlnych od Eeli i zbliżającego się do niej statku, na dalekiej planecie stał kanciasty, ponury budynek o stromych ścianach, obcy wszelkim ludzkim proporcjom. Jego szczyt ginął w postrzępionych wiatrem chmurach.

W ścianie budowli nie było żadnych okien.

W pewnym sensie w tej samej chwili, kiedy Igo–Vandar oglądał na pokładzie statku mapę Eeli (w pewnym sensie, gdyż czas jest za bardzo złożony, by można go było określić tak prostymi wyrażeniami) z sąsiedniej planety układu błysnęła w stronę budowli zwarta wiązka promieni. Układ zawierał trzy planety — promienie biegły z planety drugiej. We wnętrzu ogromnej budowli, dokąd nie docierała najmniejsza odrobina światła, włączył się na ten sygnał jeden z obwodów bioelektrycznych. Na wydany przez niego rozkaz u podstawy jednej z sięgających nieba ścian odsłonił się prostokątny otwór. W martwej ciszy wysunęła się przezeń płaska płyta. Po krótkiej przerwie z niesłyszalnym dla ludzkiego ucha dźwiękiem wypadła na płytę maszyna.

Od tej chwili pamiętała, musiała pamiętać. W jej pamięci zapisywała się całkowita ciemność, metalowa płyta, na której spoczywała, jej gładkość, twardość, wymiary oraz skład chemiczny. W jej pamięci pozostawały wszystkie wymiary hali budowli. Rozpoznała typ, zakres fal oraz natężenie następnego promienia przesłanego z planety drugiej. Obserwowała, zapisywała, mierzyła, oceniała, niezależnie od jej maszynowej woli, gdyż takie było jej przeznaczenie.

Jej pancierz był niezniszczalny, niepokonywalny przez działania sił znanych i nieznanymi, odporny nawet na eksplozję nuklearną.

Na rozkaz przesłany drugą wiązką promieni w kierunku maszyny ruszyły w ciemności masywne konstrukcje automatów. Błysnął inny promień świetlny, o kwadratowym przekroju.

Z budowli popłynął w stronę planety drugiej automatyczny raport — w kodzie obcym wszelkiej ludzkiej myśli — o mniej więcej następującej treści: „AFX 4 013 697 gotowy do testu. Test dla maszyny numer 0716. W sektorze kosmicznym numer 82 wykonuje zadanie maszyna

numer 2100 01. Z powodu wzrostu odległości utracono łączność z maszyną numer 0092”.

Planeta druga odpowiedziała pojedynczym błyskiem potwierdzenia.

W czarnym wnętrzu hali zgasł promień światła. Kanciaste roboty sunęły gładko w ciemności w kierunku maszyny. Ich ramiona podsunęły się pod nią, przyssawki przypadły do gładkich powierzchni. Uniosły ją i przez odsuniętą płytę ściany wyniosły pod liliowoczarne chmury.

Maszyna wszystko obserwowała, mierzyła, oceniała i zapisywała — wszystko, co zauważyła w swoim otoczeniu, gdyż była do tego przeznaczona. Do tego, ale nie tylko.

W dalekiej części kosmosu, do której statek zbliżył się już na odległość ułamka roku świetlnego, wokół słońca układu krążyła ze swoimi dwoma księżycami Eela.

Jeden z księżyców był mały, nie miał atmosfery, z pustynną, skalistą, poszarpaną powierzchnią był właściwie niewiele więcej niż asteroidą.

Na większym księżycu pozostało jeszcze trochę atmosfery, a wznoszące się w okolicach równika całe miasto metalowych budowli, ogromnych przezroczystych kopuł, hal i magazynów oraz leżący niedaleko kosmodrom — wszystko to wskazywało, że na tym księżycu stanęła już noga człowieka Eeli.

Budynki, kopuły, obserwatoria były ciemne. W kilometrach sieci przewodów miasta nie płynął prąd. Ogromne parasole anten sterczały bezmyślnie, nie śledząc przesuwającej się po nieboskłonie Eeli. Kosmodrom był wymarły. Na całym księżycu nie było żywego ducha.

Po drugiej stronie księżyca, na półkuli przeciwnej miastu, na wulkanicznym płaskowyżu widniał ogromny krater. Jego kształt wskazywał na to, iż pochodzi od wybuchu bomby jądrowej nad powierzchnią księżyca. Krawędzi poszarpanych wybuchem skał nie zdążył jeszcze całkiem wygładzić czas.

Na trzeciej planecie gwiazdy Sol, zwanej Terra, Imperium Rzymskie świętowało ostateczne pokonanie Kartaginy.

Igo-Vandar siedział długo bez ruchu przy pulpicie czytnika i myślał o Eeli. Ta niewielka, nie wyróżniająca się niczym planeta krążąca samotnie wokół jednego z karłów galaktyki będzie odtąd jego domem. Mimo to właśnie cywilizacja, powstała na tej drobinie, dała mu wiedzę o istnieniu galaktyki i trochę wiadomości o tym, co jest poza nią. Uśmiechnął się w duchu, bo zdał sobie sprawę, że kiedy myśli o Eeli, właściwie zawsze wyobraża sobie wygodnie urządzone, przestronny statek kosmiczny. Wiedział już, że on nie pozostanie tam w dole. Tylko jedno działanie jest godne człowieka: poruszać się, poszukiwać, widzieć nowe rzeczy. Całe życie przeżyłem w przestrzeni kosmicznej. Zostać tam znaczy dla mnie to samo, co dla nich spędzić całe życie w jednym pomieszczeniu.

Potem przemknęła jeszcze jedna myśl: wszystko, co wie o Eeli, jej miastach, technice, nauce — wszystko to stanie się historią, kiedy tylko dotkną ziemi.

Zerknął na zajmującą całą boczną ścianę tablicę chronometru. Na tablicy widniał czas pokładowy: pięćdziesiąt dziewięć lat, trzynaście miesięcy, jedna doba i dwanaście godzin.

Jeszcze godzina i obudzą się, pomyślał. Wtedy już nie będzie sam, możliwe, że już nigdy nie będzie sam. Za dwa miesiące wylądują na księżycu Eeli i on opuści statek. Z tym właśnie było mu się najtrudniej Pogodzić: z tym, że może nigdy już nie zobaczyć znajomych korytarzy, sal, laboratoriów, pomieszczeń, w których spędził całe życie, że nie będzie już ogromnego iluminatora na najwyższym poziomie, skąd tyle razy godzinami patrzył w swojską, gwieździstą ciemność wszechświata.

Otoczą go ludzie, pędzące dokądś setki tysięcy żywych, będących na jawie ludzi. Zobaczy starców i dzieci, takie same, jak on w dawnych latach.

Spojrzał na widniejącą na ekranie planetę. Znał zarysy jej kontynentów. Znał geografie Eeli

lepiej, niż mógł ją znać jakikolwiek dwudziestolatek w czasach, kiedy wyruszała wyprawa. Znał widok wszystkich jej rzek, gór, nizin, miast — znał je z książek. A teraz jeszcze tylko dwa miesiące i znajdzie się tam.

Jeszcze godzina do ich przebudzenia.

Palcem prawej dłoni nacisnął czarny przycisk kasowania. Obraz zniknął, potem ekran wypełniła bladozielona kula, która następnie zmaląła, aż skurczyła się do srebrnego punktu. Punkt zatrzymał się na ekranie na chwilę i zniknął z lekkim trzaskiem, słychać było jeszcze przez chwilę słaby szum, z jakim układy czytników rozłączały połączenie z kryształami pamięci.

Wstał z krzesła. Wiedział, że w tym momencie na długo kończy się jego spokój i czas cichej zadumy. Czekają go tygodnie wyteżonej pracy aż do chwili dotknięcia ziemi.

Wyszedł na zalany zielonkawym, opałowym światłem korytarz. W miękko wyściełanych ścianach po obu stronach otwierały się drzwi bezludnych jeszcze teraz pomieszczeń jadalnych, sypialnych i dziennych. Korytarz rozszerzał się na końcu. W przeciwległej ścianie małego hallu znajdowały się drzwi sześciu szybkich wind. Nad drzwiami windy numer jeden palił się prostokątny fioletowy sygnał. Przeszedł wzdłuż pięciu pozostałych wind, włączając je wszystkie po kolei. Teraz znów będą wszystkie potrzebne. Potem wsiadł do pierwszej i skierował ją w dół, na przedostatni poziom.

Tam, naprzeciw rzędu wind, były tylko pojedyncze drzwi. Wyszedł na korytarzyk. Rzucił machinalne spojrzenie na tablicę kontrolną. Dziewięćset umieszczonych w trzydziestu rzędach lampek świeciło zielonym światłem, z wyjątkiem dwóch. Wszystko było w porządku. Pod dwoma białymi lampkami w pierwszym rzędzie widniały nazwiska jego ojca i matki. Numery trzy i siedemnaście.

Biel była na Eeli kolorem żałoby.

Usiadł przy ekranie czytnika i zagłębił się w studiowaniu raportu pracy. Pierwszy i tym razem obudzi się Uri-An, dowódca statku Sala pierwsza, komora pierwsza. Następny będzie Nordeng-O', kierownik wyprawy. Sala pierwsza, komora druga. Numer trzy już się nigdy nie obudzi. Elk-O' miał pogrzeb astronauty: hermetycznie zamknięty plastikowy pojemnik z jego prochami mknie teraz jako mała sztuczna asteroida gdzieś między dwoma obcymi układami słonecznymi.

Po nich w sześciominutowych odstępach będą się budzić kolejni członkowie wyprawy — najpierw lekarze i biolodzy, by w razie jakichś kłopotów pomóc innym. Szybko przeliczył: dziesięciu ludzi na godzinę, czyli łącznie dziewięćdziesiąt godzin. A więc upłyną niemal cztery doby, zanim cały proces się zakończy. Harmonogram był przygotowany z uwzględnieniem tych czterech dni. Pośród budzonych w pierwszej kolejności są ci, których czeka najwięcej pracy przy lądowaniu: atronawigatorzy, radiowcy, historycy, psychologowie i antropolodzy oraz inżynierowie pokładowi.

Jeszcze raz sprawdził dane ostatniego okresu lotu. Czas: dziesięć lat i dziewięć miesięcy. Przebyta droga: trochę ponad trzydzieści dwa lata świetlne. Tor lotu według planu, z jedną drobną poprawką, która miała na celu ominięcie strefy przyciągania gwiazdy—olbrzyma. Odległość od Eeli w chwili zakończenia budzenia załogi: dwie dziesiąte roku świetlnego.

W dolnej części pulpitu kontrolnego zapaliła się pozioma lampa sygnalizacyjna i po chwili zgasła. Trzy minuty do rozpoczęcia operacji. Od tej chwili wydarzenia toczyły się z błyskawiczną prędkością i nie pozostało wiele czasu na rozmyślanie.

Zajrzał do pierwszej sali. Po obu jej stronach w trzech rzędach stały zasobniki w kształcie trumien z przezroczystymi ścianami — po piętnaście w rzędzie.

W każdym zasobniku leżał na plecach człowiek. Z ust oraz z metalowych opasek na przegubach rąk i kostkach nóg biegły cienkie przewody do tablicy umieszczonej przy głowie. Wszyscy śpiący — zarówno kobiety jak i mężczyźni — ubrani byli w jednakowe kombinezony,

wykonane z praktycznie niezniszczalnego tworzywa, noszone również w krótkich okresach przebudzenia, w czasie pracy.

Igo nigdy nie widział w mikrokryształach pochodzących z Eeli takich twarzy, jak ich — malowały się na nich niezwykle spokojny i pogodny, jakby odzwierciedlała się świadomość płynięcia ponad minionymi stuleciami, powołanie, bezprzykładne poświęcenie i duma z wielkiej przygody ludzkości. Dla Iga to były prawdziwie ludzkie twarze. Zauważył, iż były one takie przez cały czas: podczas miesięcy pracy, w nierzadkich w ciągu tych lat chwilach niebezpieczeństw. Taką zapamiętał twarz ojca, jedyną twarz, na której w samotności minionych lat widział oznaki starzenia się i zmian.

Na znajdującym się w sali wtórniku tablicy kontrolnej dwukrotnie błysnęła lampka sygnalizacyjna. Upłynęły dwie minuty. Dało się słyszeć ciche brzęczenie. Widział, jak tuż przed nim rozpoczęło pracę wbudowane w ścianę skomplikowane urządzenie, którego zasady działania znał jak własne pięć palców, tak zresztą, jak wszystko na tym statku.

W tej samej chwili coś się zmieniło w delikatnych przebiegach prądów płynących w przewodach podłączonych do pierwszego z budzących się ciał. Nad „trumną” Uri–Ana włączył się mały zegar odmierzający czas od momentu przebudzenia. Pokazywał teraz minus dwie minuty. Chłopiec stanął przy pojemniku—leżance. Widział, jak przez twarz dowódcy przemknął niemal niezauważalny skurcz. Ruszyły procesy życiowe, a ściślej wróciły do normalnej prędkości. Igo czekał. Po dwóch minutach, kiedy wskazówka sekundowa dotarła do punktu zerowego, Uri otworzył oczy. Nie miał jeszcze siły, by mówić lub ruszać się. Jego spojrzenie zwróciło się z pytaniem w stronę chłopca.

Ten spóźnił się trochę z kiwnięciem głową, oznaczającym, że wszystko w porządku. Uri bardzo powoli i z widocznym ogromnym wysiłkiem zwrócił wzrok na wielką tablicę kontrolną sali. Jego głowa była w dalszym ciągu nieruchoma. Tablica była umieszczona tak, by każdy z budzących się mógł ją od razu obserwować. Igo podążył wzrokiem za spojrzeniem dowódcy, które zatrzymało się na świecącej białym światłem lampce numer trzy. Uri znów spojrzał na chłopca, którego ostatnio widział jako dziewięcioletnie dziecko — on sam bowiem nie starzał się przez lata spędzone w „trumnie” — a potem zmęczony przymknął oczy. Ile lat mógł tak sam żyć na statku? Kiedy umarł jego ojciec? Dowódca żegnał się z nim jeszcze na początku ostatniego okresu. Elk–O’ miał wtedy sześćdziesiąt lat, więc wcale nie było takie oczywiste, że dziesięć lat później nie znajdzie go już między żywymi. Miał nadzieję, że ojciec chłopca zmarł śmiercią naturalną.

Zegar nad pojemnikiem pokazywał już plus trzy minuty, kiedy dowódca poczuł, jak najpierw w lewej, potem w prawej ręce, w obu nogach, a wreszcie w całym ciele wraca mu obieg krwi. Chłopiec stał nad nim nieruchomo. Pierwszą rzeczą i może najważniejszą, jakiej się nauczył, było to, że każda ingerencja w pierwszych chwilach powrotu do życia grozi śmiercią budzącego się. Czekał. Urządzenia były tak skonstruowane, że nie mogły się same wyłączyć. Dopiero kiedy budzony człowiek miał już dość siły, by wyjąć z ust i poodpinać sobie z rąk i nóg przewody, dopiero wtedy urządzenie pozostawiało go działaniu jego własnych prądów czynnościowych.

Nadeszła wreszcie i ta chwila. Uri powolnym, niemal sennym ruchem podniósł prawą rękę i wyciągnął z ust metalową końcówkę przewodu. Upłynęło jeszcze pół minuty, zanim się odezwał.

— Ojciec? — spytał, patrząc na Igo.

Chłopak tylko wskazał gestem białą lampkę.

— Kiedy? — spytał Uri, podnosząc się przy tym bardzo powoli z pozycji leżącej.

— Już ponad rok temu.

— W jaki sposób?

— Umarł. Umarł cicho. Powiedział, że to ze starości. Nie chorował. Zostawił dla ciebie, Uri–

An, wiadomości na dwóch mikrokryształach. Są w twojej kabinie. Powiedział, że i mnie zostawia tobie.

Uri odłączył przewody z przegubów rąk, stanął na nogach przy otwartym z jednej strony pojemniku i pogładził czarne jak smoła włosy chłopca. Tym na razie załatwił problem. Nie ma teraz czasu zajmować się niczym prócz statku. Wyzwalając się szybszymi z minuty na minutę ruchami z ostatnich taśm i przewodów patrzył już cały czas na tablicę kontrolną.

Na mapie gwiazdnej krzyż, określający zakładaną na koniec tego okresu pozycję statku, pokrywał się dokładnie z wędrującym świetlistym punktem oznaczającym aktualną rzeczywistą ich pozycję. To było najważniejsze. Wszyscy ludzie — prócz dwojga — żyją i grozi im jeszcze tylko praktycznie równe zero niebezpieczeństwo niepowodzenia tego ostatniego budzenia. Był niemal pewny, że z tym nie będzie żadnych kłopotów, tak jak nie było ich przy poprzednich sześciu budzeniach — jeśli nie liczyć kilku przypadków przejściowych niedyspozycji, wyleczonych w ciągu paru dni.

Myśli Uriego zajmowały już praktyczne problemy lądowania. Kiedy wstał, mały zegar nad jego pojemnikiem wskazywał plus siedem minut. Zegar sam się wyłączył po upływie następnego siedmiu. Nad „trumną” numer dwa wskazówka doszła do zera i kierownik naukowy wyprawy, Nordeng-O’, otworzył oczy. Proces powrotu do życia zaczął się prawidłowo.

2

Dwie zewnętrzne windy dotarły z góry i z dołu na dziewiąty poziom niemal równocześnie. Z otwierających się drzwi wind wysypały się na korytarz małe grupki ludzi. Spośród zjeżdżających z góry pierwszy wyszedł Uri. Nagle zatrzymał się i krzyknął:

— Yunnar-Den!

W drugiej grupce błyskawicznie odwróciła się młoda szatynka. Chwilę stali nieruchomo, a potem skoczyli ku sobie z otwartymi ramionami. Wsiadający z nadjeżdżających wind z uśmiechem odwracali się dyskretnie na widok dowódcy statku, obejmującego kierowniczką grupy psychologów. Wszyscy pamiętali, że ta dwójka trzeciego dnia wyprawy ogłosiła, że zawiera bezterminową umowę małżeńską i wszyscy z radością obserwowali teraz, że umowa ta okazała się trwała.

Całe zdarzenie nie było czymś wyjątkowym na ożywających na nowo korytarzach statku. Z góry ustalony porządek budzeń nie mógł się dostosowywać do zawieranych w trakcie wyprawy dłuższych i krótszych umów, wiele par mogło się więc spotkać dopiero teraz, kiedy po raz pierwszy wszyscy zgromadzili się w sali na poziomie dziewiątym.

Kiedy Uri oddalił się pospiesznie, wysoka blondynka zawołała Yunnar. Dotknęły się na powitanie nosami.

— Wytłumacz mi — zaczęła kobieta — dlaczego czuję się tak, jakbyśmy się nie widziały przez całe lata? Jakbyśmy były teraz mądrzejsze i starsze?...

Kontynuowały rozmowę tam, gdzie ją przerwały dziesięć lat (a może godzin?) temu. Tymczasem z delikatnym brzęknięciem nadjechały z obu kierunków ostatnie dwie windy.

Obok rozmawiających kobiet przeszedł w stronę drzwi sali młody chłopak. Pozdrowił wyższą z nich szerokim uśmiechem. Yunnar spojrzała za nim:

— Kto to? — spytała.

— Igo-Vandar — odpowiedziała blondynka. — Ten mały chłopczyk, pamiętasz?

— Rzeczywiście, głupia jestem — odparła Yunnar zamyślając się na chwilę. — Wygląda na

to, że masz jednak powód, by odczuwać mijające lata. Zrobił się z niego dorosły mężczyzna.

— Został sierotą. Wiesz o tym?

— Elk-O' umarł?

— Rok temu.

— O ile dobrze wiem, to Igo jest jedynym człowiekiem, który urodził się poza układem planetarnym — stwierdziła Yunnar.

— Na pewno pierwszym, przynajmniej z punktu widzenia przyjętej przez nas rachuby czasu.

Dołączył do nich któryś z przed chwilą przybyłych mężczyzn. Kiedy we trójkę ruszyli do sali, z ust jednego z nich musiało za chwilę paść pytanie, jeszcze nie wymówione, ale krążące w powietrzu we wszystkich korytarzach i salach statku. — powiedziała zamyślona Eli-Vend, wysoka blondynka — Jeszcze tylko dwa miesiące i jesteśmy w domu.

To Yunnar spytała pierwsza:

— A co nas czeka na Eeli?

Naradę prowadzili Nordeng i Uri. Miejsca na sali zajmowało pięćdziesięciu ludzi należących do budzonych według planu w pierwszej kolejności. Brakowało jeszcze kilku inżynierów, radiowców oraz lekarzy, którzy pracowali na dole, na przedostatnim pokładzie: do budzenia było jeszcze dwadzieścia osiem sal. Lekarzy reprezentował Nagur-Den, kierownik grupy. Igo siedział na miejscu oznaczonym numerem siedemnastym, na miejscu swojej matki.

Przed rozpoczęciem narady Nordeng przycisnął klawisz wywoławczy na pulpicie i spytał zwracając się w stronę ekranu:

— Czy Eela jeszcze się nie zgłosiła?

Na małym ekranie pojawiła się twarz człowieka w hełmie:

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— Wzywajcie dalej — rzucił Nordeng. Wyłączył ekran i zwrócił się do sali. Odczekał chwilę, aż wszyscy ucichną, i zaczął:

— Z układów, obok których przelatywał nasz statek w ciągu ostatnich lat, nie dotarł żaden sygnał radiowy wskazujący na obecność człowieka. Wracaliśmy inną drogą. — Siedzący przy nim Uri przebiegł palcami po klawiszach pulpitu demonstracyjnego i na centralnym wielkim ekranie sali pojawiła się trójwymiarowa mapa gwiazdna z zaznaczoną drogą statku. — Linia przerywana pokazuje naszą drogę w tamtą stronę. Linia ciągła to zarejestrowana dokładnie przez automaty trajektoria naszego powrotu. Dane z tej części drogi będziemy mogli opracować i ocenić dopiero po pewnym czasie. — Uczony przerwał na chwilę i spojrzał po zgromadzonych na sali. — Nasze obecne zadanie — ciągnął — to przygotowanie się do lądowania. Nie będzie to takie proste. Nie mam tu na myśli problemów nawigacyjnych czy technicznych, chodzi o coś innego. Znamy paradoks wielkich prędkości, oparty na ogólnej teorii względności Nepama-Ha'. Nawet ci, którzy tego dobrze nie rozumieją, przyjmują za oczywiste, iż podczas gdy tu, na statku, upłynęło ledwie sześćdziesiąt lat, to tam, na dole, na Eeli minęło lat siedemset. Od pierwszej minuty naszego lotu zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że po powrocie spotkamy się z ludzkością wyprzedzającą nas o te siedemset lat. W chwili startu pożegnaliśmy się na zawsze z naszymi rodzicami i przyjaciółmi. Na całej planecie nie znajdziemy ani jednej znajomej twarzy, bardzo mało będzie znajomych przedmiotów i form. Fizjologicznie postarzeliliśmy się od chwili startu o pięć lat — lata spędzone w „trumnach” nie przysporzyły nam siwych włosów. Nie jest wykluczone, że wyniki prac badawczych, jakie wieziemy, są wszystkie od początku do końca nieaktualne. Mimo to jednak naszym głównym zadaniem jest uczynić całą naszą zdobytą wiedzę wspólnym skarbem ludzkości. Uzyskaliśmy doświadczenia, które nie mogły być niczym udziałem. Nasze osobiste problemy mogą się rozpocząć dopiero po idealnym wykonaniu naszej

pracy tam, na dole. Proszę bardzo. Po parosekundowej pauzie głos zabrał Uri:

— Od strony technicznej lądowanie to zabawa. Tym razem dobrze znamy warunki naturalne planety. Wiemy, że temperatura powierzchni nie wynosi dwieście stopni, że istnieje atmosfera i że planeta ma naturalną dla nas siłę ciężenia. Nie czekają na nas półinteligentne nieprzyjemne stworzy, czy też miotające jad węże lub rośliny dżungli. Jesteśmy już w odległości kontaktu radiowego, dokonaliśmy zgłoszenia i kiedy nawiążemy łączność, poprosimy o współrzędne, na wszelki wypadek podamy im rodzaj naszego napędu i sposób lądowania, jaki stosujemy. Skierujemy statek na orbitę eliptyczną wokół księżyca Eeli, Prokrona, lub też wokół niej samej, potem zaś wylądujemy — na stałym lądzie lub na morzu. W tym momencie kończy się nasza rola, rola pilotów statku.

Nagur-Den, lekarz, kiwnął tylko głową na znak, że nie ma nic do powiedzenia.

— Myślę, że teraz kolej na mnie — zgłosił się szef grupy historyków, Nurri-An. — Wydaje nam się, że formacja społeczna nie zmieniła się bardzo w stosunku do tej, jaką pozostawiliśmy. Eela już w roku sześć tysięcy setnym miała za sobą okres, który historycy nazywają pierwszą epoką barbarzyństwa: czas wojen ludzi przeciw ludziom oraz niezliczonych państweczek o charakterze rodowym i koczowniczym. Gdyby tak nie było, nie doszłoby do naszej wyprawy. Po trzystu latach w praktyce sprawdziła się organizacja Rządu Światowego. Myślę, iż niewiele się pomylimy, przygotowując się na to, że z okazji lądowania przyjmie nas sam prezydent. Jeśli zaś chodzi o drugą stronę zagadnienia — tu zaczerpnął głęboko tchu — to oczywiście możemy tylko snuć przypuszczenia na temat tego, jaki poziom cywilizacji technicznej czeka na nas tam, w dole. Tyle już wiemy, że nie napotkamy większych niespodzianek, jeśli chodzi o loty kosmiczne. Podbój gwiazd z jakichś powodów nie przebiega proporcjonalnie do upływu czasu. Znajdujemy się w pobliżu układu i jeszcze ciągle nie ma śladów człowieka. Niezależnie od tego, co się mogło zdarzyć od czasu naszego startu, na Eeli wiedzą o naszym locie. Nie trzeba jednak zapominać o tym, że oczekiwano nas czterdzieści lat temu i wszyscy mogą być przekonani, że wyprawa zaginęła w nieskończoności Drogi Mlecznej. Poza tym nie można wykluczyć, że najcenniejsi będziemy właśnie dla historii, jako wykopalisko o nieznanej dotąd doskonałości zachowania. Wydaje mi się, że tu właśnie głos powinien zabrać dział psychologiczny.

Igo popatrzył na otaczających go ludzi. Dotychczasowe ogólnikowe podsumowania nie mówiły mu niczego nowego — jemu, którego przez całe lata ojciec przygotowywał na chwilę lądowania, wykorzystując w tym celu najwspanialszą bibliotekę mikrofilmów Eeli. Niezliczoną ilość razy podkreślał przy tym: „Jednej rzeczy nie mogę cię nauczyć: znajomości ludzi. Kiedy przyjdzie na to kolej, musisz temu poświęcić wiele uwagi, bardzo wiele”. Igo patrzył teraz na ludzi. Kiedy widział ich ostatnio, był jeszcze dzieckiem.

Wiedział, że na statku zgromadzono wyjątkowy materiał ludzki. Przed startem poddano wszystkich setkom najwymyślniejszych testów fizycznych i psychicznych. A przy tym tych dziewięciuset ludzi co do jednego zdecydowało się na zerwanie na zawsze ze wszystkimi, których kochali, na ruszenie w pewnym sensie na śmierć, nawet jeśli wyprawa powróci bez najmniejszych kłopotów. Igo wiele razy myślał o przygotowaniach do wyprawy. Wiedział, że gdyby był już wtedy na świecie, największym marzeniem jego życia byłoby wzięcie w niej udziału. Był dumny ze swoich rodziców, iż znaleźli się między pierwszymi. Swojego czasu określono na podstawie rachunku prawdopodobieństwa, „że statek ma dziesięć procent szansy na to, iż w ogóle powróci. Była to pierwsza rzecz, jaką zakomunikowano zgłaszającym się. Teraz już wiadomo, że sama wyprawa nie kosztowała żadnego ludzkiego istnienia. To moje urodzenie kosztowało życie: życie dwojga ludzi, pomyślał Igo.

Kierownikiem sekcji psychologicznej była Yunnar-Den, kobieta, jak większość naukowców. (Trzeba tu wyjaśnić, że wymowa nazwisk z literą Y w stosowanym na Eeli języku mago-lyn jest

zupełnie swobodna. Właściwie są tu dwie głoski: jedna odpowiada naszemu *i* lub *j*, druga angielskiemu *w* przed spółgłoską).

— Od strony psychologicznej — zaczęła Yunnar — mamy dwa podstawowe czynniki występujące po lądowaniu: oni i my. Spróbujmy postawić się na ich miejscu: wraca wyprawa od wielu już lat uważana za zaginioną, z dziewięciuset średniowiecznymi osobnikami na pokładzie. Stanowimy nowy, niespotykany problem: my, najbardziej kiedyś obiecujący młodzi uczeni dawnego świata, będziemy się musieli uczyć w pierwszych naszych chwilach na Eeli ogromnie wiele rzeczy, które dobrze zna każde, dziesięcioletnie dziecko. Będziemy musieli bardzo uważać, by nie zachowywać się tak, jak szympanś wpuszczony do laboratorium fizyki jądrowej. Czekają nas ciężkie miesiące. Mimo to pamiętajmy: jesteśmy uczonymi i przystosowanie się jest możliwe. Nie wiem, jakie macie zamiary, ale ja nadal będę się chciała zajmować psychologią. Wrócę nawet do szkoły podstawowej, jeśli trzeba, wszystkiego zacznę się uczyć od nowa, choćby i chodzenia. A kiedy już przebrniemy przez to wszystko, będziemy mogli pracować na takim poziomie i takimi metodami naukowymi, o jakich nie śniło się naszym profesorom. Choćby tylko to zadośćuczyni nam za wszystko, co poświęciliśmy. W końcu — Yunnar spojrzała na swych towarzyszy — nie ma się czego obawiać. Będziemy mieć do czynienia z ludźmi, z takimi samymi ludźmi jak my, i nie może być niepokonanych przeszkód na drodze naszego porozumienia. W końcu i my prędzej czy później porozumielibyśmy się z pragnącym tego człowiekiem pierwotnym.

Na chwilę zapadła cisza.

— Jeszcze jedno — odezwał się Nordeng — choć powiem o tym jeszcze raz szerzej, kiedy spotkamy się wszyscy. Wszyscy, ilu nas jest, będziemy się nadal starali utrzymać kontakt ze sobą. Należymy do siebie nawzajem, tak bardzo, jak nigdy dotąd i jak nikt na dzisiejszej Eeli. Łączy nas ze sobą minione siedemset lat. W nadchodzących niełatwych czasach, w obcym, może nawet nieprzyjaznym nam świecie musimy liczyć na siebie nawzajem tak samo, jak na bagnach dalekich planet. Dziś możemy już stwierdzić: nie zawiedliśmy jako ludzie. Nie zapomnijcie, że jeśli w przyszłości ktokolwiek z nas dziewięciuset będzie miał jakiegokolwiek kłopoty, nie będzie sam. Wystarczy tylko skrzyknąć innych i już dziewięciuset najlepszych uczonych naszej epoki — a nie była to taka zła epoka, bez względu na to, co się dziś dzieje na Eeli — stanie za nim. Niewykluczone, że zaraz po wylądowaniu rozejdziemy się każdy w swoją stronę. Oficjalnie wyprawa dobiega końca. W tym momencie skończą się moje prawa wynikające z mojego zadania. Ale jeśli chodzi o moje obowiązki, to nadal będę się czuł kierownikiem naukowym statku.

Siedzący obok niego Uri bez słowa przytaknął skinieniem głowy.

Statek podążał w kierunku układu wytracając stopniowo swą zblizoną do trzystu tysięcy kilometrów na sekundę prędkość. Gdyby utrzymał tę prędkość do końca, dotarłby do Eeli w ciągu kilku godzin, ale przemknąłby obok niej jak kometa. Z powodu konieczności stopniowego hamowania mieli jeszcze przed sobą prawie dwa pełne miesiące drogi do domu.

3

— Siadaj — Uri wskazał na stojące obok niego krzesło, gdy Igo wszedł do kabiny.

Igo był jeszcze małym chłopcem, kiedy ostatnio widział dowódcę. Miał dziewięć lat.

— Może teraz będziemy mogli chwilę porozmawiać — powiedział dowódca. — Ale nie licz

na to, że spokojnie pogawędzimy.

Nad ich głowami pokazał się na ekranie sygnał wezwania.

— Słucham — odezwał się dowódca.

— Jeszcze ciągle nic — na ekranie pojawiła się głowa radiowca w hełmie. — Jutro przybliżymy się już na tyle, że będziemy mogli przez nasze urządzenia wywoływać księżycy.

— Dziękuję — odpowiedział Uri i wyłączył aparat. Zwrócił się do Igo: — Nastawiam na pięciominutową przerwę. Przez ten czas system będzie gromadził meldunki, a przez blokadę może się przedrzeć tylko wezwanie klasy I A. Ono jednak miałoby miejsce tylko w razie wypadku lub też zgłoszenia się Eeli... No, dobrze. Znasz teorię liczb optymalnych?

— Tak — skinął głową chłopak.

— Natomiast tego chyba nie wiesz, że obliczenia liczebności członków takiej wyprawy, jak nasza, dają w wyniku dwie wartości: pięć tysięcy oraz — przy wyjątkowo silnej harmonii uczuciowej — dwie osoby. Nie potrafiliśmy w tamtych czasach zbudować statku na pięć tysięcy osób, ale myślę, że i dziewięćset się sprawdziło. Nasza izolacja i zamknięcie nie stanowiło właściwie żadnego problemu. Nie rozpoczęliśmy wojny domowej o władzę nad statkiem, innymi słowy, nasze wyrwanie się ze społeczeństwa nie wpędziło nikogo w obłęd. Nasze zadania wykonywaliśmy skutecznie. Zawiaływały się przyjaźnie i miłości, zawierano nawet w ciągu tych lat małżeństwa. Wszystko szło jak z płatka. Nie przewidzieliśmy w planach tylko jednego.

— Mnie?

— Tak, ciebie. Podczas drogi nie powinno się urodzić dziecko. Można zatrzymać starzenie się organizmu, ale nie jego rozwój. A stąd wynika, iż spowolnienie procesów życiowych — zwane w praktyce, choć niefachowo, metodą neurobloku — wytrzymuje tylko organizm dorosły. Gora-An miała dwadzieścia osiem lat, kiedy okazało się, że spodziewa się dziecka. Lekarze ostrzegali ją wielokrotnie, iż — nie mówiąc nawet o nie rozwiązanych jeszcze problemach letargu — samo urodzenie dziecka może ją kosztować życie, bo podróż kosmiczna jest niespotykanym dotąd obciążeniem organizmu. Nie słuchała nikogo, chciała urodzić to dziecko. A ponieważ tego chciała, więc nawet w takiej wyprawie nikt nie miał prawa jej zabronić. Urodziła się na młodej planecie, którą możemy nazwać punktem docelowym wyprawy, planecie krążącej wokół podwójnego słońca należącego do gwiazdozbioru Yarnod, odległego od Eeli jakieś dziesięć lat świetlnych. Góra zmarła podczas porodu, Elk-O' zaś uważał za swój obowiązek pozostawać zawsze przy tobie, póki mu starczy życia. W tym dwuosobowym składzie dowiedliście poprawności obliczenia na podstawie teorii liczb optymalnych. Wydaje mi się, że nie było to łatwe.

— Na szczęście mieliśmy co robić — odpowiedział Igo w zamyśleniu. — Ojciec zawsze mi powtarzał, że prawdziwa nauka zacznie się dopiero na Eeli, ale muszę się do wszystkiego przygotować. Uczył mnie wszystkiego.

— Tylko się uczyliście?

— Czytaliśmy, słuchaliśmy muzyki, oglądaliśmy sztuki, każdego ranka i wieczora jechaliśmy „na górę”, na dwudziesty pierwszy poziom popływać.

— A ile miałem kłopotów — roześmiał się Uri — przez ten mały basen!

— Teraz już mi nawet przeszkadza, że nie mogę tam chodzić, kiedy tylko chcę — potrząsnął głową chłopak. — Przepląwałem co najmniej kilometr dziennie, a potem przesiadywaliśmy na brzegu basenu, patrzyliśmy na wodę i ojciec opowiadał o Eeli, o morzu, lasach, miastach i o mojej matce. Przejrzeliśmy prawie jedną trzecią mikrofilmów biblioteki, uczyliśmy się historii Eeli, poznawaliśmy jej sztukę. Ojciec twierdził, że po to, bym mógł swobodnie wybrać sobie zawód, muszę się znać na wszystkim. Jeszcze niczego nie wybrałem. Może tam, na dole, będzie

mi to łatwiej zrobić.

— Nie chcesz być astronautą? — spytał Uri pół żartem, pół serio. — Tak jak ja, dowodzić statkiem?

— Chyba tak. Wydaje mi się, że to jest jedyne, czego chcę. Ale nie spotkaliśmy nikogo. Czy oni tam mają statki? — Igo poważnie spojrzał na dowódcę.

Uri zamyślił się, a potem podniósł głowę:

— Będą mieli — odpowiedział — my już im zbudujemy, jeśli będzie trzeba.

Chłopiec wstał.

— Idę, wiem, że nie masz teraz czasu na pogawędki.

— Dobrze, pomówimy jeszcze o tym przed lądowaniem. Powiedz jeszcze tylko, czy nie trzeba ci w czymś pomóc?

— Przydziel mi jakąś pracę — odrzekł bez wahania Igo. — Na statku wszyscy pracują, a z załogi ubyło dwoje ludzi.

Uri z zadowoleniem pokręcił głową. Oczekiwał tej prośby. Nacisnął przycisk na pulpicie nad stolikiem. Na ekranie pojawiły się po kolei wstrzymane wezwania z numerami wzywających. Potem ukazał się Nurri, historyk. — Już cię raz wzywałem, Uri-An. Nie będzie tak łatwo, musimy się liczyć z kontaktem z właściwie nie znaną nam cywilizacją. Materiały informacyjne musimy opracować w taki sposób, żeby zrozumiał je każdy człowiek, nawet jeśli żyje w zupełnie innym kręgu kulturowym, mówi zupełnie innym językiem, liczy innym systemem liczbowym, inaczej czuje i myśli. Przygotowujemy zupełnie nowe mikrokryształy — częściowo z naszej wyprawy, częściowo z informacjami o Eeli naszych czasów.

— Tak, to niezbędne — przytaknął mu Uri. — Pogrupujcie je tak, żeby oddzielnie były wszystkie informacje o planecie układu podwójnego. Mimo jej dwóch słońc było to jedyne miejsce przypominające we wszystkich istotnych aspektach warunki naturalne Eeli.

— Właściwie planeta jest młodsza tylko o kilka milionów lat: przeżywa teraz środek karbonu. Przygotujemy materiały.

— Posyłam wam Igo-Vandara, dlatego cię wzywałem. Brakuje wam ludzi, więc przydziel go do tej grupy. Niech w niej będzie jedyny człowiek urodzony na tej właśnie planecie.

— Chodź do nas, Igo-Vandar — twarz Nurriego na ekranie zwróciła się w kierunku chłopca. — Jest tu co robić, a prócz tego nam, starym, przyda się tu trochę nowych, młodych sił.

Uri wyłączył ekran.

— Dziękuję — odezwał się z wielką powagą chłopak.

Dowódca patrząc za nim uśmiechnął się i pomyślał, że tak poważny i dorosły może być tylko bardzo młody człowiek.

Statek pulsował życiem. Sześć wind kursowało bez przerwy. Korytarze zapełniły się spieszącymi w różne strony ludźmi. Teraz, przed lądowaniem, wszyscy byli ubrani w jednakowe jasne kombinezony. Na piersi każdego członka załogi widniała kolorowa metalowa plakietka z oznaczeniem grupy naukowej. Oprócz tego było na niej nazwisko i numer — od jednego do dziewięciuset. Po pięciu spędzonych razem latach nikt z resztą nie potrzebował plakietki do rozpoznania kolegi — każdy znał osobiście swoich dziewięciuset towarzyszy.

Doba podzielona była na statku na trzy siedmiogodzinne okresy. Teoretycznie jeden z nich był czasem pracy, drugi przeznaczony był na odpoczynek, ostatni na sen. W tych dniach nie było jednak na statku nikogo, kto nie przekroczyłby siedmiu godzin roboczych. Jediną rzeczą, której przestrzegania wymagali lekarze, zarówno od siebie nawzajem, jak i od Nordenga i Uriego, było siedem godzin snu. Bez pewnego rodzaju wojskowej dyscypliny wyprawa taka stałaby w każdej chwili wobec niebezpieczeństwa fizycznej zagłady. Na Eeli w roku sześć tysięcy setnym

dyscyplinę wojskową znano tylko w takiej formie.

Dotarli w pobliże własnego układu. Prędkość statku zmniejszyła się do ułamka poprzedniej. Czterech radiowców już od tygodnia utrzymywało na zmianę stałe dyżury. Urządzenia telekomunikacyjne znajdowały się na poziomie czternastym, w okolicach środka statku. Tego dnia, po bezskutecznym wywoływaniu mniejszego z księżyców Eeli, od samego rana wzywali Prokrona, większego satelitę. Eela była zasłonięta przez słońce, dlatego fale elektromagnetyczne mogły docierać tylko do jej księżycy.

Dyżurny technik zmęczony odwrócił wzrok od głównego ekranu sali telekomunikacyjnej.

— Nie rozumiem, dlaczego się nie zgłaszają — powiedział do czytającego w kącie sali kolegi. Amon-Ti podniósł wzrok znad książki i skinął głową.

— Zmień mnie na chwilę — rzucił pierwszy radiowiec. — Przespaceruję się trochę.

— Idź. — Amon odłożył książkę. Za wychodzącym zamknęły się drzwi, a po chwili w sali zabłysnęło fioletowe światło wezwania z interkomu.

— Słucham.

— Jeszcze ciągle nic? — na ekranie widniała twarz Nordenga. Za nim widać było ze dwudziestu ludzi.

— Nic. Wzywamy Prokrona za kwadrans.

— Dlaczego nie odpowiadają? Na Prokronie w sześć tysięcy setnym była już stacja naukowa i kilkudziesięcna kolonia — zastanawiał się głośno Nordeng. — Nawet jeśli nie zasiedlili żadnej innej planety, to stąd powinni się zgłosić.

Na ekranie widać było, jak Uri podnosi rękę, zgłaszając pytanie:

— Jaka była moc nadajnika zainstalowanego kiedyś na Prokronie?

— Największa, jaką wtedy dysponowano — odpowiedział Amon — taka sama, jak naszego urządzenia. Nasza emisja dociera do nich, bo wracają towarzyszące jej kontrolne fale radarowe. Gdyby więc odpowiadali, dawno już byśmy ich odebrali. Dziś wyjdziemy z cienia słońca i według harmonogramu przestaniemy wysyłać wiązkę ukierunkowaną na Prokrona — ciągnął dalej. — W nocy możemy znów spróbować wywoływać Eelę.

— Czy wiesz, dlaczego nie odpowiadają? — spytał Nordeng.

— Jedyne możliwe założenie jest takie, że na Prokronie z jakichś powodów nie ma w tej chwili czynnej stacji nadawczej o odpowiedniej mocy.

— Wzywajcie cały czas Eelę, jutro także.

— Tak jest.

Ekran ściemniał, radiowiec pochylił się nad pulpitem i dotknął — nie wiadomo już, który raz — przycisku automatycznego wywołania.

— Statek wzywa Prokrona. Statek wzywa Prokrona.

Jeszcze tego samego popołudnia drzemiący na leżance w sali Amon poczuł, że zmiennik szarpie go za ramię.

— Co takiego?... — poderwał się i zobaczył, że tamten gapi się na wyłączony ekran odbioru. Spojrzał i on.

Na ekranie płynęły ze środka w kierunku brzegów powiększające się białe kule. Mogło to oznaczać tylko jedno: odbierali sygnał wizyjny dochodzący skądś z układu. Stacja nadawcza! Amon stał bliżej, sięgnął więc, chcąc włączyć odbiór. W tym momencie z wyłączonego jeszcze urządzenia dobiegł głos:

— Eela wzywa statek. — Ręka Amona opadła bezwładnie. Poszerzające się kule pojaśniały, zbladły, a następnie, po krótkim błysku, pojawiła się na ekranie dziwnie ubrana kobieta.

— Eela wzywa statek — odezwała się spokojnym głosem.

Amon zareagował automatycznymi odruchami radiowca: mruczając pod nosem — Niemożliwe, przecież urządzenie było wyłączone — machinalnie włączył odbiór. Tym samym ruchem przełączył odbierany program na całą sieć wewnętrzną statku i jednocześnie odpowiedział:

— Zgłasza się statek. Zgłasza się statek. Odebraliśmy wasz sygnał. Odbieramy wasz sygnał — poprawił.

Nastąpiła ciągnąca się w nieskończoność przerwa, zanim dźwięk i obraz nie osiągnął stacji tamtych. Amon zerknął na widoczny w prawym dolnym rogu ekranu zegar połączony z dalmierzem. Odległość dokładnie zgadzała się z odległością statku od Eeli.

Czekał patrząc na kobietę w dziwnym ubraniu. Wreszcie oczekiwanie zakończyło się, nadeszła odpowiedź z Eeli.

— Wszystko w porządku? — spytała kobieta z ekranu i dopiero wtedy dał się w jej głosie wyczuć jakiś dziwny, miękki akcent.

— W porządku — odpowiedział Amon. — Wszystko w porządku. Przełączam na salę dowodzenia.

Dalej już tylko przysłuchiwał się rozmowie.

4

Kiedy nadeszło zgłoszenie z Eeli, dowódca w pierwszej chwili gapił się na ekran tak, jakby w głębi serca nie wierzył, że statek dotrze kiedykolwiek do planety zamieszkaną przez ludzi. Siedział w tym momencie wraz z Igo w mniejszej sali konferencyjnej. Chłopiec zareagował odwrotnie — uważał to za całkiem naturalne: tak miało być. Zastanowiło go przez chwilę tylko jedno: emisja dochodziła z Eeli, tymczasem między Eelą a statkiem było teraz słońce.

Dowódca zawahał się tylko na ułamek sekundy. Spojrzał zdecydowanie w stronę ekranu i odezwał się swym zwykłym, rzeczowym, spokojnym głosem:

— Tu statek, mówi Uri-An, dowódca.

— Tu Eela, stacja nadawcza prezydenta — nadeszła po zwykłej przerwie odpowiedź. — Jestem Evola, sto siódmy prezydent rządu światowego.

Kobieta w dziwnym ubraniu była młoda, mogła mieć trzydzieści lat. W jej głosie dało się wyczuć pewne napięcie. Uri przypisywał je emocji tej wielkiej chwili. Igo też podejrzewał coś takiego, ale obaj uważali to za złudzenie wywołane własnymi emocjami i nie wspomnieli o tym później.

— Od momentu nawiązania łączności wszystkie odbiorniki Eeli nastawione są na częstotliwość waszego nadajnika — ciągnęła prezydent. — Witam was w imieniu całej planety. Na Eeli mamy teraz rok sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąty szósty. Statku oczekiwaliśmy w latach czterdziestych. Proszę o raport dowódcy. Jaki stan załogi?

Prezydent gromadziła pytania w pakiety, gdyż niemal półminutowe opóźnienie odbioru nie sprzyjało rozmowie składającej się z krótkich pytań i odpowiedzi.

Uri wypisał na tabliczce liczbę osiemset dziewięćdziesiąt dziewięć i odwrócił ją w stronę ekranu. Urządzenia telekomunikacyjne przekazywały obraz niemal bez opóźnienia.

— Mamy więc jednego zmarłego — stwierdziła prezydent. Igo właśnie po tym użyciu pierwszej osoby liczby mnogiej poczuł, że wrócił do domu, że od tej chwili należy do społeczności miliony razy liczniejszej od załogi, ale tak samo spojonej w jedną całość.

— Dwóch — odpowiedział Uri i ciągnął spojrzawszy na Igo: — bo mamy też nowego członka

załogi. — Przywołał chłopca przed ekran. — To jest Igo–Vandar. Urodził się na planecie podwójnego układu MG 10003. Ma dziewiętnaście lat, będzie astronautą.

— Astronautą?... — Przy tym urwanym zdaniu Igo zorientował się, że prezydent nie powiedziała wszystkiego. Wydawało mu się, że przez jej twarz przebiegł cień niezadowolenia, czy nawet bólu. Odrzucił jednak od siebie tę myśl, postanowił, że odtąd będzie ostrożniejszy z wyciąganiem wniosków. Spojrzał w twarz kobiety i spytał:

— Czy nadajecie z Eeli? Evola skinęła głową.

— Tak, z Eeli. Na każdym ekranie Eeli widać teraz twoją twarz, a twoje pytanie słyszało prawie pół miliarda ludzi.

— Pół miliarda? — poderwał się dowódca. — Przecież w roku sześć tysięcy setnym było... — ucichł.

— Przez siedemset lat w życiu cywilizacji może się zdarzyć bardzo wiele — dotarła do nich ze zwykłym opóźnieniem spokojna odpowiedź. — A teraz odpowiem na pytanie, które chciałeś zadać, Igo. Nadajemy z Eeli: nasze fale potrafią się uginać. Ale wróćmy do ważniejszych spraw — ucięła dalsze pytania. — Jest tu przy mnie Yadonnen–Ha', który w roku czterdziestym zorganizował instytut do spraw waszego przyjęcia. — Na ekranie pojawiła się teraz twarz mężczyzny, ale w dziwny sposób nie stracili z oczu i Evoli, tak jakby oboje widać było w tym samym miejscu. — Przez dłuższy czas tylko on wierzył w wasz powrót. Yadonnen i cała grupa najwybitniejszych naukowców czeka gotowa na wasze pytania, ale zdążymy jeszcze z pytaniami do was, kiedy już wylądujecie. Nasza sieć będzie transmitować także i te rozmowy.

Uri jeszcze na początku rozmowy nacisnął przycisk gotowości trzeciego stopnia, zwołując do sali tych samych sześćdziesięciu ludzi, którzy należeli do składu pierwszej fazy budzenia. Wszyscy oni śledzili rozmowę za pośrednictwem małych dwuwymiarowych ekranów na korytarzach i w windach. W ciągu półtorej minuty wszyscy byli razem w czytelni mikrokryształów.

Rozpoczął się teraz dialog — z nieuniknionymi przerwami — między planetą a załogą statku. Technicy na Eeli liczyli się z tym, że program jest dostępny dla wszystkich na statku i podczas oczekiwania na odpowiedź przekazywali zamiast zatrzymanego kadru ujęcia z całej sali, skąd prowadzono rozmowę. To samo, przy użyciu dostępnych skromniejszych środków robili i operatorzy statku, starając się w przerwach rozmowy przekazywać obrazy korytarzy i dużej sali konferencyjnej, gdzie zbierało się coraz więcej członków załogi, jakby razem chcących uczestniczyć w wydarzeniach.

Nie brakowało pytań, a astronauta zdawali sobie sprawę z tego, że uczeni planety już za pomocą analizy stawianych im pytań mogą się wiele dowiedzieć o pytających.

Pytania zadawano w pakietach, zgromadzone razem, i tak samo skoncentrowane przychodziły po pewnej chwili odpowiedzi.

Problemy językowe okazały się mniejsze, niż oczekiwano. Na zamieszkałych kontynentach Eeli praktycznie już tysiąc lat posługiwano się mago–lynem, jednolitym językiem, którym — obok swojego, lokalnego — władał każdy wykształcony człowiek. Przy użyciu tego języka odbywały się wszystkie oficjalne kontakty między częściami świata, tego języka używał rząd. W ciągu siedmiuset lat, jakie upłynęły, język zmieniał się, ale zmiany te zachodziły na podstawie stałych struktur językowych i nie były zbyt wielkie.

Członkowie załogi statku, przygotowani nawet na to, że będą się musieli uczyć od nowa mówić, spotkali się właściwie z językiem, którego sami używali na statku jako wspólnego, gdyż pochodzili z różnych narodów świata. Mago–lyn wzbogacił się oczywiście o tysiące nowych słów, nazw, nowych pojęć w ciągu minionych stuleci, zyskał wiele nowych, delikatniejszych form wyrazu. Trochę zmieniła się i wymowa, na miękka, bardziej jednolita, a zarazem

dźwięczniejszą. Gunna–An, językoznawca wyprawy, który został wybrany do jej składu przede wszystkim z uwagi na czekające go zadania w chwili powrotu, określił tę zmianę po powtórny przesłuchaniu pierwszego dłuższego tekstu jednym pojęciem: ich mowa stała się bardziej kobieca. Stwierdzenie to dało wiele do myślenia całej grupie psychologów.

Wszyscy członkowie załogi przyzwyczaili się do zmiękzonej wymowy jeszcze w ciągu pierwszego tygodnia, ale nawet przypadkiem nie zdarzyło się, żeby używali jej między sobą. Programy były przygotowywane na Eeli w ten sposób, że nowym słowom, zmienionym znaczeniom, odbiegającym od zasobu słów z roku sześć tysięcy setnego zawsze towarzyszyły pisemne wyjaśnienia. Językoznawcy planety począwszy od dnia nawiązania łączności wysyłali słownik, rejestrowany na statku przez automatyczne urządzenie, przygotowujące od razu dziewięćset kopii. Opracowanie słownika było trochę opóźnione przez fakt, iż raz już to zrobiono, czterdzieści lat wcześniej, kiedy spodziewano się powrotu wyprawy. Dlatego też językoznawcy Eeli musieli w trakcie nadawania programów zmieniać jeszcze w nich wiele rzeczy, dodawać nowe pojęcia. Po dwóch tygodniach, kiedy słownik był już gotowy, każdy członek załogi otrzymał go w formie małej książeczki. Już po roku ta niewielka książeczka stała się najcenniejszym białym krukiem Eeli.

Ze wszystkiego, co usłyszeli z planety, chyba największe wrażenie zrobiło na nich to, że lata sześć tysięcy setne, kiedy wyruszyli, wspomniano dziś na Eeli jako bohaterską epokę nauki. Nauka rozwijała się w tamtych czasach w tak szybkim tempie, jak nigdy przedtem ani potem. Ludzkość zawdzięczała tamtym kilku dziesięcioleciom największe osiągnięcia od czasu odkrycia elektryczności.

Na Eeli był rok sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąty szósty. Obliczenia prowadzone na statku dawały wynik różniący się o jeden rok, ale było rzeczą oczywistą, iż w obliczenia musiał wkraść się błąd.

Na Eeli nie posiadano właściwie żadnych danych na temat okolic podwójnego układu MG 10003. Tym samym szczęśliwie rozstrzygnęła się dręcząca przez cały czas członków wyprawy wątpliwość, iż po powrocie nie będą mogli przekazać ludzkości niczego istotnego, że cała wyprawa okaże się niepotrzebna. Tymczasem po nich nie było już następnej tak wielkiej wyprawy międzygwiazdnej. W sześć tysięcy sto szóstym była jeszcze tylko jedna, mniejsza ekspedycja — czterdziestoletni skok w czasie. Głównym jego celem było doświadczalne zbadanie wpływu skoku na uczestników. Wyniki były niejednoznaczne. Z punktu widzenia medycyny u żadnego z dwudziestu jeden ochotników nie zaobserwowano żadnych zmian. Hibernacja sprawdziła się jako metoda. Mimo to doświadczenie przyniosło tragiczne wyniki. Powracający zastali swych najbliższych i przyjaciół postarzałych. Można było liczyć na to, że wśród członków ich wielkiej wyprawy nie będzie takich wstrząsów. Wszyscy, których kochali, dawno już obrócili się w proch, dawno zmarli, a na to można się było lepiej przygotować. Jeden z uczestników czterdziestoletniego skoku popełnił po powrocie samobójstwo, dwóch innych udało się przywrócić społeczeństwu po długoletnim leczeniu psychiatrycznym. Wtedy to komisja lekarska rządu ustaliła najkrótszy czas wyprawy na sto lat. Wszelką działalność związaną z astronautyką poddano bezpośredniej kontroli rządu. Do skoku w czasie potrzeba osobistego zezwolenia prezydenta, który sam nie ma prawa uczestniczyć w takiej ekspedycji.

W historiografii wypracowano pewną metodę polegającą na tym, że co pięćdziesiąt lat zgłaszał się na ochotnika młody historyk, który jako specjalista przygotowywał bogaty materiał dokumentacyjny na temat swoich czasów i dokonywał stuletniego skoku. Już za pierwszym razem młodzi naukowcy okrzyknięci zostali takimi bohaterami całej ludzkości, jakimi w sześć tysięcy setnym byli astronauty. W wyniku tej metody niezwykle wzrosła dokładność nauk

historycznych, minione epoki znano teraz lepiej niż kiedykolwiek.

Yadonnen, stary uczonek, przedstawił załodze szczegółowo opracowany, rozciągający się na wszystkie dziedziny życia system adaptacji powracających. System ten opracowano przede wszystkim właśnie dla nich. Zadaniem instytutu było przyjęcie powracających. W tym przypadku sytuacja była sprzyjająca, bo chodziło o ludzi wdrożonych do naukowego sposobu myślenia, którzy — jak tego dowiodło doświadczenie — zdolni są do zmian i szybkiego rozwoju. Przygotowania ułatwi dodatkowo fakt, iż obie strony mają jeszcze sporo czasu do bezpośredniego spotkania.

To właśnie instytut Yadonnena zdecydował, że pierwszym człowiekiem z Eeli, którego zobaczą i usłyszą członkowie wyprawy, będzie prezydent. To, że pierwszy kontakt nawiązany został właśnie wtedy, gdy statek był w cieniu słońca i że zdalnie uruchomiono jego wyłączone urządzenia odbiorcze, nie było dziełem przypadku. Od pierwszej chwili chciano uzmysłwić powracającym postęp techniczny planety. Już od tygodnia instytut śledził ich lot, w instytucie przygotowano też cykl programów informacyjnych o Eeli, stanowiący najważniejszy etap przygotowań. Nadajniki komisji zaczęły wysyłać program na sześć tygodni przed lądowaniem.

5

Błyskawicznie obracająca się kula zwalnia powoli. Widać już, że jest to ciało niebieskie, a potem — że planeta: Eela z jej dwoma księżycami. Kamera, która obserwuje planetę, znajduje się w przestrzeni kosmicznej. Powoli przybliży się. Widać już przesuwane się kontury kontynentów i oceanów, jednolite, białe plamy biegunów, delikatną mozaikę linii brzegowych mórz wewnętrznych. Kula zwolniła, już prawie nie obraca się, ekran wypełniają kontury ogromnego kontynentu zachodniego, ziemi Mag. Kamera przybliży się, można już rozróżnić pasma gór w północnej części kontynentu. Nie są wysokie, śnieg pokrywa tylko dwa najważniejsze szczyty. Ku południowi zbiega się łagodniejsze, przechodzą stopniowo w pagórki, pokryte ogromnymi ciemnymi plamami lasów, czasem kształtu regularnego koła. Jeszcze bardziej na południe rozpościera się wielka równina z kilkoma miastami i biegnącymi ku morzu rzekami.

Obrót kuli ustał. Obraz kontynentu zbliża się coraz bardziej, nie mieści się już w kadrze, stopniowo traci charakter mapy. Kamera z dotychczasowego ruchu pionowego przechodzi w poziomy, płynąc nad powierzchnią ziemi. Kiedy dociera nad równinę, jest już tak nisko, że widać nieregularną siatkę miast i dróg. Dzięki jakiejś nieznannej technice przekazu całe ujęcie robi jednocześnie wrażenie drukowanej mapy i naturalnego widoku. Sieć dróg pokrywa całą widoczną część równiny, od krańca zachodniego do wschodniego, wpełzając na leżące już poza polem widzenia pagórki. Miasta są czarnymi okrągłymi plamami, prawie jednakowej wielkości. Tylko dwa z nich, leżące mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej na zachodnim i wschodnim wybrzeżu, są większe od innych. W miarę, jak kamera coraz szybciej opuszcza się w dół, brzegi z dwoma wielkimi miastami wyjeżdżają poza ekran, widać już tylko ład, kilka miast, rzekę, potem już tylko dwa skupiska miejskie, jeszcze jako jednolite ciemne plamy. Wreszcie na ekranie pozostaje tylko droga między dwoma miastami. Jej czarnemu pasmu towarzyszy biała linia. Z jednej strony obrazu wpływa błyskawicznie poruszający się cień, następnie widać przedmiot, który go rzuca — jakieś latające urządzenie. Ma ono formę owalnej tarczy, bez skrzydeł, niewidocznej jeszcze dokładnie z tej wysokości. Kamera gwałtownie obniża się nad drogę. Z ekranu znika najpierw cień latającego pojazdu, a potem on sam.

Na ekranie pozostaje droga. Widać już, że nie jest czarna, lecz szara. Z tej wysokości bledsza linia wzdłuż drogi okazuje się jej cieniem. Droga jest nie kończącym się stalowym wiaduktem biegnącym na wysokości dwustu metrów, na rozstawionych co kilometr smukłych filarach. Na drodze panuje ruch. Można już rozróżnić sznur pojazdów podążających w obu kierunkach. Przez ekran przelatują prosto jak strzała kolejne latające tarcze. Miejscami pojawiają się grupy budynków stojących przy drodze, czasem błyska lustro sztucznego jeziora. Między nimi widać pojazdy, niezliczone pojazdy o podłużnych kształtach, różnych wielkościach, tysiącu kolorów. Kamera jest teraz na wysokości lotu ptaka. Przy jednym z pojazdów stoi człowiek. Pojazd jest jaskrawo zielony, niewiele dłuższy od wzrostu człowieka. Tuż przy małym pojeździe stoi drugi, prawie sto razy większy od niego. W jego czarnej błyszczącej powierzchni odbijają się okoliczne budynki, fragment jeziora. W pojazdach nie widać żadnych drzwi ani innego otworu.

Człowiek stojący przy mniejszym cygarze, ubrany nie w takie dziwne ubranie o luźnych rękawach, w jakim widzieli Evole, ale w obcisły biały kombinezon, pochyla się nad maszyną i coś przy niej robił. Kamera obniża się tymczasem na tak małą wysokość, że widoczne są najdrobniejsze szczegóły. W górnej części cygara odsuwa się jedna z płyt, odsłaniając rodzaj fotela dla jednej osoby, umieszczony przed nim gładki pusty stolik, z boku, po prawej ręce pasażera pulpit z dwoma przełącznikami, jakimś zegarem i lampką. Człowiek — widać teraz, że jest to młody mężczyzna — wprawnym ruchem wsiada do maszyny i zamyka nad sobą pokrywę. Z tylnej części cygara wysuwa się koło. Na zwolnionym ujęciu widać, jak poziomo umieszczone koło zaczyna się obracać. Jednocześnie w dolnej części ekranu pojawia się drugie ujęcie, pokazujące pojazd od dołu, jakby druga kamera znalazła się pod powierzchnią drogi. Widać, że maszyna lekko unosi się, z jej wnętrza wysuwa się wąska taśma, przemieszcza się do tyłu i pojazd opiera się na niej, posuwając się naprzód, jakby jadąc po cienkiej tasiemce rozpiętej między dwoma kołami, niemal niedostrzegalnie zagłębionej w biegnącym wzdłuż drogi wyłobieniu. Równowagę utrzymuje koło kręcące się nad górną częścią pojazdu. Zwolnione ujęcie kończy się, powracając do normalnej prędkości wyświetlania.

Dolny obraz znika. Pojazd wyjeżdża z bocznej drogi na wąski pas skracający łagodnym łukiem, znika pod główną trasą, podjeżdża po drugiej strony do góry i włącza się w lewe pasmo trasy głównej. Przed wjazdem na trasę zatrzymuje się, a właściwie tylko zwalnia. W nieprzerwanej kolumnie pędzących trasą cygar pojawia się dużo wcześniej rozszerzająca się luka. Kiedy przerwa dochodzi do miejsca, gdzie małe cygaro włącza się do ruchu, ma już takie wymiary, że cygaro może się w nią zmieścić. Podczas gdy kamera unosi się wyżej nad rzeką pędzących pojazdów, śledząc małe zielone cygaro, maszyny płyną już w ciągłej, nieprzerwanej kolumnie. Ich poziome koła obracają się tak prędko, że zlewają się w ciemne plamy w tylnej części każdego pojazdu.

Droga przecina zieloną równinę linią prostą jak strzała. Miejscami z zielonych łąk wyrastają białe, owalne kopuły. Całą okolicę pokrywa sieć cieniutkich nitek kanałów. Droga dociera teraz do skrzyżowania z drugą taką samą, o podobnym natężeniu ruchu, przechodzi pod nią i znów wraca na swój poziom. Ruch pojazdów odbywa się w zupełnej ciszy. Nad zalaną słońcem równiną słychać tylko szum wiatru, czasem śpiew ptaka. Po lewej stronie w oddali pojawia się szeroka wstęga rzeki. Początkowo biegnie równoległe do drogi, potem przybliża się do niej, a wreszcie krzyżuje się nienaturalnie ostrym zakrętem. Droga wiedzie nad rzeką, płynącą leniwie szerokim dwukilometrowym nurtem. Odległość tę przechodzi bez podparcia. Niżej, nad brzegiem, na stojących w wodzie filarach ciągnie się węższa trasa, po której poruszają się mniejsze pojazdy. Ruch jest tu mniejszy niż na głównej arterii, czasem zdarza się dłuższa przerwa między maszynami. Z głównej drogi skręca na boczną mały biały pojazd, który nawet nie musi zwalniać wjeżdżając na nią.

Sznur pojazdów porusza się prosto, jednostajnie. Kamera unosi się wyżej. Nie można już rozróżnić poszczególnych maszyn. Daleko w przodzie wśród zieleni pojawia się czarna plama: miasto.

Jest coraz bliżej, wypełnia całą szerokość ekranu. Można już odróżnić stalowoszare, wysokie na sto czterdzieści pięter budynki. Stoją w nie kończących się szeregach, niemal ponuro, połączone ze sobą u góry cienką siateczką ulic. Kamera zbliża się i dopiero z tej odległości widać, że między budynkami stuczterdziestopiętrowymi kryją się niższe, o dwóch różnych wysokościach. Te dwa niższe poziomy także oplecione są pajęczynami ulic, znikających we wnętrzach wyższych budynków i wychodzących z nich po drugiej stronie.

Kamera opuszcza się niżej, pozostawiając miasto poza polem widzenia. Odnajduje zielony pojazd i znów śledzi go z bliska. Droga, a na niej zielone cygaro dociera do szczytu pierwszego z wysokich budynków.

Na ekranie pojawia się biały krąg, rośnie i ściera jego całą zawartość. Pozostaje mały srebrny punkt na samym środku ekranu. Eela sygnalizuje, że pierwszy program dobiegł końca.

Ośmiuset sześćdziesięciu ludzi przez długą chwilę po zakończeniu programu siedziało w milczeniu. Zgromadzili się wszyscy, prócz tych, którzy musieli pozostać na swych miejscach pracy — właśnie teraz, kiedy utrzymywano stałą łączność z planetą: technicy w sterowni, radiowcy oraz ludzie pełniący służbę na poziomie najwyższym, zwanym Energetycznym, skąd sterowano ciepłotą, oświetleniem i klimatyzacją statku.

6

Harmonogram był znany wszystkim: każdego dnia z pięciu pozostałych tygodni nadawane były dwa czternastominutowe programy. Instytut prowadzony przez Yadonna-Ha' życzył sobie, by programy te oglądali wszyscy razem na największym ekranie. Taki ekran znajdował się w sali konferencyjnej statku, otaczając ją lekkim łukiem. Była to przestrzeń odbiorcza o siedemnastu metrach szerokości, dziewięciu wysokości oraz czterech metrach głębokości. W zwięzającej się ku tyłowi sali znajdowało się dokładnie dziewięćset miejsc w spiętrzonych tarasowo rzędach. W późniejszym okresie programy odtwarzano dla tych, którzy podczas ich odbioru byli na służbie. Chciano to urządzić w mniejszej sali konferencyjnej, ale kiedy okazało się, że powtórzenia chce codziennie oglądać każdy, kto tylko może, także i drugi seans przeniesiono do dużej sali. Drugiego dnia znów siedziało tam ośmiuset sześćdziesięciu ludzi.

Igo też tam siedział, w fotelu oznaczonym numerem siedemnaście, na dawnym miejscu jego matki. Chłonał widok ludzi i krajobrazów, nie mógł się nim nasycić. Jego całe życie do tej chwili było tylko przygotowaniem się do spotkania, wszystkiego, czego się uczył, uczył się właśnie po to. Już drugiego dnia zgłosił się do dowódcy:

— Niech będą trzy pokazy dziennie.

— Nie można, Igo.

— Niech ci się nie wydaje, że mówię tylko w swoim imieniu. Każdy by tego chciał. Zobaczysz, wszyscy będą oglądać po trzy razy.

— Właśnie dlatego się nie zgadzam. Za bardzo odciąga ludzi od pracy. Musimy jeszcze skończyć opracowywanie wyników dwóch ostatnich cykli budzenia. Kiedy wylądujemy, nie będziemy mieli na to za wiele czasu. Cieszę się, że wszyscy, którzy są w służbie pierwszego

stopnia, mogą oglądać programy z Eeli tylko po jednym razie. Wiesz, wydaje mi się, że ich przekazy są bardzo sugestywne. Może nawet aż za bardzo.

Programy szły dalej. Igo od samego początku brał ze sobą na każdy seans jakieś niewielkie urządzenie.

Długa sala o ciemnozielonych ścianach. Jej środek wypełnia wielki blok — sięgająca do sufitu biała maszyna. Miejscami jej ściany są przezroczyste. Jedna ze ścian kończy się stolikiem, przy którym siedzi młodziutka dziewczyna w żółtym ubraniu roboczym. Błat stolika świeci opalizującym światłem. Z góry opuszcza się przed dziewczynę ramię z czarną końcówką. Dziewczyna naprowadza końcówkę nad stolik i pewnymi ruchami rysuje na nim dwa położone naprzeciw siebie łuki, prostopadłe do stołu. Dziewczyna łączy łuki liniami prostymi na górze i na dole. Figura przypomina teraz stojące naczynie. Dziewczyna wstaje od stolika, przesuwając dźwignię. Salę wypełnia ciche, jednostajne buczenie. Dziewczyna przechodzi wzdłuż urządzenia, zaglądając w przezroczyste płaszczyzny ścian. W momencie, kiedy dociera na drugi koniec maszyny, w ścianie otwiera się niewielka pokrywa i na umieszczonej poniżej wąską półkę wyskakuje jakiś przedmiot. Dziewczyna podnosi przedmiot — czarną wazę o łagodnych łukach, wykonaną z lekkiego, matowego materiału. Dziewczyna obraca wazę przed kamerą, uśmiecha się i odkłada ją na stolik, którego fragment oddziela się przy dotknięciu. Przenośnik taśmowy unosi wazę przez widniejący w ścianie otwór. Tymczasem z maszyny wyskakuje na stolik drugi przedmiot, a po chwili trzeci. Dziewczyna obserwuje przez kilka minut opuszczające salę naczynia, a potem pociąga za dźwignię. Buczenie ustaje, słychać tylko cichy szcęk pojawiających się w otworze naczyń. Dziewczyna wraca do stolika kreślarskiego, przesuwając linijkę nad opalizującą płytą i rysunek znika. Maszynę opuszcza ostatnia sztuka produktu. Zapada cisza. Dziewczyna zaczyna teraz rysować żółtą końcówką płaski talerz.

Był już czas odpoczynku, kiedy Igo pojawił się w kabinie Uriego. Dowódca jeszcze nie spał, siedział przy stoliku, na którym leżał mikro—kryształ, ale patrzył tylko przed siebie, widać było, że już dawno nie czyta.

Kiedy Igo wszedł, dowódca zaskoczony odwrócił się do niego. Czas odpoczynku był rzeczą świętą na statku, a mimo to Uri z trudem ukrywał radość patrząc na chłopca. Między nami mówiąc, pomyślał, w jego wieku miałem życie usłane różami, chodziłem do szkoły i nie wiedziałem, co to niebezpieczeństwo.

— Co nowego, Igo?

Chłopak położył na stoliku małe płaskie pudełko.

— Bardzo poważna sprawa. Nie przeszkadzałbym ci, gdyby nie chodziło o nas wszystkich. Zaraz przyjdzie Yunnar—Den, prosiłem ją o to. Przedtem chciałbym ci zadać kilka pytań.

— O co ci chodzi?

— O dzisiejszą Eełę.

— Wiem o niej niewiele więcej od ciebie. Ale proszę, pytaj. — Skłonny zwykle do samotności Uri ucieszył się z tej rozmowy. Wiele ostatnio rozmyślał o przyszłym losie załogi. .

— Co porusza pojazdy lądowe? — spytał Igo.

— Elektryczność.

— Skąd wiesz? W naszych czasach jeszcze takich maszyn nie było.

— Oczywiście z programów — odpowiedział bez namysłu dowódca.

Przerwał jednak na chwilę, jakby sam się sprawdzając. — Czekaj. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba z pierwszego programu, w którym po raz pierwszy je zobaczyliśmy.

— Najnowszy program był dzisiaj. Dobrze go pamiętasz?

— Tak.

— Skąd były zdjęcia?

— Z Daru, ze wschodniego kontynentu, z jednej z kolonii artystów.

— A nie z zachodu?

— Nie, skądże znowu.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Skąd wiesz? Program nie był opatrzony żadnym komentarzem. Uri zamyślił się.

— Nie, rzeczywiście. Akurat dobrze to pamiętam. Może w pierwszym programie... — ciągnął niepewnie. — Nie wiem...

W tym momencie do kabiny weszła Yunnar.

Igo w kilku słowach streścił jej dotychczasową rozmowę. Yunnar także nie pamiętała, skąd posiada informacje.

— Mamy więc wiadomości, o których nie mamy pojęcia, w jaki sposób je zdobyliśmy.

Uri i Yunnar przytaknęli. Yunnar wyglądała na zdenerwowaną.

— Że też tego nie zauważyłem! Że nie zauważył tego nikt inny!

— Wydaje mi się, że pomogła tu moja niewiedza — rzekł Igo, na co oboje, mimo powagi sytuacji, uśmiechnęli się. — Wy wiecie dużo o życiu, uczyliście się przez długie lata, nie zauważyliście więc tego drobnego naddatku. Mój umysł jest dziewiczy.

— Masz rację — uśmiechnął się dowódca — tylko tak można to wyjaśnić. A wyjaśnienie naszej dodatkowej wiedzy?

— Jest tutaj. — Igo wskazał na płaskie pudełko. — Dlatego przyszedłem.

— Poczekaj — spoważniała Yunnar. — To dotyczy nas wszystkich. Trzeba zwołać co najmniej kierowników zespołów.

— Tego sam nie mogłem rozstrzygnąć. Dlatego pomyślałem, że pokażę to wam obojgu, a wy podejmiecie decyzję.

— Dobrze — skinął głową dowódca — a teraz do rzeczy.

Igo otworzył płaski futerał i wyjął z niego kilka metalowych płytek. Były to zdjęcia zrobione z ekranu podczas pokazów. Wszystkie pokazywały ten sam obraz: młodą dziewczynę prowadzącą ramię maszyny po blacie stolika. Jedyna różnica między zdjęciami polegała na tym, że na środku jednego z nich widniał wyraźny napis: „Projektantka naczyń. Dar, centralna kolonia artystów”.

— Napis jest niezauważalny, pojawił się dopiero gdy zmniejszyłem czas naświetlania do jednej dziesięciotysięcznej części sekundy. Dlatego mam tylko kilka zdjęć — powiedział Igo. — Podczas pierwszej projekcji określiłem tylko, którą część analizować.

Przerwał, czekając.

— A więc stąd się dowiadujemy — odezwała się Yunnar. — Napisy pojawiają się na tak krótki czas, na pewno w krótkich odstępach, że ich w ogóle nie widzimy. Wzrok rejestruje jednak podświadomie podany w ten sposób tekst, powtarzanie zaś przekształca go w wiedzę. Wygląda na to, że tak się dziś wychowuje na Eeli. Co prawda moralna strona takiej metody jest bardzo dyskusyjna.

— Po dzisiejszym programie — odezwał się Uri — jeden z techników powiedział na korytarzu: „Wszystko to wydaje mi się za piękne. Zupełnie jak w bajce”.

W bibliotece mikrofilmów zebrał się trust mózgowy wyprawy. Uri wyświetlił na głównym ekranie pierwszy obraz z napisem. Yunnar krótko wytłumaczyła, o co chodzi. Po niej znów zabrał głos dowódca.

— Mamy tu dwa inne napisy, z powodu których zdecydowaliśmy się działać. Napis, który pojawił się teraz na ekranie, brzmiał: „Przestrzeń kosmiczna jest zimna i nieprzyjazna”. Zaraz po nim następował napis o treści: „Na Eeli jest dobrze”.

— Na tej podstawie twierdzimy, że ktoś lub coś, raczej w przeciwnych nam celach, chce wywierać na nas wpływ. Musimy działać, mamy jeszcze dwa i pół tygodnia. Przeanalizujemy materiał wszystkich programów. Wszystkie audycje nadane do tej chwili mamy utrwalone, bo później je powtarzaliśmy. Musimy sprawdzić wszystkie ujęcia, może w ten sposób dowiemy się więcej o autorach i ich zamiarach. Materiał, wliczając w to oczekiwane jeszcze programy, jest dość obszerny. Właściwie należałoby wszystkie ujęcia wszystkich programów rozbić na odcinki po jednej dziesięciotysięcznej sekundy każdy. Czy ktoś ma jakiś pomysł na temat rozwiązania technicznego tego problemu?

Zgłosiła się Dan-Roh, młoda kobieta, inżynier z działu technicznego:

— Automatyczne kamery fotograficzne, których używaliśmy do robienia zdjęć nowych planet przed lądowaniem i w jego trakcie, można przy mniej więcej trzygodzinnym nakładzie pracy przerobić tak, by pasowały do ekranu odbiorczego. Ale i tak, gdybyśmy chcieli robić zdjęcia co jedną dziesięciotysięczną sekundy nawet przy pełnym zautomatyzowaniu naświetlania i obróbki, trwałoby to latami.

— Nie trzeba aż takiej dokładności — powiedziała Yunnar. — Wystarczy robić po dwa–trzy zdjęcia przy każdej zmianie ujęcia, a i tak będziemy widzieli ten sam napis wiele razy. Przy przeróbce kamer pamiętajcie o tym, że po zakończeniu zdjęć trzeba będzie przywrócić urządzeniom pierwotny stan. Może się bowiem okazać — tu zwolniła — że po naszej pracy nie wolno nam będzie zostawić ani śladu.

Zapadła na chwilę cisza. Wreszcie Uri uniósł głowę. Wskazał na Dan:

— Ty będziesz kierowała pracą. Nie zajmujcie się treścią napisów, tylko dostarczajcie dobrej jakości zdjęcia zespołowi psychologicznemu. Ujęcia bez napisów są niepotrzebne, ale wszystkie obrazy z napisami muszą być opatrzone pełnymi danymi na temat ich miejsca w programie. Ile wam potrzeba czasu?

Dan policzyła szybko w notesie i po chwili stwierdziła:

— Jeśli będziemy pracowali bez przerwy w wymieniających się dziesięcioosobowych zespołach, to na każdy program potrzeba nam dwa razy po dwadzieścia cztery godziny.

— Nie można dać do tego jeszcze więcej ludzi?

— Nie ma sensu, będą sobie tylko nawzajem przeszkadzać.

Wtrącił się Nordeng:

— Niech pracują po dwa zespoły równolegle. Damy im też dużą salę projekcyjną. Wyposażenia starczy dla wszystkich.

Przy zastosowaniu kilku dalszych usprawnień udało się skrócić czas pracy nad jednym programem do jednej doby. Uri zakończył naradę mówiąc:

— Po analizie ostatniego programu pozostają nam jeszcze w rezerwie dwa pełne dni, gdybyśmy tego potrzebowali. Jeśli w czasie pracy chcielibyśmy urządzić naradę całej załogi, zmieścimy się wszyscy na stojąco na szerszych korytarzach najniższego poziomu, choć nie będzie tam takiego komfortu. — Uśmiechnął się. — A teraz do roboty. Yunnar! Od dzisiejszego wieczora wasz zespół będzie na bieżąco dostawał zdjęcia. Raporty, wraz z wnioskami i propozycjami, formułujcie ustnie tak, żeby można było później w razie czego rozmagnesować kryształy. Czy jeszcze coś? Nie? W takim razie na tym zakończyliśmy. Kierownicy grup niech sobie dobiorą ludzi, inni niech wracają do swych stałych obowiązków. Na ostatniej naradzie spotykamy się w tej sali, dokładnie na dwadzieścia cztery godziny przed lądowaniem.

Pozostałe dni były dla wszystkich dniami oczekiwania. Igo zajmował się zdjęciami. Yunnar i

Uri każdego dnia dyskutowali do późnej nocy nad opracowanymi tego dnia zdjęciami. Dziewięciuset ludzi czekało na wyniki pracy, oglądając tymczasem w niepewności, z niemiłym samopoczuciem, kolejne nowe programy.

7

Żółte cygaro mknie wraz z innymi pojazdami po drodze o niewielkim ruchu. Po pewnym czasie wypada z kolumny, skręcając w lewo. Jeszcze przed zjazdem z drogi zwalnia, zatrzymuje się z lekkim chybotaniem. W dole ekranu pojawia się dodatkowy obraz: ujęcie pojazdu od dołu. W momencie kiedy cygaro wyjechało z wyłobienia drogi, wysunęły się z niego dwie przegubowe gąsienice, a środkowa taśma została wciągnięta do środka. Znika górne koło obrotowe. Teraz pojazd porusza się wolniej, bo jest już poza drogą, na zielonych polach. Przez małe kanały pojazd po prostu przepływa. Z obu stron pleni się tropikalna dżungla, z setkami gatunków drzew, pnączy oraz wysokich krzewów. Teren obniża się lekko. Pojazd dociera do małej doliny. W dali widać grupę zabudowań: płaskich, jasnych budynków. Między nimi przebłyskuje kryształowa woda w basenie. Żółte cygaro zatrzymuje się, wciąga do środka taśmy bieżne i miękko opuszcza się na trawę. Z przodu i z tyłu kadłuba otwierają się drzwi. Wybiegają z nich dzieci. Ludzkie sylwetki dają teraz skalę porównawczą, widać, jak wielki jest pojazd. Przez jedne drzwi wybiega czternaścioro dzieci, przez drugie dwadzieścia jeden, za nimi dorosły człowiek. Otwory zamykają się. Cała grupa kieruje się w stronę budynków. Dzieci ubrane są w inne ubiory, lżejsze od tych, w których widzieli dotychczas dorosłych. Ubrania są różnokolorowe. Grupa zatrzymuje się przy basenie, dzieli się na małe grupki, dzieci biegną we wszystkie strony. Dorosły, mężczyzna koło trzydziestki, siedzi w trawie niedaleko basenu i obserwuje dzieci. Po pewnym czasie podchodzi do wystającej z ziemi kolumny, pokręca umieszczonymi na niej tarczami i na stojącym obok basenu, dotąd trudnym do zauważenia ekranie pojawia się obraz. Dzieci gromadzą się wokół mężczyzny, siadają na trawie i patrzą. Któreś z nich o coś pyta, dorosły znów kręci tarczami, przez cały czas mówiąc.

Kamera porusza się wysoko nad białym piaskiem wybrzeża. Widać lekko sfalowaną powierzchnię morza, dalej zaś małe zielone wysepki. Kamera obniża się. Na białym piasku czarne punkciki: ludzkie sylwetki. Na całym wybrzeżu, w obu kierunkach, w całym polu widzenia kamery tysiące ludzi — opalających się, chlapiących w morzu, pływających — wszyscy tym samym stylem: bokiem. Między pływającymi przemykają się wśród fal malutkie szybkie pojazdy. Na wyspach i dalej od brzegu stoją jasne, niskie budynki. Niektóre ze śmigających po wodzie robaczków—łódek pędzą w kierunku wysepek. W pewnym momencie jak na komendę wszyscy pływacy i wszystkie łodzie zawracają do brzegu, leżący zaś na piasku wstają i, ruszają w stronę niskich budynków. Ucicha szum i gwar, po chwili nie widać już nikogo, wybrzeże zamiera, słychać tylko jednostajny szum fal.

Wnętrze sali. Białe kamienne płyty, rozmieszczone według skomplikowanej reguły, pną się ku górze łagodnymi łukami, ich szczyty znikają gdzieś wysoko. Sufitu nie widać. Do jednej z płyt przymocowana jest czarna tablica, szeroka na osiem, wysoka na sześć metrów, na niej rząd cienkich, przezroczystych prętów. Przed tablicą stoi kobieta w czerwonym ubraniu, zaś na środku sali mała grupa ludzi. Nadchodzą nowi, napływając nieregularnymi falami. Kobieta w czerwieni zbliża się do skrajnych prętów i dotyka jednego z nich. Kryształowo czysty dźwięk wypełnia salę i nawet słuchacze na statku długo czują jego wibrację. Dźwięk jeszcze nie ucichł, kiedy kobieta

dotyka innego pręta i nowy ton łączy się w jedno z poprzednim, po chwili podążają za nim dalsze — jednocześnie drga ich w przestrzeni coraz więcej — o różnej wysokości i natężeniu, wszystko wypełnia dziwny, wydłużony, niemal senny rytm ich muzyki. Nie wiadomo, jak długo to trwa, czas jakby się zatrzymał, znika wszystko inne, pozostają tylko prostopadłe białe płyty i rodzące się na czarnej tablicy drganie odbierane nie tylko słuchem, ale całym ciałem. Po pewnym czasie, w nieokreślonej chwili kobieta przestaje grać. W powietrzu rozlega się jeszcze szklany dźwięk kilku rozedrganych prętów. Wszyscy pozostają na swoich miejscach — w trakcie koncertu cała sala wypełniła się. Nikt nie rusza się przez długie chwile całkowitej ciszy. Dopiero po dłuższej przerwie ktoś zmierza do wyjścia.

Dowódca zabronił oglądać ten program dwa razy. Tej nocy Igo długo leżał z otwartymi oczami w dawnej kabinie matki i patrzył w sufit.

Mijały tygodnie. W ciągu dnia załoga była zajęta przygotowywaniem danych, w nocy wszyscy odpoczywali po ciężkiej pracy i wiele rozmyślali o świecie, który poprzez codzienne seanse coraz bardziej się do nich przybliżał. Zastanawiali się też nad tym, jakie sekrety kryje przed nimi planeta.

Do lądowania pozostał już tylko tydzień. Prędkość statku spadała coraz bardziej. W roboczym harmonogramie przygotowań mieli siedem dni rezerwy na wypadek nieprzewidzianych zadań. Ponieważ prace zakończono wcześniej, Uri zaproponował, by wszyscy, którzy nie są zajęci przy zdjęciach, odświeżyli sobie podstawowe wiadomości ze swojej dziedziny. Wiedział, że się niepokoją, i starał się ich czymś zająć podczas pozostałych kilku dni. Na tydzień przed lądowaniem nadszedł ostatni program z Eeli.

Na zegarze w sali na miejscach minut pojawiły się zera. Przyćmiono oświetlenie. Na środku głównego ekranu odbiorczego pojawił się skrzący punkt, który wypełnił powoli całe pole, aż pojawił się w nim pierwszy obraz.

Urządzenie niosące kamerę płynęło teraz nad nie tkniętą ludzką stopą pustynną równiną. Równinę pokrywała falująca, wyższa od człowieka trawa, żółta i spalona przez słońce. W oddali pojawiła się ogromna, bezkształtna, poruszająca się powoli plama. Kamera, przesuwając się poziomo nad równiną, zbliżała się do niej coraz bardziej. Z krawędzi bezkształtnej masy oddzielają się pojedyncze brązowe kreseczki. Widać już, że to ogromne stado zwierząt. W pewnej chwili słychać skądś niski dźwięk. Kamera zbliża się, tymczasem dźwięk zmienia się w łoskot i całe stado zaczyna gnać w nieznanym kierunku. Tysiące przerażonych sztuk bydła pędzi obłąkańczo przed siebie. Na czele przodownicy, za nimi większe samce — w środku stada krowy z cielętami. Tam, gdzie przechodzi stado, znika trawa i cieńsze drzewka, tylko brązowy, wydeptany pas ziemi znaczy miejsca, które przeszły zwierzęta. Teraz drogę zagrażdza im wąski strumyk. Prowadzące byki wpadają do niego bez wahania, a kiedy kamera jeszcze raz pokazuje to miejsce po przejściu stada — nie ma już ani strumyka, ani wody, tylko ciemniejszy pas krzyżuje się z brązowym klepiskiem.

I znów kamera unosi się w górę. Równina zdaje się nie mieć końca. Kamera wzlatuje coraz wyżej, pole widzenia rozszerza się coraz bardziej. Widać rzekę, dalej jeszcze jedną. W oddali pasmo gór. Kamera przelatuje szybko, na dużej wysokości, nad pierwszym łańcuchem gór. Grzbiety następnego pasma pokryte są śniegiem. Następują teraz kolejne ośnieżone łańcuchy górskie, a potem kamera przesuwa się nad białą płaszczyznę, zamkniętą w kotlinie otaczających ją szczytów. Na środku śnieżnej płaszczyzny wznosi się gładka, szarawa półkula. Jest już całkiem blisko. Odślania się jeden z wycinków półkuli i w otworze pojawia się człowiek ubrany

od stóp do głów w ciemne ubranie. Wychodzi na śnieg, podnosi wzrok, dostrzega urządzenie z kamerą, macha ręką w jego kierunku z szerokim uśmiechem, rusza przed siebie. Idzie po śniegu, dociera do stojącego na słupie urządzenia. Otwiera pokrywę, wyciąga jakieś drobne przedmioty, ogląda je, zapisuje coś w notesie, potem wkłada wszystko na miejsce i zamyka pokrywę. Idzie dalej, do stojącej opodal następnej kolumny.

8

To był ostatni program. Tego dnia Uri i Yunnar siedzieli w kabinie dowódcy, kiedy wpadli Dan-Roh i Igo.

— Tylko jedno pytanie — zwróciła się do dowódcy Dan. — Dlaczego nie otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze wezwania z Prokrona, z zewnętrznego księżycyca?

— Prokron jest nieciekawym — odpowiedział Uri. — Na Prokronie niczego nie ma.

Niemal w tej samej chwili Yunnar też chciała coś powiedzieć, ale nagle jakby się zorientowała i umilkła. Cała jej wypowiedź zmieniła się w mieszaninę niezdarne chrząknięcia i nabrania tchu. Dan wyciągnęła zdjęcie i wręczyła jej. Pochylili się nad nim we trójkę.

Na zdjęciu widniała czarna tablica-harfa ze strunami, a za nią wysokie białe płyty. Napis głosił: „Prokron jest nieciekawym. Na Prokronie niczego nie ma”. Na drugim zdjęciu widać było rozchodzącą się milczącą publiczność sali. Treść napisu była ta sama.

— A więc to tak — odezwała się Yunnar. — To samo chciałam odpowiedzieć na pytanie Dan, co ty. Mówiłam już kiedyś, że moralna strona tej metody jest wysoce dyskusyjna. Jej podmiot uzyskuje wiadomości w sposób nieświadomy. Można je przekazywać bez wiedzy, a nawet wbrew woli nauczanego, można mu dostarczać wiadomości celowo fałszywych. Oprócz tego można wpływać na czyjeś myśli i uczucia, co czyni metodę przydatną do celów wojny psychologicznej. Z tych dwóch zdjęć i z naszych odruchowych odpowiedzi wynika, że oni na Eeli nie życzą sobie, byśmy interesowali się Prokronem.

Dan przyniosła i inne napisy. Przede wszystkim miały one charakter dydaktyczny. Jeśli ujęciu towarzyszyło mniejsze zdjęcie wyjaśniające jakiś szczegół, napisy były na nim, ponieważ widzowie śledzą obraz dodatkowy z mniejszą uwagą, więc napis nie spotyka się nawet z podświadomym oporem.

Pośród napisów towarzyszących tablicy-harfie znaleźli jeszcze kilka o podobnej treści: „miejscem”, człowieka jest Eela”, „obce światy oznaczają śmierć” i „podróże kosmiczne są bezsensowne”. Z faktu, iż nieznanemu redaktorowi programów połączył te właśnie teksty z muzyką o wielkiej sile oddziaływania, można było wywnioskować, że uważał, iż właśnie one są najważniejsze. Obok tego był jeszcze jeden ważny temat napisów wykraczających poza czyste treści informacyjne. Było nim znane im już zdanie w niezliczonych wariantach: „Eela jest najlepsza, Eela jest piękna”.

— Mówiłem — odezwał się ten sam technik, kiedy w laboratorium wywoływano kolejny napis — że ta scena z projektowaniem waz była dla mnie za piękna, jakby koniecznie chciano, by mi się podobała.

Na dzień przed lądowaniem wymienili jeszcze z Eelą ostatnie namiary, podając dokładną pozycję, kierunek, prędkość i wielkość przyspieszenia hamującego.

Potem po raz ostatni wszyscy zebrali się w dużej sali konferencyjnej. Uri w skrócie przedstawił raport grupy Yunnar dotyczący napisów. Yunnar dodała do tego jeszcze kilka uwag:

— Jeszcze jedno. Ludzie z Eeli pracowali z dużą pewnością siebie i odnieśliby stuprocentowy sukces, gdyby nie było wśród nas Igo z jego, jak sam określił, nietkniętym umysłem i gdyby Igo nie zauważył, że posiada wiadomości, których się nigdy nie uczył. Ich psychologowie mogli liczyć tylko na nas, na dorosłych, z przecięzonymi wiedzą umysłami, na ludzi o naukowym wykształceniu. My mieszkaliśmy na Eeli, znamy ją. Tamci nie wiedzieli nawet o istnieniu Igo, to był nieoczekiwany czynnik, przez który zawiodły ich wyliczenia.

— W ten sposób — włączył się dowódca — wszystko obróciło się przeciwko nim. — Nie dodał, że zawdzięczają to chłopcu. W wyprawie każdy coś zawdzięczał komuś innemu, w końcu wszyscy byli tu właśnie dlatego. — Z ich punktu widzenia byłoby korzystniej, gdyby nie używali napisów. Teraz bowiem coś już podejrzewamy. Obecnie głównym naszym zadaniem jest usunięcie wszelkich śladów całego śledztwa. Zdjęcia i kryształy z raportami należy zniszczyć środkami chemicznymi. Po lądowaniu każda śrubka statku będzie badana w instytucie. Nie możemy dopuścić, by dowiedzieli się o tym, co zdarzyło się w ostatnich dniach.

— Ktoś albo coś: komisja, urząd, można powiedzieć, że Eela nie chce, byśmy interesowali się Prokronem. Przyczyną może być fakt, że na Prokronie coś jest, przyczyna może być zresztą inna. Liczono się z tym, że najpierw będziemy wzywali Prokrona. Możemy teraz podejrzewać, że starano się nas wyprzedzić. Przez cały tydzień na próżno wzywaliśmy zewnętrzny księżyc, więc zdawano sobie sprawę, że to będzie nas intrygować. Nie jest dziełem przypadku, że napisy o Prokronie towarzyszyły koncertowi. W sposób oczywisty związany z tym jest fakt, iż — choć z powodu mniejszej siły przyciągania startowaliśmy z Prokrona — teraz bez żadnego wyjaśnienia otrzymaliśmy namiary do lądowania na Eeli.

— Jak wynika z napisów, oczekują od nas jeszcze dwóch rzeczy: tego, byśmy nie interesowali się astronautyką oraz żebyśmy dobrze czuli się na Eeli i siedzieli na niej w spokoju. Nie będziemy się więc interesować. Muszą uwierzyć, że ich metoda odniosła oczekiwany skutek, w przeciwnym bowiem razie będą próbowali nowych sposobów, a mało prawdopodobne, żebyśmy tam, na dole, oddzieleni od siebie, jeszcze raz mieli takie szczęście. Starajmy się jednak wszyscy po cichu dowiedzieć wszystkiego: w bibliotekach, na uczelniach, podczas rozmów z przechodniami — wszystkiego o Prokronie, o astronautyce, i o tym, dlaczego tak im na tym zależy. Nikt z nas nie lubi sekretów. Nie żyjemy w barbarzyńskich czasach, więc jasne jest, że nie grozi nam żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo czy fizyczne zagrożenie życia. Możemy spokojnie żyć, począwszy od roku sześć tysięcy siedemset osiemdziesiątego szóstego, i spokojnie umrzeć, nawet jeśli nie dowiemy się ani słowa. Jesteśmy jednak uczonymi. Dowiemy się. To pozostanie naszym wspólnym celem.

Dowódca powiódł wzrokiem po znajomych twarzach i dodał: — Te kilka słów jest zarazem naszym pożegnaniem. Będziemy się starali trzymać się na Eeli razem, ale na dalszą metę jest to raczej niemożliwe. Może więc jesteśmy wszyscy razem po raz ostatni. Nie zapomnijcie tej chwili.

Pracownicy instytutu naprowadzili statek na orbitę parkingową wokół Eeli. Swojego czasu planowano lądowanie na Prokronie, ale załoga statku nie poruszała sprawy zmiany, na Eeli zaś nikt się temu nie dziwił.

Po dwóch dniach wylądowali niedaleko Mag-Polu, największego miasta planety, na ostatnim kosmodromie Eeli.

EELA

1

Mniej więcej dziesięć metrów przed nim widać było zieloną ścianę budynku. Igo odczekał, aż do niej dotrze, i zszedł ze skrajnej, najwolniej biegnącej taśmy chodnika na biały pas przy budynku. Podczas minionego roku weszło mu w zwyczaj, że czasem opierał się o ścianę lub o pień drzewa i stał nieruchomo, pilnie obserwując.

Każdy dzień przynosił ze sobą nowy ciekawy widok. Każdego dnia spędzał w mieście kilka godzin, ale ciągle jeszcze nie czuł się przyzwyczajony do oszałamiającej różnorodności linii, łuków, powierzchni, ruchów i barw. Mieszkał już na Eeli okrągły rok, ale ciągle jeszcze napotykał przedmioty i widoki, które były dla niego nie tylko niezwykle, ale i niezrozumiałe.

Stał oparty plecami o ścianę. Tuż przed nim ciągnęło się czternaście różnokolorowych pasów ulicy, po siedem w każdą stronę. Zewnętrzne pasy posuwały się z prędkością chodu człowieka, położone bliżej ku osi jezdni były coraz szybsze. Każdy z pasów poruszał się tylko na tyle szybciej od poprzedniego, by można było wygodnie przejść z jednego na drugi. Na terenie miasta Gambar, gdzie wzniesiono Instytut Hibernacji, obowiązywał zakaz wjazdu wszelkich pojazdów, całą komunikację obsługiwały ruchome chodniki. Stojący na nich ludzie wydawali się Igo figurami jakiejś dziwnej gry, uczestnikami beznadziejnego, z góry już rozstrzygniętego wyścigu: „biegnący” po wewnętrznych torach zawsze wygrywali z tymi na zewnętrznych. Czasami potok ludzkich figurek przerywała większa, wyższa bryła — pojemnik z ładunkiem lub kontener osobowy, przeznaczony do dłuższych podróży, chroniący przed niepogodą, wyposażony w restaurację oraz miejsca rozrywek i odpoczynku. Na drodze panowała cisza, słychać było tylko szum wiatru, roztrącanego przez pędzące figury i bryły.

Po drugiej stronie, swobodnie rozmieszczone, stały budynki. Nie miały więcej niż dwadzieścia pięter i nie można było wśród nich znaleźć dwóch o jednakowej formie lub barwie. W krajobrazie dominował kolor zielony: w rozległych przestrzeniach między budynkami kłębiła się sztuczna dżungla, ukształtowana według złożonych praw nowej dziedziny nauki, botaniki architektonicznej.

Gamma, niewielkie, półmilionowe miasto było rajem dla projektantów zieleni, tu też przenieśli swoją akademię. Dwa olbrzymy Eeli, Mag-Pol, stolica zachodnia, oraz Dar-An, stolica wschodnia, pod koniec lat sześć tysięcy sześćsetnych miały po piętnaście milionów mieszkańców i rozwijały się dalej niepokohowanie, gwiżdżąc na wszelkie planowanie przestrzenne. Oczywiście było już wtedy, iż jeśli oba miasta będą dalej rosnać w taki sposób, to nie potrafią wypełniać swoich zadań. Życie w nich i tak toczyło się z oporami i z ogromnymi, niepotrzebnymi nakładami pracy i energii. „Te dwa miasta — powiedział kiedyś Nordengowi jeden z architektów Instytutu Neurobloku — zbudowane są według takich reguł planowania, jak na przykład północne jaskinie krasowe”.

Wyglądało na to, że jeszcze dziesięć lat i obie stolice przestaną funkcjonować. Wtedy to rząd ogłosił plan największego w dziejach Eeli od wielu, wielu lat przedsięwzięcia: trzy lata później w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od obu stolic zaczęto wznosić miasta satelitarne, do których po kilku latach przeniesiono centra zarządzania i administracji. Plan zawierał także i inne przedsięwzięcia, do najważniejszych zaś należała budowa dwóch miast satelitarnych, Gambaru i Aino, odciążających obie stolice. W ciągu ostatnich dwudziestu lat udało się jeśli nie zmniejszyć, to chociaż powstrzymać wzrost liczby ludności obu starych stolic.

Gambar, większe z miast-satelitów, stało się sercem całej Eeli. Tu zawsze mieszkał prezydent, tu obradował rząd, tu były główne bazy różnych dziedzin nauki: instytuty badawcze. Obok urzędów administracji całej planety mieściły się tu także organy zarządzające kontynentem zachodnim. Miasto było zarazem etapem pośrednim Instytutu Hibernacji.

Igo, myśląc o tym wszystkim, wchłaniał w siebie widok miasta. Nie mógł się nasycić światem, który stanowiło dla niego. Teraz dopiero naprawdę zrozumiał, dlaczego ojcu zupełnie zmieniał się głos, kiedy w samotności statku mowa była o Eeli.

Oderwał wzrok od jednostajnej i zarazem ciągle nowej gry ruchomych chodników, od pantomimy, za której figurami i dekoracjami próbował sobie zawsze wyobrazić prawdziwe życie Eeli, i odwrócił się w stronę ściany.

Spojrzał na pokrywający ją ogromny plan miasta i przekonał się, że jeśli chce dotrzeć do najbliższej przecznicy, musi skręcić w prawo po białym pasie.

To także należało do rzeczy, których nie potrafił zrozumieć: jak to się dzieje, że wystarczy tylko zerknąć na tablicę z planem, a od razu znajduje się właściwy kierunek. Raz ktoś mu próbował wyjaśnić złożone prawa harmonii fresków, zapewniających taki efekt, ale Igo nie rozumiał tego do końca. Działanie fresku związane było także w jakiś sposób z wewnętrzną równowagą jego barw.

Kwadrans później Igo otworzył drzwi starej restauracji w śródmieściu Gambaru, zwanej „Dwa Kontynenty”.

Dzień ten przeznaczył na eksperyment. Chciał się przekonać, czy okres jego przystosowywania się był już wystarczająco długi i czy potrafi, jeśli chce, ukryć fakt, iż jest członkiem załogi statku.

Wybrał czteroosobowy stolik, licząc na to, iż w tak znanej restauracji nie będzie długo siedział sam, a podczas rozmowy okaże się, czy można go rozpoznać.

Nie musiał długo czekać. Do jego stolika podeszło dwoje młodych ludzi i na jego zapraszające skinięcie głowy usiedli.

— Dlondar-Vend i Ol-Den z Mag-Polu — przedstawiła oboje młoda kobieta, tradycyjnym zwrotem przywitania osób nieznanym.

— Igo-Vandar z Gambaru — odpowiedział chłopak.

— Gambar to dobre miejsce — uśmiechnął się Dlondar. — Ciche. Może tu nawet zamieszkamy.

Igo bardzo uważał na każde wypowiedziane słowo, na każdy akcent. Najszybciej zdradzić go mogła właśnie mowa. Wraz ze wszystkimi swoimi towarzyszami uczeplił się myśli, iż tylko wtedy będzie mógł się włączyć w pełni w normalny bieg życia, kiedy nie będzie po nim można poznać średniowiecznego pochodzenia. Kiedy po długich ćwiczeniach na sztucznych uliczkach miasteczka Neurobloku, w końcu pierwszego miesiąca po raz pierwszy odważyli się wyjść do miasta, każdy dostał osobę towarzyszącą. „Niemowlęta świetnie się rozwijają” — powiedział z gryzącą ironią Nordeng do chłopca w końcu tamtego bardzo wyczerpującego dnia. Po pewnym czasie zresztą przekonali się, jak bliskie rzeczywistości jest porównanie do niemowląt. W zestawieniu ze współczesnym językiem Eeli ich przerywany, pokawałkowany sposób mówienia rzeczywiście przypominał mowę małych dzieci. Do końca życia nie mogli się zresztą pozbyć uczucia, że współczesnego języka używają jako doskonale wyuczonego języka obcego. Igo uważał więc teraz na każde słowo.

— Bardzo nastrojowa jest ta średniowieczna sala — ciągnęła tonem miłej pogawędki Ol — trudno coś takiego znaleźć w Mag-Polu.

— Ciekawe — przytaknął Igo.

— To, co tu człowiek zamawia — dodał Dlondar — ma smak, a nie tylko wartość odżywczą.

Dlatego zupełnie chętnie znoszę te drobne niewygody — dodał, niewprawnymi ruchami przekładając przed sobą metalowe żetony z wyborem dań.

Igo wiedział od Uriego, jak daleko tej restauracji do tego, by wyglądać na średniowieczną, jeśli tylko tych dwoje nie bierze za oznaki średniowiecza okropnych bezstylowych malowideł, udających sześćdziesiąty i sześćdziesiąty pierwszy wiek. W sumie „Dwa Kontynenty” różniły się od restauracji w Mag-Polu tym, że nie wybierało się tarczą numerową potraw na podstawie dań stojących w gablotach, lecz po wybraniu odpowiedniego żetonu trzeba go było wrzucić do szczeliny w stole. Współczesny człowiek i tak doznawał emocji przygody, kiedy musiał dziesięć minut czekać na obiad. Tu też zresztą talerze automatycznie pojawiały się w otworze stołu przed zamawiającym.

Już później, w trakcie jedzenia, Dlondar spytał:

— A ty co robisz? — i nawet nie czekając na odpowiedź Igo, sam stwierdził: — Na pewno jeszcze się uczysz. My nie pracujemy. Nie mamy do niczego zdolności, a czas i tak płynie dość szybko. Nie wiem, jak niektórzy mogą się skarżyć, że się nudzą.

Igo przypomniał sobie wykład Tenny-O', historyka, jednego z wykładowców Instytutu Neurobloku, który jeszcze na samym początku wspominał z niepokojem, iż w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zaznacza się coraz wyraźniejsza tendencja zmniejszania się liczby młodych ludzi, którzy chcą pracować.

— Ja będę pracować — powiedział po chwili.

— Czyżby? — zapytała grzecznym, zdziwionym tonem Ol. — Wezmę chyba dokładkę tego drobiu — zwróciła się do Dlondara.

— Chcę pracować, bo... — zaczął wyjaśniać Igo, ale przerwano mu w pół słowa:

— Nie rób tego, młody człowieku, nie rób tego.

Igo zaskoczony podniósł wzrok. Czwarte, wolne miejsce przy ich stoliku zajął mężczyzna o śniadej twarzy, koło pięćdziesiątki. Jego twarz miała jakiś niezwykły wyraz, coś, z czym Igo jeszcze się dotąd nie spotkał w trakcie swych spacerów po mieście.

— Po cóż miałbyś pracować? — ciągnął dalej nowo przybyły i spojrzał na młodą parę. — Żywność produkują automaty. Jeśli nie masz specjalnych życzeń, przez całe życie możesz nie wytykać nosa z miasta. Automatyczne fabryki produkują domy, ulice, pojazdy. Jeśli któraś z tych wspaniałych fabryk w jakiś sposób zostałaby zniszczona, nie wiem, na przykład gdyby się spaliła, natychmiast inne zapobiegliwe zakłady w pobliżu wyprodukowałyby nową fabrykę, dostarczyłyby ją na miejsce zniszczonej i zmontowały. Ty musisz tylko określić, co ma produkować i ile. A na całej planecie jest jeszcze sporo ludzi, którzy zupełnie dobrze potrafią wydać taki rozkaz. Tak więc, po cóż pracować? Nic cię do tego nie zmusza.

W tym miejscu przerwał, zaczął przewracać wśród leżących na stole cienkich metalowych tabliczek z nazwami potraw, wreszcie wybrał żetony i wrzucił do szczeliny.

Dlondar i Ol gapili się na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. Tymczasem na stole pojawiły się ich nowe porcje drobiu i przez pewien czas mogli im poświęcić całą uwagę.

Igo zorientował się, co było takiego niezwykłego w nowo przybyłym: jego zupełnie siwe włosy stanowiły ostry kontrast z młodą twarzą. Zwykle ludzie nie siweli tu przed osiągnięciem setki, a na przykład Yadonnen, dyrektor Instytutu Hibernacji, który miał już ponad sto lat, był jeszcze zupełnie kruczowłosy.

— A w ogóle to jestem Mayari-An z Północy — przywitał się mężczyzna — uprzejmość zaś nigdy nie była moją najmocniejszą stroną — dodał trochę niewyraźnie, prosząc na swój sposób o wybaczenie za tak późne przedstawienie się.

Teraz dopiero chłopak lepiej zrozumiał zachowanie się nieznanego. Oto siedział przed nim jeden z uczonych pracujących w obserwatoriach meteorologicznych, geograficznych,

astronomicznych oraz innych, wśród wiecznych lodów Północy lub w dżunglach tropików, z dala od komfortu cywilizacji, tam gdzie życie często było w niebezpieczeństwie. Było rzeczą dość prawdopodobną, iż na całej Eeli już tylko kilka tysięcy badaczy zna pojęcie niebezpieczeństwa.

Dlondar i Ol byli wyraźnie zmieszani dziwnymi słowami Mayariego, w milczeniu dokończyli obiad i dość szybko zniknęli. Mayari i Igo pozostali we dwóch przy stoliku.

— W której części Daru pracujesz? — spytał Igo.

— Interesuje cię to? — spytał z niedowierzaniem mężczyzna.

— Interesuje. Może i ja wybiorę podobną pracę.

— Nie jest to takie proste. Pracuję na Północy, za granicą wiecznego śniegu. Vandar to twoje nazwisko rodowe? Bardzo piękne stare nazwisko. Powiedz, Igo–Vandarze: czy zmarłeś już choć raz w życiu? Tylko nie pytaj, co to znaczy. W każdym bądź razie powinieneś o tym czytać.

— Marzęm już kiedyś — odpowiedział spokojnie Igo, nie zwracając już uwagi na płynną wymowę. Nie musiał dłużej ukrywać swego pochodzenia, był zadowolony z wyników eksperymentu. Wiedział też, że przełamie obojętność Mayariego, kiedy powie mu, że to dziwne stare nazwisko rodowe jest nazwiskiem właśnie tego Igo. Od kiedy Tenna, historyk, odwiedzał ich w miasteczku Neurobloku, cała załoga mogła się przekonać, że wszyscy uczeni są tacy sami: że na wieść o ich pochodzeniu reagują zaciekawieniem i entuzjazmem. — Marzęm, a moi rodzice nie znali automatycznych restauracji, nie używali ruchomych chodników i jeśli chcieli przedostać się z jednego końca miasta na drugi, sami musieli prowadzić pojazdy.

Razem wyszli z restauracji i skierowali się prosto do biblioteki Instytutu Hibernacji. Igo wiedział, że tego dnia po południu tam właśnie odnajdzie większość swych towarzyszy z załogi.

Zaledwie kilka kilometrów od miasteczka Neurobloku, w Pałacu Prezydenckim, kobieta i dwóch mężczyzn siedzieli w przyciemnionej sali, przed polem ekranu, nie po raz pierwszy zresztą w ciągu ostatnich lat.

Ekran był zupełnie ciemny. Nagle pojawił się promień światła, dziwny, o kwadratowym przekroju, zimny i bezosobowy. Gładkie, błyszczące metalem maszyny... Na chwilę widać wysoką czarną ścianę... jej szczyt ginie w górze... skalista gleba, nad nią liliowoczarne, gęste jak smoła obłoki... Nieskończone przestrzenie... Oddalające się gwiazdozbiory... Spękana, zbliżająca się księżycowa powierzchnia...

Obrazy zniknęły z ekranu, projekcja dobiegła końca. Twarze trojga ludzi były blade, bezbarwne. Unikali nawzajem swego wzroku. Zabrzmiało tylko jedno, tak dobrze znane zdanie:

— Niczego nie możemy zrobić... Niczego...

2

— Igo, dobrze wiesz, co masz zrobić? — spytała Yunnar, odciągając chłopca w róg biblioteki.

— Oczywiście, że wiem — potrząsnął głową Igo. Wskazał wzrokiem na Mayariego, którego o kilka kroków od nich otoczyli wszyscy inni: — Czy nie szkodzi, że właśnie dziś go przyprowadziłem?

— Nie — skinęła Yunnar. — Zupełnie nie szkodzi. Akcję trzeba przeprowadzić w taki sposób, żeby nikt nie wtajemniczony nie mógł nawet się domyślać, co się tu dzieje. Od tego zależy sukces. Może się nawet dobrze stało, wasze poznanie się trochę odwróci uwagę.

— A w ogóle to żadnych wieści? — spytał po chwili Igo.

— Żadnych.

Ich cicha rozmowa nie trwała dłużej niż kilkanaście sekund i gdyby nawet ktokolwiek lub cokolwiek — człowiek lub aparat — obserwował tę rozmowę w bibliotece, nie znalazłby nic godnego uwagi w tym, że chłopak zamienia kilka słów z przybraną matką. Chwilę później i oni dołączyli do jednej z większych grup oczekujących na wykład historyka Tenny-O’.

Ludzie z załogi otoczyli Mayariego, nowego przyjaciela, który mógł służyć informacjami do ich stałego tematu dyskusji.

— ...nie chcę chwalić tej wygodnickiej epoki — mówił właśnie Mayari — ale pewne jest, iż ile razy mamy na stacji badawczej jakieś wolne miejsce, liczba zgłoszeń sięga tysiąca, możemy więc wybierać do woli. Wiem, że to samo dzieje się i na innych stacjach. Mimo wszystkich przykrych doświadczeń muszę przyznać, że na Eeli są jeszcze młodzi ludzie, którzy oddaliby wszystko za to, by móc tam pracować. Te pragnienia trzeba za wszelką cenę przekształcić w twórczą energię. A tymczasem my nie potrafimy im dać miejsca pracy ani zajęcia.

— Czy nie można rozbudować stacji badawczych? — spytał ktoś z załogi.

— Wydaje się to teraz niemożliwe. Dziesięć lat temu liczba stacji stale rosła, rozpoczynaliśmy dziesiątki nowych programów badawczych. Potem nagle zmieniło się nastawienie rządu. Kiedy teraz na przykład potrzebujemy pojazdu, mijają całe miesiące, zanim go dostaniemy. Rada uczonych stacji zewnętrznych opracowała, ciągle jeszcze aktualny, wielki program — najpierw zwiększenia liczby stacji badawczych, a potem przygotowania osadnictwa terenów północy oraz tropików. Wiemy, że byłiby chętni i wśród uczonych, i wśród osadników. Rząd przychyliła się jednak do opinii tych ekspertów, którzy siedzą w laboratoriach tu, w Gambarze, albo w innych miastach strefy umiarkowanej i twierdzą, że warunki klimatyczne umożliwiają osadnictwo wyłącznie w zamieszkałej aktualnie strefie kontynentów Mag i Dar, że ani bardziej na północ, ani na południe od tej strefy nie można żyć. Gdybym jeszcze tylko wiedział, co my tam robimy? Oczywiście nas już powoli przestaje się uważać za normalnych ludzi.

— A jaki impuls dałaby ta praca naszemu życiu! — wtrącił przybyły właśnie Tenna-O’. — Możliwe, że właśnie taki impuls jest nam teraz najbardziej potrzebny.

Tenna, jak tego oczekiwali, ucieszył się z obecności Mayariego na wykładzie. Młody historyk należał do ich pierwszych przyjaciół na Eeli. Według harmonogramu Instytutu Hibernacji astronauta nie mieli nic do roboty. Każdy z astronautów miał prawo korzystać z obejmującej wszystko opieki instytutu, dopóki tylko miał ochotę. Co więcej, dyrektor instytutu, Yadonnen, uważał nawet za rzecz pożądaną, by czas rozglądania się po świecie i adaptacji nie był dla nikogo z nich krótszy od roku. Czas ten był potrzebny, by mogli później podjąć prawidłową decyzję na temat swojej przyszłości. Miasteczko Neurobloku było całkowicie samowystarczalne. Biblioteka mikrofilmów była, jeśli chodzi o materiał ostatnich siedmiuset lat, najbogatsza na świecie, zjeżdżali się do niej z najdalszych stron po materiały zajmujący się tamtymi czasami uczeni — historycy, etnografowie, historycy sztuki. Astronauta rzucili się do studiowania dokumentów’.

W Instytucie pozostawiono im wolną rękę w organizowaniu sobie nauki, choć pomagano we wszystkim. Yadonnen był zdania, że należy ich traktować poważnie: byli ludźmi dorosłymi, uczonymi. Jego podstawową zasadą było, że Instytut tylko wtedy będzie mógł wypełnić swe ogromnie trudne zadanie, jeśli swych wychowanków „poprowadzi za rękę” w taki sposób, iż nie będą tego dostrzegać. Nie tylko Igo, ale i jego dorośli koledzy — wszyscy doceniali tę zasadę, którą praktyka potwierdziła od pierwszego dnia.

Kiedy dość szybko okazało się, że obok postępów własnej dziedziny każdego ciekawia przede wszystkim dzieje utraconych stuleci, na wniosek Yunnar zorganizowano cykl wykładów z historii. Do prowadzenia wykładów instytut zaprosił młodego specjalistę historii współczesnej z uniwersytetu miasta Mag-Pol, Tenna-O’. Młody historyk tak bardzo cieszył się tym, że może się

stale spotykać z astronautami, iż nawet w trakcie czternastego wykładu jego głos drżał ze wzruszenia. Prowadząc wykłady, zaczął jednocześnie pisać książkę o dziejach ich wyprawy.

Wykłady dużo bardziej przypominały przyjacielskie rozmowy albo zebrania grup uczonych, pracujących nad jakimś trudnym problemem, niż studia.

Tak było i tego dnia. Po wykładzie w ścisłym tego słowa znaczeniu przy dużym stole zgromadziła się stała grupa może trzydziestu osób, bardziej od innych interesujących się tematyką, całymi godzinami wypytyując uczonego, chętnie odpowiadającego na wszystkie pytania. Tego dnia byli obecni jak zwykle wszyscy historycy wyprawy, oprócz nich, jakby przypadkiem, całe kierownictwo, był też ich nowy znajomy Mayari no i oczywiście Igo.

Minęły już ponad dwie godziny od chwili zakończenia wykładu. Po pytaniach na temat ogólnego rozwoju techniki rozmowa powolutku, niby przypadkiem skierowana została na temat astronomii.

— Jak wygląda dziś sytuacja z Prokronem? — spytał siedzący naprzeciw Tenny Igo. — Jakie macie kontakty z księżycem?

Yunnar właśnie jego wyznaczyła do zadania pierwszego pytania, opierając się na zrozumiałej w wieku chłopca bezceremonialności. W ciągu całego minionego roku nie słyszeli ani słowa o Prokronie, zupełnie jakby w ogóle nie istniał.

Zanim Tenna zdążył coś odpowiedzieć, Uri, działając według przygotowanego planu akcji, podniósł się.

— Bardzo żałuję, ale ja już jestem głodny.

Tenna, jak zawsze, niemal przestraszył się, że rozmowa na tym się zakończy.

— Każemy sobie tu podać kolację — zaproponował — nie po raz pierwszy zresztą. Zostań, proszę, a ja zaraz to załatwię.

Uri usiadł z powrotem niemal niechętnie, podczas gdy Tenna wezwał z pulpitu interkomu stołówkę i zamówił trzydzieści kilka porcji. Inni rozmawiali na różne tematy. Igo przeglądał zdjęcia dwuosobowego toczydła — tak bowiem nazywano na Eeli lądowe pojazdy o kształcie cygara. Po upływie roku, kiedy zaczną pracować lub studiować na uniwersytecie, dostanie taki pojazd.

Najdokładniejsza obserwacja psychologiczna ich zachowania nie wykazałaby teraz, że poruszony problem interesuje ich — każdego z osobna oraz wszystkich razem — bardziej niż jakikolwiek inny.

— O czym to mówiliśmy? — spytał Tenna, kiedy skończył zamawianie jedzenia. — Ach, tak, o Prokronie. Niestety ani jego kolonizacja, ani też innych obiektów poza Eelą, nie spełniła wiązanych z nią nadziei. Dzisiejszą sytuację można w skrócie przedstawić następująco: stacja badawcza na Prokronie osiągnęła szczyt swego rozwoju mniej więcej pięćdziesiąt lat temu. Jej dziesięciotysięczna obsada, składająca się głównie z uczonych i ich rodzin, cały czas walczyła z wyjątkowo nie sprzyjającymi warunkami zewnętrznymi. Trzecią część powierzchni Prokrona pokrywa woda, atmosfera jest tak rzadka, że poza hermetycznie zamkniętym obszarem osady trzeba było używać skafandrów zupełnie jak w przestrzeni kosmicznej. Jedynym celem osadnictwa były badania naukowe. Powierzchnię księżyca badały niezliczone wyprawy, a mimo to duża część Prokrona pozostała nieznana. Badania można było bowiem prowadzić tylko z powietrza. Musiano w tym celu skonstruować specjalne latające tarcze o napędzie raketowym z uwagi na rzadkość atmosfery. W każdym bądź razie z biegiem lat przekonano się, że Prokron nie nadaje się do niczego innego, oprócz prowadzenia z niego obserwacji Eeli oraz badań astronomicznych. Tymczasem dwanaście lat temu skokowy rozwój nauki i techniki, w wyniku którego wypracowano kilka nowych metod, zwłaszcza stosowanie automatycznych obserwatorów umieszczonych poza atmosferą, uczyniło zbędnymi te stałe ogromne wysiłki

ponoszone przez Eelę i przez skazanych na nieludzkie warunki osadników. Po specjalnej uchwale rządu, dziesięć lat temu człowiek wycofał się z Prokrona. Poza tym na Prokronie nie ma fauny, na florę zaś składa się kilka gatunków karłowatych skrzyków, w sumie nic ciekawego.

Po tym wyjaśnieniu omawiano jeszcze dziewięć innych obszernych i zajmujących zagadnień i kiedy rozstawali się późnym popołudniem, Tenna zupełnie nie pamiętała, żeby poruszali jakiś wyjątkowy temat.

Cała akcja była starannie zaplanowana. Było rzeczą oczywistą, iż nie mogą się otwarcie wypytywać. „Śledztwo”, jak je nazwano, szło niezwykle powoli, a każdy krok przygotowywany był z góry i projektowany wraz z najdrobniejszymi szczegółami przez grupę psychologów. Plany omawiano na naradach, które zawsze odbywały się na wolnym powietrzu. Starano się zestawiać informacje za pomocą cząstkowych pytań, zadawanych przez kilku członków załogi w celowo pomieszanym porządku różnym ludziom w najróżniejszych miejscach i w różnym czasie. Jeśli na pięć pytań zaoszczędzili jedno z powodu zasłyszania jakiejś spontanicznie wypowiedzianej uwagi, liczyło się to jako oddzielny drobny sukces. Właśnie ze względu na powolność tej metody zdecydowali, by w wypadku Tenny — zakładali na podstawie raczej intuicji, niż logicznych wniosków z jego czteromiesięcznych wykładów, że nie uczyni niczego przeciw nim — uciec się do śmielszego kroku i za pomocą takiego skrótu posunąć się szybciej naprzód w badaniach.

— Niewiele się dowiedzieliśmy — podsumował Nordeng na kolejnej naradzie.

— Dziesięć lat temu człowiek wycofał się z Prokrona... — powtórzył słowa Tenny zamyślony Uri. — Wiele bym dał, żeby posłuchać kryształów z tamtego posiedzenia rządu.

3

Nie było innego wyjścia, na pewien czas musieli odłożyć nowe pytania.

Stopniowo mogli już zacząć liczyć na Eeli na prawdziwych przyjaciół, Tennę zaś — mimo że nie wtajemniczyli go w swoje problemy — bez wahania wszyscy serdecznie polubili. Jego poświęcenie nauce przemawiało samo za siebie. Ich drugim przyjacielem został Mayari-An, astro- i meteorolog z jednej ze stacji Daru. W wolnych miesiącach, które spędzał w dawnej stolicy, odwiedzał ich niemal codziennie.

Najbliższy był im jednak Yadonnen. Wszyscy znali jego dzieje i wiedzieli, jak wiele dla nich uczynił na lata przed ich powrotem.

Dyrektor Instytutu Hibernacji miał trochę ponad sto lat, nie był więc jeszcze bardzo starym człowiekiem. Średnia długość życia wynosiła około stu trzydziestu lat, a setkę uważano wśród ludzi zajmujących się pracą umysłową, a zwłaszcza uczonych—teoretyków, za wiek płodnej mądrości.

Yadonnen nie potrafił jednak powiedzieć o sobie, czy jest teoretykiem, czy zajmuje się nauką stosowaną. Przez całe życie zdobywał wiedzę tylko w tym jedynym celu: żeby w wieku sześćdziesięciu lat być przydatnym do kierowania pracami nad przywróceniem życiu i współczesności powracających dziewięćset astronautów. Zadaniu temu poświęcił się z pełnym oddaniem, całym sercem, mimo że nie mógł być nigdy całkowicie pewny, czy statek kiedykolwiek powróci.

Lata sześć tysięcy setne czcił jako epokę bohaterów i to było przyczyną jego wyboru drogi życiowej. Ogromna praca tamtych lat stworzyła podstawę rewolucji naukowej, której współczesne społeczeństwo zawdzięczało godne człowieka warunki życia. Wtedy to, w ciągu niespełna siedemdziesięciu lat, miały miejsce wszystkie największe fundamentalne odkrycia

ludzkiej nauki. Otworzyło ją skonstruowanie pierwszych współczesnych pojazdów z silnikami spalinowymi — za tym następowały odkrycia elektryczności, radia, telewizji, powstanie nowoczesnego przemysłu, wynalezienie tworzyw sztucznych, odkrycie energii atomowej i wreszcie pierwsze podróże kosmiczne. W całych dziejach ludzkości, ani przedtem, ani potem, nie było podobnych siedemdziesięciu lat, a całą tę pracę wykonały właściwie dwa czy trzy pokolenia. Wszystko, co zdarzyło się od tamtego czasu, było już tylko logiczną konsekwencją tamtych osiągnięć i ich spokojną kontynuacją.

Dla małego wtedy jeszcze Yadonnena ludzie tamtych czasów otoczeni byli jakąś niezmierną aureolą. Chciał być taki sam jak oni. Kiedy miał już dwadzieścia lat i skończył szkołę powszechną — dzięki temu, że ludzie żyli dłużej, mogli się dłużej uczyć, a było czego — przekonał się, że nie będzie miał ku temu sposobności. Na Eeli zniknęło już ryzyko, bez którego nie potrafił sobie wyobrazić prawdziwej pracy badawczej. Jego świadectwo szkolne było wprost wyśmienite, dostał się więc do wąskiej grupy, która po ukończeniu szkoły mogła sobie wybierać dowolny zawód. Społeczeństwu najbardziej opłacało się pozostawiać tym ludziom całkowicie wolną rękę w wyborze dalszych studiów. Yadonnen uważał, że stoi przed nim tylko jedna możliwość: praca na zewnętrznej stacji badawczej. Tam jeszcze było niebezpieczeństwo, tam człowiek wydostawał się z otaczającej go zawsze i wszędzie wygody. Oderwałoby go to jednak od ukochanego okresu dziejów. Nie chciał także zostać historykiem, uważał bowiem tę naukę za martwą. Pozostała mu więc jedna jedyna możliwość: powrót statku. Będzie miał wtedy sześćdziesiąt lat. Wbrew opinii całego swojego otoczenia — a rysowała się przed nim piękna przyszłość, miałby może nawet poważną szansę na urząd prezydencki — nie wybrał jednak kariery administracyjnej i politycznej, ale zgłosił się do tworzonego właśnie wtedy Instytutu Hibernacji. Po niedługim czasie został jego „dyrektorem. Przez całe życie czekał na powrót statku, studiował materiały na temat tamtych czasów, przygotowywał się na przyjęcie ludzi, którzy nawet w tym bohaterskim okresie należeli do najodważniejszych i zdolnych do największych poświęceń. Miasteczko Neurobloku było jego osobistym dziełem. To, by Nordeng-O', Uri-An i inni nie znaleźli się w niezrozumiałym, obcym im świecie, by ludzkość mogła się im odplacić za ich czyny choćby tym, choć i tak niczym nie można było za to zapłacić, stało się celem całego jego życia. Wiedział o tych dziewięciuset ludziach wszystko, co o nich wiadomo w momencie startu. Dzięki spokojnym stuleciom Eeli zachowały się wyniki testów i badań psychologicznych, dokładne opisy prac przygotowawczych, wyposażenia wyprawy, plany statku. Yadonnen od tych materiałów rozpoczął tworzenie biblioteki mikrofilmów instytutu.

Tymczasem skończył sześćdziesiąt, potem siedemdziesiąt lat, a statek ciągle jeszcze nie wracał. Rząd uważał wyprawę za zaginioną i wystąpił z propozycjami likwidacji kosztownej placówki naukowej. Oznaczało to opróżnienie całego miasteczka i po odpowiednich przeróbkach i adaptacjach przeznaczenie go na inne cele. Tymczasem było ono dziełem życia Yadonnena a zarazem — z uwagi na funkcjonalność i doskonałość — wybitnym osiągnięciem architektury.

— Mógłbym wydać pamiętniki pod tytułem „Dlatego żyłem” — powiedział kiedyś podczas rozmowy z Nordengiem. — Wierzyłem jednak, że wrócicie, nie miałem innego wyboru. Tylko ja odpowiadałem za instytut, pod takim warunkiem obejmowałem kiedyś jego kierownictwo. Na nic zdały się wszelkie perswazje — nie pozwoliłem go zlikwidować. W chwili startu liczone się, co prawda z niewielkim prawdopodobieństwem, z możliwością odchyłki do czterdziestu lat w obie strony. Upieraliśmy się więc przy tym, żeby czekać do tej pory. Sprawa likwidacji zesłała z porządku dziennego, wracała jeszcze potem co kilka lat, ale ja się nie poddawałem. Wraz z kilkoma moimi ludźmi, którzy wytrwali przy mnie, a wiem, że zrobili to raczej przez wzgląd na mnie, utrzymywaliśmy miasteczko w gotowości. Wszyscy moi towarzysze byli w do— datku teoretykami, którym atmosfera instytutu i jego biblioteka dawała świetną okazję do własnej pracy

naukowej. Tylko to umożliwiło nam utrzymywanie się aż do końca.

Upłynęło jednak czterdzieści lat od daty powrotu i Yadonnen znalazł się już w sytuacji nie do pozazdroszczenia, kiedy automatyczna wieża badawcza instytutu zasygnalizowała zbliżanie się z przestrzeni kosmicznej nieznanego obiektu. Obiekt zbliżał się do układu z oczekiwanego kierunku, a jego rozmiary i prędkość odpowiadały statkowi.

Nastąpiły teraz dwa tygodnie, w trakcie których nawiązano łączność ze statkiem. Przez cały ten czas Yadonnen w ogóle nie spał i żył tylko na różnych pigułkach. To on stał przy prezydent Evoli podczas pierwszego seansu łączności i po kolei przedstawiał jej pokazujących się na ekranie ludzi — najpierw Amona, drugiego łącznościowca, potem wszystkich obecnych w kabinie Uriego. Nie wiedział tylko, kim jest Igo.

— A potem wzięliśmy się do roboty — opowiadał im ciągle od nowa. — Mieliliśmy już od dawna opracowane szczegółowe plany. Czułem się, jakbym miał znowu dwadzieścia lat. Kilku współpracownikom, którzy mi pozostali, poleciłem przepracować słownik i uzupełniać cykl programów. Przygotowywano nowe ujęcia. Do tego wszystkiego potrzeba było ludzi, więc na tym etapie prac kadra instytutu rozrosła się pięciokrotnie. Od chwili, kiedy zgłosił się statek, nie brakowało już chętnych do tej pracy. Przeorganizowaliśmy całe miasteczko. Wszystko oczekiwało nowych narodzin...

Wszyscy astronauty dobrze wiedzieli, że Yadonnen jest człowiekiem samotnym, nie ma żadnej rodziny, i od chwili, kiedy z sykiem otworzył się właz słuzy statku i wyrównało się ciśnienie powietrza — od tej pierwszej chwili bez przerwy jest wśród nich.

4

W trakcie dalszego „śledztwa” mogli stwierdzić, iż prawdopodobnie część napisów w przesyłanych im programach pochodzi z innego źródła, niż same programy, o których wiedzieli, że powstały w instytucie z osobistym udziałem Yadonnena.

Nordeng, jako lekarz, przeprowadził pewnego razu na Yadonnenie rodzaj testu i stwierdził, że dyrektor albo nie ma pojęcia o najbardziej intrygujących ich napisach, bądź też wspaniale przygotował się do ukrycia swojej wiedzy o ich istnieniu. Kiedy mowa była o napisach o treści czysto dydaktycznej, sam stwierdził, że własnoręcznie zestawiał ich materiały. Było jasne, że w związku z napisami nie odczuwa żadnych wyrzutów sumienia. Yunnar nie uważa za prawdopodobne, by stary uczoney udawał. Musieli się raczej liczyć z innym, potężnym i nieznanym wrogiem, o którym nic nie wiedzieli; nie znali jego siły ani zamiarów. Po wykładzie Tenny na pewien czas odłożyli sprawę, nie uważając jej za bardzo pilną. Mimo że ich pierwszy rok na Eeli dobiegał końca, tu, w instytucie, odnosili wrażenie, że pojęcie pośpiechu przestało istnieć.

W instytucie czuli się jak synowie bogatego ojca, którym do znudzenia powtarza się, że jedynym ich obowiązkiem jest nauka i dobre samopoczucie. Dowodziła tego w praktyce organizacja całego ich trybu życia. Rzeczywiście opiekowano się nimi troskliwie. Właściwie potrzebowali pewnej obrony przed życiem publicznym. Od czasu ich pierwszego pojawienia się na ekranach, jeszcze z przestrzeni kosmicznej, kiedy to cała Eela mogła oglądać ich dziwne ubiory, słuchać przerywanego sposobu mówienia Uriego, a potem innych, mowy przypominającej przedwcześnie dorosłe trzyletnie dziecko, instytut pozostawił im wolną rękę co do tego, kiedy będą chcieli pokazywać się publicznie. Nie bardzo chcieli. Wiedzieli, że mają

jeszcze przed sobą cały rok razem, akurat dostatecznie dużo czasu, by włączyć się w życie powszednie, by nikt nie patrzył na nich jak na jakieś żywe, poruszające się i paplające eksponaty muzealne. Rada uczonych, która przejęła teraz kierownictwo, opracowała plan włączenia się załogi do życia publicznego. Nie mogli się przecież odizolować, bo odsunęliby tylko na później czas zaskoczeń i niepowodzeń. Tenna i tak pewnego dnia przyniósł im wiadomość o pogłoskach krążących wśród ludności, według których rząd dlatego trzyma ich w odosobnieniu, iż jedzą surowe mięso i wydzielają przenikliwy odór.

Wybrali więc Yunnar na rzecznika prasowego i zorganizowali konferencję. Następnego dnia po tym, jak Tenna przyniósł im dziwną wiadomość, korzystając z pomocy młodego historyka, nawiązali kontakt z redakcją centralnego programu telewizyjnego kontynentu zachodniego. Zgłosili, że Yunnar, jako rzeczniczka załogi, chciałaby w ciągu najbliższych dni opowiedzieć o nich i o ich wyprawie w programie, który mogłaby odbierać cała ludność Eeli. Kierownictwo programu z radością przyjęło ich zgłoszenie i wspólnie wyznaczono dzień, w którym zarezerwują dla nich przed południem czas antenowy.

Następne programy przygotowywali już z uwzględnieniem przyjęcia pierwszej, piętnastominutowej audycji. W dalszym ciągu programy prowadziła Yunnar, ale zapraszała do nich coraz to więcej członków załogi. Występowali przed kamerami we współczesnych strojach, starali się mówić odpowiednio miękko, co im już zupełnie dobrze szło. Oczywiście ich wymowa nie była jeszcze doskonała, ale nikt tego od nich nie wymagał, każde zdanie zaś dawali do zatwierdzenia Yadonnenowi. W ten sposób udało się uniknąć ewentualnych głupstw. Po siódmym programie zaprosili na konferencję prasową przedstawicieli wielkich agencji prasowych Eeli.

Wynikiem ich publicznego przedstawienia się było, iż traktowano ich teraz, ze względu na ich zachowanie się, czy też niezwykle wyobrażenia ° życiu, za artystów lub uczonych. To już im odpowiadało. Wiedzieli, że zwykły, nigdzie nie pracujący człowiek spotkany na ulicy nigdy nie będzie uważał ich za normalnych: zdradzają ich od razu krótkie włosy, kanciasty sposób wystawiania się oraz opętańcza chęć czynu. W ten sposób jednak społeczeństwo potrafiło ich umieścić w swoim systemie wartości, tak jak badaczy ze stacji zewnętrznych lub muzyków grających na tablicach–harfach.

5

— Cóż za okolica! — niemal krzyknęła młoda kobieta, rozejrzawszy się po otoczeniu, po pokrytych iglastym lasem pagórkach. — Jakie piękne byłoby tu życie! Właściwie to niezrozumiałe, że w takim miejscu nikt nie mieszka.

— Ta ziemia — rzucił w jej stronę siedzący wraz z innymi na brzegu rzeki Mayari–An — mogłaby wyżywić dziesięć razy tyle ludzi, ile na niej mieszka.

W dolinie widać było spacerujące grupki ludzi. Rozglądali się, zapoznawali z okolicą, w której chcieli w przyszłości zamieszkać. Dlatego właśnie przyjechali tu dziś wielkim pojazdem — kilkuset z nich, kogo tylko mogli zwołać, by ustalić dokładnie miejsce przyszłej osady.

Dolina leżała kilkaset kilometrów na północ od Mag–Polu, w odległości kilkunastu minut jazdy. Środkiem płynął strumień. Pokrywający zbocza pagórków liściasty las nie dochodził aż do brzegów strumienia, zostawiając wzdłuż niego prawie zupełnie pusty pas niemal kilometrowej szerokości. Osadę można było w razie potrzeby łatwo rozbudować bądź na drugim brzegu strumienia, bądź też wycinając las na zboczu.

Oglądanie terenu trwało godzinę. Prawie wszyscy byli zadowoleni z wyboru. Konstytucja państwa światowego zapewniała każdemu obywatelowi planety między innymi prawo swobodnego wyboru miejsca zamieszkania, rząd zaś był zobowiązany dostarczyć niezbędnych środków technicznych. Drugą możliwością, daleko częściej wykorzystywaną, było wybranie sobie odpowiedniego mieszkania spośród budowanych masowo w miastach lub ich bezpośrednim otoczeniu.

Nie mieli żadnych kłopotów, kiedy zgłosili życzenie osiedlenia się w dolinie na północy, nikomu to nie przeszkadzało.

Tu, u podnóża rozciągającego się na północ od miasta pasma górskiego, kończył się rajski klimat subtropików i strefy umiarkowanej, sto kilometrów bardziej na południe kończyło się panowanie wiecznego lata. Wahania temperatury bywały tu już całkiem spore, w środku lata zdarzała się spiekota, w zimie nierzadka była nawet metrowa warstwa śniegu. Według oficjalnych opinii okolica ta traktowana była jako nie nadająca się do życia.

— Na Eeli mogłoby mieszkać pięć miliardów ludzi, a nie pięćset milionów — stwierdził Mayari. Igo, siedzący wraz z kolegami na kamieniach nad rzeką, wyczuł w jego głosie tę samą gorączkę, co podczas ich pierwszego spotkania w gambarskiej restauracji. — Nasza zautomatyzowana cywilizacja rozwiązuje wszystkie problemy, nie pozostawiając żadnych złudzeń, że tam, gdzie wieje wiatr, człowiek nie może żyć. Zaczęliśmy więc zmniejszać przyrost naturalny, aż udało się nam niemal wytrzebić samych siebie. Każdy uczeń w szkole zaraz na początku zapoznaje się z podstawową zasadą dynamiki demograficznej, według której społeczeństwo jest dopóty zdolne do rozwoju, dopóki zwiększa się liczebność jego członków. Tymczasem uważają nas ze wszystkimi naszymi planami osadnictwa za głupców. Jesteśmy bowiem społeczeństwem wygodnickim. Nie należy brać się za takie ryzykowne przedsięwzięcia, bo mogą się pojawić trudności i jeszcze trzeba by się nad nimi zastanawiać! Nie, nie, wszystko ma swoje granice. Ty już mnie raz słyszałeś — zwrócił się do Igo. — Miałeś chyba wrażenie, że jestem niespełna rozumu. — Igo skinął w odpowiedzi poważnie głową. — Wszyscy moi towarzysze badań — ciągnął Mayari — przyzwyczaili się już do tego, by milczeć i pracować. Ja tak nie potrafię. Ale powiedzcie sami, wy, którzy nie spędziliście tu całego życia, powiedz ty, Yunnar, urodzona w czasach, o których mówimy jak o złotym wieku, czy nie uważacie, że na tej naszej rajskiej Eeli nie wszystko idzie tak wspaniale?

Yunnar rozejrzała się. Najbliższa grupka ludzi siedziała w większej odległości. Słyszeć mogło ją tylko kilku ludzi — „sztab” statku, jak się sami nazywali, oraz Igo.

— Tak właśnie uważamy — odpowiedziała po chwili. — Dziś podjęliśmy decyzję, że wtajemniczymy ciebie i Yadonnena. Potrzebujemy waszej pomocy. Spotkamy się dziś o siódmej wieczorem, na bulwarze pod mostem Środkowym w Gambarze.

Wieczorem zgromadzili się w piątkę na brzegu Delii, na najniższym stopniu schodów pod mostem, tak że nie było ich z góry widać. Za plecami mieli pionową ścianę wyłożonego kamieniami nadbrzeża. Kiedyś, w czasach rewolucji przemysłowej, tą wąską rzeką podążała większość ruchu towarowego do Mag-Polu. Po drugiej stronie rzeki na stojących w wodzie filarach biegła wąska stalowa droga. Był wczesny wieczór, w sznurze pojazdów na drodze pojawiały się już dłuższe przerwy. Nad ich głowami słychać było nieustanny szum miasta. Yunnar, kończąc swoją wypowiedź, streściła obu uczonym fakty związane z Prokronem oraz wyniki ich dotychczasowego śledztwa.

— Rozumiem — powiedział Yadonnen. Mayari słuchał w milczeniu. — A więc działają przeciwko nam jakieś określone siły. Może o tym nie wiecie, ale od waszego powrotu uważany jestem za należącego do was. Macie jednak rację, iż nie wtajemniczyliście mnie w to od razu —

ja też nie postąpiłbym inaczej na waszym miejscu.

— Niczego nie wiemy — powtarzała po cichu Yunnar — niczego nie możemy się dowiedzieć w tym obcym świecie.

— A przecież to ty redagowałeś programy — dodał Mayari, zwracając się do Yadonnena.

— Gdybyście mi o wszystkim powiedzieli, może zasłilibyśmy już dalej — odpowiedział stary uczony. — Oczywiście że nie wiedziałem o tamtych napisach, ani o tym, co już wykryliście — że kryształy wydostały się poza obręb instytutu. Jeśli zaś chodzi o skierowane przeciwko wam działania, to domyślam się, gdzie należy szukać sprawców.

— Igo jest zdania — powiedział poważnym tonem Nordeng — że może się to dziać właśnie w naszym interesie, z jakichś nie znanych nam przyczyn.

Chłopiec zawsze brał udział w najistotniejszych naradach. Uważali to za rzecz bardzo ważną: Igo ze swoją młodością mógł być dla nich łącznikiem z następnymi pokoleniami, dzięki zaś młodemu wiekowi zauważał niedostrzegalne dla innych aspekty różnych problemów. Raz już świeżość jego umysłu bardzo im pomogła. W tajemniczej sprawie Prokrona też miał zupełnie inne odczucia. Nie śmiał ich jeszcze formułować, nawet na swój własny użytek. Największą tajemnicą było bowiem dla niego ludzkie społeczeństwo, czy to w starej, czy w nowej formie. Bardzo mu ciążyła myśl o wrogach, o takiej formie walki.

Bronił się przed nią całym umysłem. Walka wymagała dla niego istnienia okrutnej natury, tysięcznych pułapek przestrzeni kosmicznej czy też, jak to się im raz zdarzyło, jednoczesnej nieoczekiwanej awarii obu siłowni termojądrowych. Życie ich wszystkich zależało wtedy tylko od tego, czy przez dwa dni, kiedy to zdalnie sterowane roboty naprawiały siłownie, nie będzie wymagana żadna zmiana kursu ani prędkości lotu. Było jednak coś, na co zawsze mógł liczyć każdy członek załogi statku: czynnik ludzki, łączące ich wszystkich więzi, współpraca i przyjaźń po wsze czasy wśród obcych gwiazdozbiorów, przez bieg stuleci. Na dnie duszy nie chciał jeszcze ciągle zgodzić się z połączeniem ze sobą pojęcia człowieka i wroga, z tym, że będzie musiał nauczyć się tego związku wraz z niezliczonymi nowymi pojęciami. Często sam w to nie wierzył, ale upierał się, by przeanalizowali jego hipotezę: że napisy nieznanego pochodzenia zostały przemycone do wysyłanych na statek programów właśnie w interesie astronautów.

— Czy możliwe — spytał obu ludzi z Eeli — że chcą nas ochronić przed jakimiś szkodliwymi wpływami?

— Nie — odpowiedział bez wahania Mayari. Jego przeczenie było dużo bardziej zdecydowane, niż któregokolwiek z astronautów zapytanych o to samo. Tak samo jednoznaczne było kiwnięcie głowy Yadonnena.

— Po co ukrywano by przed wami całą akcję? — ciągnął Mayari. — Nie jesteście przecież dziećmi. Uważam, że wasi uczeni już po upływie tego jednego roku są lepsi, niż dysponujące dyplomami pierwszej klasy mole książkowe uniwersytetów Gambar i Aino. Dlaczego nie wtajemniczano by w takim razie Yadonnena, na którego barkach spoczywał cały ciężar pracy? Prawdopodobnie dlatego, że w pewnym sensie i on jest zjawiskiem wyjątkowym w tym bezproblemowym świecie. On też nie potrafił się przystosować. Przez całe życie czekał na was, a tymczasem mógłby może nawet zostać gubernatorem Mag-Polu. Czy można to zrozumieć? Oprócz tego ktokolwiek przyjrzy się temu z bliska, musi dostrzec, że on także i uczuciowo stoi po waszej stronie. Nie, tu ktoś ma nieczyste zamiary. Za kilka dni wracam do stacji, kończy mi się urlop. Całe szczęście, że mam do czynienia z wami, bo tu co drugi człowiek spytałby: a co to znaczy? Słowem: wracam do stacji i spróbuję trochę się rozejrzeć w tej sprawie. Musimy się dowiedzieć czegoś więcej na temat kryształów. Jeśli będę chciał kogoś wtajemniczyć w całą sprawę, najpierw nawiążę kontakt z wami. Wideofon jest dość pewnym środkiem łączności — jest tak skonstruowany, że w wypadku łączności prywatnej odbiór możliwy jest tylko na tym

ekranie, do którego było adresowane wezwanie. Zawsze będę w takich wypadkach prosił o waszą zgodę. Wy także pracujcie przez ten czas. Podążając z odpowiednią ostrożnością tropem kryształów, na pewno na coś się natkniemy.

— Poza nami, ludźmi ze statku — powiedział Nordeng — tylko wy dwaj wiecie o wszystkim. Wiemy, że możemy na was liczyć. Lepiej możecie ocenić wszelkie okoliczności niż my, nawet po wielu latach pobytu na Eeli. Ty, Mayari, masz kontakty z uczonymi stacji zewnętrznych, z najlepszymi specjalistami ludzkości, zakładając, że wszyscy są tacy jak ty.

— Jak ja? — przerwał mu Mayari. — Ja należę do najzwyczajniejszych spośród nich. Musicie ich koniecznie poznać. Nie ma między nami takiego, który co najmniej kilkanaście razy nie ryzykował życiem. W równikowych dżunglach spotykali takie zwierzęta, o których istnieniu ludzie w mieście nie mają już nawet pojęcia. Kiedyś odwiedzimy razem wszystkie stacje.

— Będziemy tego potrzebować — powiedział Uri. — Chcieliśmy nawet sami o to poprosić.

— Jest jeszcze jedna sprawa, w której możemy pomóc. My, ludzie z zewnątrz, nie mamy trudności w dotarciu do dowolnych szczebli rządowych, zarządzających czy kontrolnych, bowiem tylko uczonej pierwszej kategorii może zostać wysłany na stację, a każdy z pierwszą kategorią w dowolnym momencie może zażądać przyjęcia go przez prezydenta.

— Ja natomiast — dodał Yadonnen — mam wrażenie, że szybko dowiem się czegoś na temat losu kryształów. Mój zakres obowiązków umożliwi mi dyskretne węszenie, gdzie tylko się da. Potrzebuję dwóch—trzech dni, przez ten czas dowiemy się czegoś więcej.

6

Dziewięciuset ludzi nie bardzo może mieć takie same cele i wyobrażenia.

Najistotniejszej więzi, jaka ich łączy, i tak nie rozerwie nic i nikt, nawet oni sami. Poza wspólnym „pochodzeniem”, które nawet w najściślejszych związkach, jakie później zawiązali z ludźmi z Eeli, utrzymywało ich w pewnym sensie trochę w oddali, łączył ich wszystkich wspólny sekret, którym najprawdopodobniej była wspólna, walka, wspólne przeżycie niebezpieczeństwa. Niezależnie jednak od tego wszystkiego już w trakcie pierwszego roku, najpierw w planach, a później w praktyce rozpoczęło się rozproszenie. Ci, którzy chcieli zbudować na północ od miasta wspólną osadę, stanowili tylko ułamek załogi statku.

Najłatwiej oderwała się od wszystkich obsługa techniczna. Ludzie ci, w większości samotni mężczyźni, dzięki swojej pracy bliżsi byli żołnierzom, inżynierom oraz wysoko wykwalifikowanym robotnikom średniowiecza, niż uczonym. Zajmowały ich raczej problemy praktyczne. Yadonnen mógł teraz obserwować wcielanie się w życie swojego przeświadczenia, iż właśnie ta część załogi najszybciej odnajdzie swe miejsce w nowym świecie. Większość z nich już po pierwszych miesiącach spędzonych w miasteczku Neurobloku wiedziała, czym się będzie dalej zajmować. Ludzie ci starali się szukać pracy podobnej do swych dawnych zawodów — choć zdawali sobie sprawę, że podobieństwo to jest raczej formalne. Na przykład technik żywienia z załogi statku, chcąc w cywilizacji starszej o siedemset lat pozostać w swoim zawodzie, musiał się nauczyć niemal tyle samo nowych pojęć, co w wypadku, gdyby chciał zostać architektem. Zresztą u podstaw decyzji techników nie leżały względy praktyczne, to, czy potrafią wykorzystać coś ze swej dawnej wiedzy. Oni, którzy zgłosili się kiedyś na ochotnika i zostali wybrani jako najlepsi spośród setek chętnych na każde miejsce, kochali swoją pracę i uważali fakt, że otworzą się przed nimi nowe, cudowne możliwości, za bogate zadośćuczynienie konieczności uczenia się wszystkiego od nowa. Dzięki temu ludzie z obsługi technicznej już po

pierwszych miesiącach mieli gotowe plany na przyszłość. Każdy z nich zgłosił się do odpowiedniej placówki zajmującej się kształceniem kadr w wybranym zawodzie. Przyjęto ich tam bardzo chętnie, z radością i zainteresowaniem, ludzie ci obdarzeni byli bowiem nieprzeciętnymi zdolnościami.

Część z nich wybierała się na Dar, bo tam się urodzili, tam chcieli się na nowo osiedlić, czując, że krajobrazy, mowa i zwyczaje mieszkańców półkuli wschodniej są im bliższe, niż na Zachodzie. Zmieniony niemal pod każdym względem świat zachował jednak pewną stałą różnicę między dwoma wielkimi kontynentami. Do dziś trwała rywalizacja między dwiema wielkimi stolicami, Mag–Polem i Dar–Anem, choć fakt, że organy zarządzające i cały rząd miał siedzibę na półkuli zachodniej, miał znaczenie czysto formalne w świecie, którego dwa najdalej od siebie położone miasta oddalone były o pół dnia drogi.

Trudniejsze było przystosowanie się pilotów i całej obsługi nawigacyjnej. Radiowcy mieli nadzieję, że znajdą zatrudnienie w sieci telekomunikacyjnej planety, piloci zaś, astronawigatorzy, atomiści sprawujący pieczę nad siłowniami musieli chcąc nie chcąc pogodzić się z faktem, że nie ma dla nich innych miejsc pracy niż w transporcie i komunikacji międzykontynentalnej. Automatyczne zabezpieczenia w tych dziedzinach zapewniały spokojną nudą w pracy. Im lepiej byli astronauta poznawali swoje zadania, tym wyraźniej odczuwali, że nie potrafią uważać za pracę sześciogodzinnego wysiadania za pulpitemi kontrolnymi. Starali się więc trafić do prac badawczych, projektowych i rozwojowych, zdając sobie przy tym dobrze sprawę, iż wymagać to będzie nadludzkiej wysiłków. Musieli bowiem przyswoić sobie najwyższy stopień wiedzy technicznej epoki, a potem wykroczyć ponad ten poziom. W ten sposób około stu pięćdziesięciu członków załogi — w większości mężczyzn — zdecydowało jednomyślnie, że uzupełnią niezbędne wiadomości szkolne, a potem, wraz z dwudziestolatkami Eeli, zaczną studia na wyższych uczelniach. Nie żałowali tych decyzji, bo nadały one kierunek ich działaniu i mocniejszymi liniami rysowały ich przyszłość. I tak nie mogli oczekiwać niczego więcej ponad to, że nowa, przyszła praca będzie tylko namiastką dawnej, wszyscy zaś żywili po cichu mgliste i całkowicie w obecnych warunkach pozbawione podstaw nadzieje, iż będą jeszcze kiedyś pracować na statku kosmicznym. Wspólnie podjęli decyzję o włączeniu do programu swych studiów historii astronautyki.

Igo także został studentem uniwersytetu gambarskiego. Za namową wielu ludzi, a przede wszystkim Yadonna, wybrał wydział ogólny. Oznaczało to wybór trudniejszej drogi — po ukończeniu uniwersytetu nie będzie jeszcze miał żadnego zawodu, będzie dysponował wiedzą ogólną zarówno w zakresie nauk technicznych, jak i społecznych. Byłoby to dla niego i tak korzystne rozwiązanie, nawet gdyby od samego początku nie powziął postanowienia, iż będzie się uczyć tak długo, jak tylko się da. Dzięki temu odłożył na pięć lat trudną chwilę decyzji. W skrytości ducha marzył, iż po ukończeniu wydziału ogólnego, mimo wielkiego obciążenia na starcie, wyniki egzaminów oraz wskaźniki psychologiczne umożliwią mu, tak jak Yadonnenowi, swobodny wybór zajęcia. A na tę okoliczność miał gotowe całkiem konkretne zamiary.

Pozostałych trzystu uczonych teoretyków stało przed najtrudniejszym zadaniem. Wszyscy wiedzieli, że pierwszym krokiem będzie uniwersytet. Ale co dalej? Gdyby byli tacy młodzi jak Igo. Zanim jednak uzyskają znów pełnię wiedzy i możliwości twórczych, nie pozostanie im już wiele lat życia. Zgromadzona wiedza była ogromna. Etnograf lub badacz środowiska nie mógł nawet marzyć o tym, by stanąć do rywalizacji z ludźmi urodzonymi i wychowanymi w tej cywilizacji, dla których jest ona naturalnym środowiskiem. Skłaniali się więc raczej do aspektów historycznych. Mieli tu pewną przewagę, ale ograniczała się ona tylko do określonej epoki, a poza latami sześć tysięcy setnymi rozciągała się dla nich biała plama. Cały ten problem wyglądał więc na bardzo trudny, jeśli nie nierozwiązalny. Zawsze wiedzieli, że kiedyś staną wobec

takiego zagadnienia, jeśli w ogóle wróca, ale z bliska wyglądało to jednak trochę inaczej. Wtedy bowiem dla wszystkich najważniejsza była sama wyprawa, a wszystko, co miało się zdarzyć później, uważali za okoliczności uboczne.

Problem potęgowała jeszcze dodatkowo okoliczność, że bez względu na specjalizację, wszyscy uważali się przede wszystkim za astronautów, ale zajęcie to na Eeli 6780 było anachronicznym i romantycznym marzeniem.

Wśród dziewięciuset byłych członków wyprawy nie znalazł się ani jeden, który nie chciałby pracować.

7

Yunnar oparła się wygodnie w świetnie podtrzymującym plecy i przyjmującym odpowiedni kształt fotelu małego jednoosobowego pojazdu. Była już przed wjazdem na bezpośrednią drogę wiodącą do Mag–Polu. Na drodze, tak samo jak w metropolii, ręczne sterowanie pojazdem było nie tylko zabronione, ale wręcz niemożliwe. Na minutę przed wjazdem na główną drogę na małym ekranie, zastępującym tablicę przyrządów, pojawiła się jarząca się głębokim fioletowym światłem literka A, zgasła, a potem zamrugała w sekundowych odstępach, sygnalizując przejęcie sterowania przez automaty.

Pojazd zatrzymał się przed skrzyżowaniem. W rzece pojazdów na głównej drodze nie było widać najmniejszej przerwy. Yunnar przygotowała się na to, że będzie musiała odczekać pełne pięć minut, po których zgłoszenie pojazdu ze skrzyżowania z drogą podporządkowaną lub z wjazdem na drogę główną powoduje wstrzymanie całego ruchu na drodze głównej i zwolnienie jednocześnie wszystkich jej skrzyżowań. Bez takiego rozwiązania nie dostałaby się na drogę aż do późnych godzin nocnych.

Wyciągnęła ze schowka swoje notatki z wykładów, otworzyła je i zaczęła przeglądać. Było coś niezwykłego w tym, jak bardzo ją uspokajało uczenie się. Ogarniało ją wtedy uczucie bezpieczeństwa z dawnych czasów, kiedy to jeszcze porządek całego świata nie przewrócił się do góry nogami.

Teraz jednak jakoś jej nie szło. Opuściła na kolana wąską cienką książkę (książka w swej historycznej formie w wielu przypadkach była praktyczniejsza od kryształów). Tuż przed nią pędził w milczeniu potok pojazdów na głównej drodze. Czasami wielkie toczydło pogrążało na mgnienie oka całe skrzyżowanie w cieniu. Przeniosła wzrok na tęczową, błyskotliwą smugę barw na drodze.

Czasy, kiedy przygotowywała się na Eeli do swojego ostatniego egzaminu, były teraz w niewysłowionej odległości. Wspomniała tamten dzień, podsumowujący dziwny nastrój jej samotnych lat. Jej ojciec, zmarł bardzo młodo na straszną chorobę, której podręcznik historii medycyny dzisiejszej Eeli poświęca trzy linijki druku.

Od Yadonna dowiedziała się, że jej matka żyła jeszcze przez dwadzieścia lat od startu wyprawy. Nie przyjęła ofiarowanego przez rząd wszystkim członkom rodzin astronautów pełnego utrzymania, prosząc, by dano jej pracę na uczelni, na której wykładała Yunnar. Do ostatnich chwil życia zajmowała się sprawami koła artystycznego studentów, wolny czas zaś poświęcała na głębokie i trudne z powodu braków wykształcenia studiowanie wszystkich zagadnień astronautyki, mających związek z wyprawą...

Z tablicy przyrządów dobiegł cichy trzask. Jej mały pojazd zakręcił na główną drogę i już po pół minuty pędził po zewnętrznej obwodnicy Mag–Polu z pełną prędkością miejską. Za nim z

drogi gąbarskiej wjechał cały rząd mniejszych i większych pojazdów. W tym momencie Yunnar musiała tylko wystukać na klawiszach sterujących tablicy numer kodowy, kierując pojazd do dzielnicy uniwersyteckiej, na odpowiednią ulicę i parking przed wybranym budynkiem. Gdyby teraz nie wydała odpowiedniego rozkazu, pojazd okrążyłby miasto po zewnętrznej obwodnicy, zamknąwszy zaś pełny krąg zapaliłby zewnętrzne światło alarmowe i automatycznie skierowałby się do najbliższego szpitala. Zanim jeszcze pojazdy zaczęto programować w taki sposób, zdarzały się wypadki, iż pasażer źle się poczuł i zmarł, nie mogąc z jakiegoś powodu dosięgnąć klawiszy. Pojazd ze zmarłym, pobierając energię z ukrytych pod nawierzchnią przewodów, z kabiną, do której nie można było zajrzeć z zewnątrz, latami krążył w ogromnym ruchu nie zauważony, z rozkładającymi się zwłokami w hermetycznym wnętrzu. Nie do wytrzymania stało się to wtedy, gdy jedni doszli do wniosku, że jest to najbardziej romantyczne miejsce do popełnienia samobójstwa, inni zaś prosili rodziny, by oddając ostatnią posługę chowały ich w takich wiecznie krążących grobach. W ruchu miejskim dziesięciomilionowej metropolii skuteczna kontrola okazała się niewykonalna, więc wprowadzono program alarmowy w pojazdach. Po każdym okrążeniu obwodnicy, w wypadku Mag-Połu mniej więcej co dwadzieścia minut, trzeba było na nowo zaprogramować jazdę. I tak okazywało się jeszcze niejednokrotnie, że policja drogowa, zatrzymawszy i otworzywszy pojazd starszego typu, znajdowała w nim krążącego od dziesięcioleci nieboszczyka, pochowanego z zachowaniem wszelkich zasad.

Yunnar nastawiła na tablicy sterującej drugi poziom miasta, siedemdziesiąte piętro. Ten poziom lubiła najbardziej, stąd widać było niebo, część panoramy miasta, a przy tym nie wlatywało się za wysoko nad wartkie życie.

Na jednym ze skrzyżowań znów musiała czekać. Obserwowała nie kończący się sznur pojazdów. Wielkie czarno-niebieskie transportowce osobowe wiozły ludzi po średniej obwodnicy z jednego krańca miasta 'na drugi. Przewijało się całe mnóstwo małych pojazdów, błakających się bez celu: wśród młodych taka włóczęga stała się dosyć modna. Wielu młodych ludzi powodowanych ciekawością przemierzało kontynenty całym latami — od razu po ukończeniu dwudziestu lat, po opuszczeniu szkolnej ławki, kiedy tylko dostali upatrzony pojazd. Było to zresztą korzystne zjawisko, pomyślała Yunnar. Jednak włóczędzy z podmiejskich obwodnic nie należeli do tej kategorii. Siedzą w kabinach wpatrzeni w program telewizyjny, pojedynczo, we dwójkę, czy w większych pojazdach całym towarzystwem, po kilku godzinach bezcelowego pędzenia we wszystkie strony, otepiali przyciskają klawisz z napisem „powrót”. W domu wysiadają wzdychając, że oto minął jeszcze jeden dzień, tak jakby było to ich zasługą, jakby pomogli upływowi czasu.

Ta właśnie moda — czy zaraza — spowodowała pięćdziesiąt lat temu wydanie rozporządzenia rządu, w myśl którego przed ukończeniem dwudziestego roku życia pojazdu wolno było używać tylko w przypadkach koniecznych i celowych. Ograniczenie to doprowadziło wówczas niemal do swego rodzaju rewolty i prezydent Ujgorral-Vend nie potrafiłby go chyba wprowadzić w życie, gdyby nie fakt, iż decyzji? podejmowało pokolenie, które w czasach swej młodości nie miało jeszcze do czynienia z tym „sportem”.

Pojazd mógł już włączyć się do ruchu. Rozpoczął powolne wspinanie się na poziom siedemdziesiąty. Już część głównej trasy biegła w wąskim kanionie między budynkami, na którego dnie słońce świeciło tylko kilkanaście minut dziennie, w samo południe, kiedy jego promienie padały pionowo. Dolne piętra zresztą w ogóle nie miały okien, w pomieszczeniach było sztuczne oświetlenie, a plamą na honorze przeludnionego Mag-Poju było to, iż mimo wszystkich dotychczasowych wysiłków jeszcze wiele tysięcy ludzi mieszkało na tych dolnych, niezdrowych piętrach. W miarę jak pojazd podążał w górę wśród czarnych, pozbawionych ozdób

ścian, robiło się coraz jaśniej. Yunnar minęła ruchliwy poziom trzydziesty piąty gładko, bez zatrzymania się. Nie wiedziała, jak to się dzieje, ale ze skraju miasta docierała do uniwersytetu zawsze dokładnie w osiem i pół minuty nie przeczytała ani linijki ze skryptu, zamyśliła się, wreszcie włożyła książkę z powrotem do schowka. W tej chwili na ekranie zapalił się sygnał wywołania.

W rozszerzającym się kręgu pojawiła się twarz Igo. Ależ on zmężniał, pomyślała. Mój Boże, przecież my też nie byliśmy dużo starsi, kiedy nie tak dawno wyruszaliśmy — a teraz mogłabym być jego matką.

— Yunnar?! — w głosie Igo dało się wyczuć emocję.

— Hallo, Igo! Co się stało?

— Nie jedź na uniwersytet, natychmiast wracaj do domu. Mayari zawrócił mnie także.

— Mayari jest u ciebie?

— Tak, i ma wiele ciekawego do przekazania. Dowiesz się więcej jak wrócisz. Przyjeżdżaj.

— Dobrze. Za pół godziny będę, jeśli uda mi się szybko stąd wydostać.

8

— Opowiedz teraz wszystko od początku — odezwał się Nordeng. Oprócz niego i ich dwojga był tu jeszcze Yadonnen. Na twarzy Nordenga malowało się dawno nie widziane napięcie oraz gotowość do walki.

— Chodzi o Prokrona — zaczął meteorolog. — Dziś przyjechałem. Ostatnie miesiące spędziłem na wschodzie i oprócz zwykłej pracy czekałem na wyniki naszego bardzo ostrożnego śledztwa. Badania posuwały się powoli. Jakiś rok temu w taki sposób rozplanowałem swoją pracę, iż mogłem odwiedzić wszystkie zewnętrzne stacje meteorologiczne. Dzięki temu mogłem spotykać się z kim tylko chciałem. Wśród personelu stacji są ludzie, na których możemy liczyć. Zawsze mówiłem im tylko tyle, ile było bezwzględnie potrzeba, by mogli pomóc. I tak zresztą całe nasze utrzymywanie tajemnicy jest dość niepewne... W tym tygodniu dostałem ważną wiadomość. Jest jeszcze prócz tego jedna sprawa, nie wiem, czy ktoś z was wie coś na ten temat. — Pytająco spojrzął na Nordenga.

— Tylko ja oraz Yadonnen — odpowiedział Nordeng. — Dziś właśnie chciałem wam o tym opowiedzieć. Chodzi o kryształy, zawierające materiały programów wysyłanych do nas przez Instytut Neurobloku. Yadonnen natrafił w zeszłym tygodniu na dane świadczące o tym, iż kryształy raz opuściły instytut, na dwa dni. Zdarzyło się to w okresie między pojawieniem się statku i rozpoczęciem nadawania programów. Nie udało się dociec, gdzie były kryształy przez ten czas, wiadomo tylko, że wyniósł je młody człowiek, nazwiskiem Oggar-Vend. Nie wiadomo, kto jeszcze był wtajemniczony w całą sprawę, ale mógł to być co najwyżej jeden czy dwóch ludzi. Oggar pracował w instytucie jako specjalista od telekomunikacji i miał swobodny dostęp do kryształów, musiał tylko wybrać taki moment, żeby przez kilka dni nikt nie zauważył ich braku. Nie było to możliwe już po nawiązaniu łączności, bo wtedy co chwila wyciągano je, oceniano, dyskutowano nad ich zawartością, uzupełniano niektóre z nich nowymi ujęciami, umieszczano obrazy dodatkowe, na przykład wyjaśniające szczegóły techniczne. Praktycznie więc jedynym wyjaśnieniem jest założenie, że Oggar uprzednio skopiował zawartość kryształów — to zresztą naprowadziło na ich ślad, nie można się było bowiem doliczyć dokładnie tylu czystych, nie zapisanych kryształów, ilu użyto do zapisania programów — a później odpowiednio ją przygotował — albo on sam, albo ktoś inny. Następnie podmienił nimi

oryginalne. Wszystko to nie było dla Oggara szczególnie trudne — z racji swoich obowiązków miał stały dostęp do materiałów przeznaczonych do nadawania.

— Przejrzałem informacje na temat przeszłości Oggara, do jakich tylko miałem dostęp — wtrącił Yadonnen. — Został przyjęty w poczet pracowników instytutu, kiedy zwiększałem obsadę po zgłoszeniu się statku. W tym miejscu zabrnąłem w ślepią uliczkę. Otóż Oggara na to miejsce polecił sam Revan–Ti. Wskazuje to niemal pewny — ciągnął dalej — podkreślam: niemal pewny kierunek poszukiwań owych wrogich sił. Nie jesteście tu jeszcze dostatecznie dłużej, by wiedzieć, co oznacza to nazwisko na Eeli. Revan ma w sprawach naukowych niemal tak wielką władzę, jak prezydent. Dlatego właśnie twierdzą, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, bo jeśli okaże się, iż naprawdę on stoi za całą sprawą, nie będziemy mogli uczynić ani kroku dalej. Nie oznacza to oczywiście, iż nie możemy się rozglądać w innych kierunkach.

— A teraz słuchamy drugiej informacji, która wygląda na daleko ważniejszą — Nordeng zwrócił się do Mayariego. — Powtórz od początku.

— Wiecie, gdzie pracuję. Stację meteorologiczną połączono z węzłem komunikacyjnym, obsługującym większość raketowego transportu towarowego między dwoma kontynentami. Łącznie na stacji pracuje dwudziestu trzech ludzi. Powoduje to między innymi, iż nie bardzo możemy mieć sekrety jeden przed drugim. Dobrze się wszyscy znamy. Zwykle sytuacja jest jasna: pracują tam ludzie, którzy pracują, bo nie mogą żyć bez pracy. To świetna kadra, zaręczam, że jeśli kiedyś będziemy potrzebowali dobrych specjalistów i ludzi skłonnych do poświęceń, możemy na nich polegać, jak na samych sobie. Jest jednak pewien człowiek, który od samego początku był dla mnie postacią tajemniczą. W widoczny sposób nie był zadowolony ze swej pracy. Nie mogłem zupełnie zrozumieć, i do dziś nic nie rozumiem, dlaczego ją wykonuje. Nie ma żadnej rodziny, żyje samotnie, nie przyjaźni się z nikim z obsługi stacji. Naturalnie intrygowało mnie to, zacząłem go obserwować i mniej więcej miesiąc temu zauważyłem, że bierze rabonban. Otóż w ostatnich czasach nie jest to rzadkością w miastach, w dużych społecznościach. Spożycie tych tabletek wykazuje nieznaczną, ale stałą tendencję zwykłą. Coś takiego nie zdarza się jednak zupełnie w osadach zewnętrznych. Nikt nie zabrania, tylko po prostu nikomu nie przychodzi to na myśl. Ten człowiek, nazwiskiem Ogde–To', ukrywał swój zwyczaj przed kolegami. I wtedy dowiedziałem się czegoś, co wskazywało na związek Ogde–To' z naszą wspólną sprawą. Ogde pracował cały czas na Prokronie i dziesięć lat temu opuścił księżyc z ostatnim transportem. Nie chcę teraz długo na ten temat rozpowiadać. W każdym bądź razie ściśle trzymałem się wskazówek zespołu psychologicznego: o nic nie pytałem bezpośrednio, uważałem, by nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia, zwłaszcza na temat Prokrona.

Wszyscy słuchali pilnie i trudno było ocenić, czy bardziej zainteresowany był Igo czy Yunnar. Nie notowano niczego na temat całej akcji, Yunnar opracowała jednak świetną metodę na zapamiętywanie najróżniejszych rzeczy. Zwykła mówić, że za pomocą kilku prostych trików i pewnego nakładu pracy można mieć w głowie całą encyklopedię. Co prawda fakt, iż jedynym uczniem, który odnosił sukcesy przy użyciu jej metody był Igo, wskazywał, że metoda nie jest najprostszą.

Nordeng siedział chwilę w milczeniu. Poznał wcześniej całą historię i widać było, że podjął już decyzję.

— Pewnego razu — ciągnął Mayari — Ogde napomknął: „Gdybym zaczął mówić, rozwiązałyby się tajemnice Prokrona”. W wyraźny sposób przeraził się, że mu się coś wymknęło. Poza mną usłyszał to tylko jeden z kolegów, który wiedział o rabonbanie i nie potraktował tej uwagi poważnie. Ogde od tego czasu nigdy już nie został ze mną sam na sam, nawet gdybym chciał, nie miałbym już jak z niego cokolwiek wyciągnąć. Oczywiście wcale nie próbowałem.

— Bardzo dobrze zrobiliście — skinęła głową Yunnar. — Wygląda na to, że w tym wypadku sprawa pójdzie gładko. Dowiemy się wszystkiego, czego warto się dowiedzieć. Nie macie pojęcia, jak bardzo systematyczne branie narkotyków osłabia we wszystkich dziedzinach ludzką odporność.

— W porządku. Przekonamy się, czy dojdziemy dokądś po tym tropie, czy to tylko fałszywy alarm — wtrącił Uri. Znow był dowódcą i wszyscy znow poczuli się gotowi do walki. — A co ty na ten temat sądzisz, Yunnar?

— Nie widzę żadnych powodów do zwłoki. Teraz nadeszła chwila zdecydowanego działania. Najlepiej jeśli wszyscy przygotujecie się do całonocnej podróży. W tym tygodniu odwiedzimy tę stację na Darze.

9

Leżeli na odchylonych niemal do poziomu fotelach w pojeździe o kształcie tarczy. Przy pulpicie sterowniczym siedział, a właściwie leżał Nordeng, który znał już drogę oraz numery kodowe do ustawiania kierunku oraz wysokości. Do prowadzenia pojazdu nie były potrzebne umiejętności specjalistyczne w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo również pojazdy lądowe mogli prowadzić wszyscy zdrowi ludzie. Im trudniejsze były zadania, do których wykonywania projektowano jakieś urządzenie, tym bardziej było ono zautomatyzowane. Nad głową każdego z pasażerów znajdował się prostokątny duży iluminator. Lecieli jeszcze nad Mag-Polem, dość nisko, bo astronauta ciągle jeszcze nie mogli się nasycić widokami Eeli.

Oczekiwała ich mniej więcej czterogodzinna podróż. Pod nimi rozpościerała się pagórkowata okolica z bogactwem różnorodnych upraw i licznymi palmami na grzbietach pagórków. W tych stronach panowała piękna roślinność subtropikalna. W dolinach szerokich, leniwych rzek ciepły wiatr targał drobnymi koronami królewskich palm, rosnących między polami uprawnymi. Drzewa były tu sztucznie sadzone, ale stało się to tak dawno, że nikt już nie pamiętał, kiedy to było. A gdy pasażerom wyglądającym przez okna pojazdu widok pól wydawał się jednostajny, u stóp któregoś z pagórków pojawiało się jezioro o łagodnej linii brzegowej i powierzchni pokrytej liśćmi lotosu. Starodawne pieśni wystawiały palmy i lotosy jako wzory piękna. Chwila, kiedy powstała ta niemal fetyszyzująca opinia estetyczna, kryła się w mrokach przeszłości. Do dziś każda uczelnia artystyczna używała za odznakę tych dwóch roślin w stylizowanej formie.

Nie upłynęło wiele czasu i pojawiły się palmy nadmorskie, które zostały tu zasadzone pierwsze, zaczynając zmieniać obraz tej części świata. Przelecieli nad wybrzeżem i Nordeng obniżył tarczę do lotu koszącego. Zamiast gładkiego pasma wybrzeża było teraz widać labirynt tam i doków, sięgający daleko w morze. Widać było mnóstwo pojazdów wodnych najprzeróżniejszej wielkości i kształtu. Niektóre nowsze typy były bardzo podobne do ich latającej tarczy. Także na okolicznych wodach widać było ogromną ilość małych punkcików. Czasami spotykali gigantyczne nawet z tej wysokości pojazdy, podążające w tym samym kierunku: były to transporty materiałów dla półkuli wschodniej. Transportowano w ten sposób materiały, dla których prędkość nie była czynnikiem decydującym, do tej pory zaś jeszcze nie wynaleziono tańszej metody transportu niż drogą wodną.

— A teraz możecie już zasłonić żaluzje iluminatorów — odezwał się Nordeng przy pulpicie i sam też to uczynił, pozostawiając sterowanie automatom. — Dopóki nie pojawią się góry wschodniego kontynentu, będzie widać tylko błękit wody i białe grzywy fal. Jedyne wyróżniający się punkt geograficzny na całej drodze to Wyspa Środkowa, ale i ją mijamy po

lewej stronie w odległości kilkuset kilometrów.

— Wydaje mi się, Yadonnenie–Ha', iż nadszedł czas, byś powiedział wszystkim, co powinni wiedzieć o Revanie. Wygląda bowiem na to, że mamy coraz mniej szans na pozostanie na uboczu problemów politycznych Eeli. A oznacza to zarazem, iż musimy wiedzieć o Revanie. Nic istotnego na Eeli nie dzieje się bez jego wiedzy.

— Myślę, że sprawa będzie ciekawa dla nas wszystkich, niezależnie od jej aktualnej wartości praktycznej — zaczął siwy uczonec. — Dowiedcie się przy tej okazji o takich aspektach dzisiejszego społeczeństwa i jego życia, o jakich nie usłyszycie ani na uniwersytecie, ani gdziekolwiek indziej. Częściowo problemy te związane są ze „skokami” w czasie w stanie hibernacji. Revan jest historykiem. Jak wiecie historia jest dziedziną, w której wykorzystanie „skoków” przyniosło największy postęp. Nie macie natomiast pojęcia, jak olbrzymia rywalizacja, mógłbym śmiało powiedzieć: walka, poprzedza każdorazowo „usypianie” historyka. Dziesięć lat poprzedzających skok to nieprzerwana rywalizacja pomiędzy największymi sławami naukowymi. Każdy z nich marzy o tym, by to właśnie on był tym, który obudzi się za sto lat, zapewniając ciągłość historiografii. W dodatku tylko częściowo tłumaczy to ten ogromny szacunek, jaki przez całe życie otacza przybysza z przeszłości. Najważniejszym jednak motywem jest to, iż dla człowieka, który oddałby życie dla dziejoznawstwa, nie ma chyba rzeczy bardziej zajmującej od możliwości dowiedzenia się, jak potoczą się dalej sprawy jego współczesności. Tak więc na rok przed hibernacją wybrana zostaje dziesięcioosobowa grupa, spośród której Kongres Historyków wybiera jednego kandydata. Trafić między tych dziesięciu jest już rzeczą niebywale trudną i wymagającą ogromnej pracy. Nad niesprawiedliwością oceny tej rywalizacji czuwa Komisja Hibernacji Kongresu, a w jej skład zawsze wchodzi człowiek, który przebył drogę w czasie. Revan był młodym człowiekiem o ogromnych zdolnościach, intuicji historyka i żelaznej dyscyplinie wewnętrznej. Bez większych trudności dostał się między dziesięciu wybranych spośród dwóch tysięcy ochotników ze wszystkich stron świata. Na tym etapie nie określa się jeszcze między dziesięciu wybranymi żadnej hierarchii czy kolejności, tak by można było zachować całkowitą bezstronność przy dalszej ocenie. Revan pracował z zaciśniętymi zębami. Wszystkimi siłami pragnął, by trochę niebezpieczna, ale dzięki temu jeszcze bardziej zaszczytna misja została powierzona właśnie jemu. Nie skończył jeszcze trzydziestu lat, a w grupie kandydatów był tylko jeden uczonec młodszy od niego: dwudziestoosmioletni Karaln–O', który zgłosił się na egzaminy z kontynentu wschodniego, gdzie jego ojciec pracował jako technik raketowy. Jest to człowiek starszy ode mnie, możliwe, że się z nim spotkamy. Podczas ostatniego testu Revan miał drugi wynik, za nie znanym nikomu Karalnem, który ledwo ukończył uniwersytet. Zahibernowano więc Karalna. Revan ma dziś siedemdziesiąt lat. Najważniejszą częścią materiału egzaminacyjnego jest historia współczesna oraz nauki społeczne. Bardzo ważne jest bowiem, by wysłańcy świetnie znali te zagadnienia i by potrafili współpracować z ludźmi nowych czasów. Po zakończeniu testów zapewnia się pozostałym dziewięciu kandydatom prace w dziedzinie zarządzania. Większość z nich jednak nie wykorzystuje tej możliwości, pozostając historykami. Revan był dostatecznie zdolny i wytrwały, by połączyć obie specjalności. Ktoś, kto nie potrafi oprzeć się chęci wykorzystania każdej możliwości jest zawsze tym drugim. Jeśli będzie tylko chciał, do końca życia może być sekretarzem prezydenta, jego bezpośrednim współpracownikiem — praktycznie: drugą osobistością planety. W odróżnieniu od wybieralnej funkcji prezydenta, stanowisko sekretarza pochodzi z nominacji. Revan został więc sekretarzem prezydenta, ale nadal działał też w swojej specjalności. Dziś jest przewodniczącym Kongresu Historyków, na uczelniach korzystają z wielu podręczników jego autorstwa. Dziwne w tym wszystkim jest to, że reprezentuje konserwatywne skrzydło nauk historycznych, niektórzy uważają go wprost za sklerotyka. Z nim właśnie miałem najcięższe przeprowadzenia, kiedy walczyłem

o utrzymanie instytutu. Gdyby prezydent nie był dużo bardziej wyrozumiały, od niego, mielibyście wiele problemów po powrocie, bo instytut po prostu nie istniałby już ze ćwierć wieku. Wiele rozmyślałem na temat Revana. Wreszcie doszedłem do następującego wniosku: Revan jest ogromnie i zdolny, ale raz w życiu był drugi i dobrze wie, że teraz tylko dlatego być może pierwszym spośród żyjących, bo Karaln pogrążony jest w letargu, piątego też zawsze będzie się czuł tym drugim. Ktoś, kto nigdy nie zajmował się takimi problemami, nie ma pojęcia, jak silne piętno może wycisnąć na człowieku taka sytuacja. Wydaje mi się, że tu można także szukać wyjaśnienia jego konserwatywnej postawy. Z drugiej zaś strony — teraz rozumiecie, dlaczego musimy tak uważać z poszlakami wskazującymi w jego kierunku. Revan to prawdziwa potęga. Z jakiegoś powodu chce nam wyperswadować zainteresowanie Prokronem, a jeśli dojdzie do wniosku, że mu zawadzamy, może być dla nas niemiły i przysporzyć nam niepotrzebnych kłopotów. Może uda nam się teraz czegoś dowiedzieć, ale jeśli nie, to pracujmy spokojnie dalej, wpytujmy się ostrożnie, bo sprawa na pewno nie jest takiej natury, by wszystko miało zależeć od tych kilku miesięcy.

Dochodzący z pulpitu sterowniczego cichy trzask oraz zapalone zielone światelko zasygnalizowały ostatnią zmianę kursu: za kilka minut mieli dotrzeć do lotniska stacji raketowej.

Lecieli nad dzikimi, stromymi szczytami. Ośnieżone grzbiety napływały jeden po drugim pod maszynę. Nigdzie nie było widać śladu ludzkiego osiedla, śladu ludzkiej stopy. Ktoś przyzwyczajony do rajskich widoków Magu mógłby odnieść wrażenie, że znajduje się na innej planecie.

Nordeng wskazał ręką w dół:

— Gdyby tylko w odniesieniu do takich terenów twierdzono, że nie nadają się do życia, mógłbym to zrozumieć, choć mam inne zdanie. Według mędrców z Mag-Polu powinniśmy jednak zapomnieć o całych kontynentach.

— Zawsze mi się wydaje — rzucił Mayari — że Mag ze swoim pięknem i komfortem jest rodzajem uzdrowiska. Nie wytrzymałbym długo, gdyby mi przyszło tam mieszkać.

— A jakie jest zdanie innych? Czy takie samo? — zastanawiał się Yadonnen.

— Dokładnie takie samo. Tu można żyć!

Mayari wskazał w dół. Już tylko jeden łańcuch szczytów oddzielał ich od opadającego płaskowyżu. Tuż przed pasmem gór monotonię ośnieżonych skał przerwała jeszcze zielona dolina. Plama świeżej zieleni jakby nie pasowała do krajobrazu. Tu już było widać pracę rąk osadników.

— Kiedy przypadkiem taki mądrała z Gambaru przyjeżdża tu, gdy nie ma zieleni i widać tylko nagie gałęzie, a nie daj Boże jeszcze na nich trochę śniegu, przez całe życie będzie się wzdragał słysząc o planach osadnictwa. Stację badawczą można jeszcze z konieczności ścierpieć, ale żeby tu mieli mieszkać ludzie!

Schodzili już w dół i mogli dostrzec na środku zielonej strefy stanowiska startowe. Kilka było pustych, ale na większości strzelały w górę srebrzyste kadłuby różnych rozmiarów, właśnie przybyłe bądź przygotowane do drogi. Jeszcze dalej rozsiane wzdłuż doliny widniały płaskie budynki o białych dachach.

— Czasem, w gorszych chwilach, wydaje mi się — odezwał się Mayari — że już podążamy w kierunku skarlenia duchowego. Nie my tu, lecz miliony tam, w zamieszkanym częściach Magu i Daru.

Yadonnen skinął głową:

— Ten dawny plan — powiedział — zasiedlenia i przekształcenia tych terenów dałby nowe siły całemu pokoleniom.

— Tamten plan — wtrącił Uri — nie jest jeszcze całkiem pogrzebany. W jakiejś trudnej

chwili rząd planety może się zorientować, czym grozi całej ludzkości zrezygnowanie z jej siły napędowej. Ja ze swej strony nie wierzę w możliwość regresu. Gdy będzie trzeba, pojawią się nowe siły i przyniosą zmianę, w jakikolwiek sposób. Pytanie brzmi tylko: za jaką cenę, jak bolesna będzie taka zmiana.

Srebrna tarcza opadała pionowo w kierunku białej powierzchni lotniska transportowego. Można już było odróżnić pozdrawiających ich w dole ludzi.

GOŚCIE PROKRONA

1

Ogromny srebrny talerz opadał pionowo w dół. Jego dolna płaszczyzna miała zamiar go zgnieść. Ogde znał już to uczucie, wiedział, że to tylko złudzenie, że pojazd w ostatniej fazie lądowania przesunie się niemal poziomo kilkaset metrów w bok, by tam dotknąć ziemi. Dobrze o tym wiedział, ale w takich chwilach nie potrafił się jednak uwolnić od tego irracjonalnego, podświadomego lęku. Od tamtego czasu nie potrafił. Od tamtego czasu zdawał sobie sprawę, iż nie jest już uczonym, lecz zwierzęciem żyjącym instynktami wśród mrocznych lęków, nie jest człowiekiem, ale trzęsącą się galareta.

— Ogde-To'! — usłyszał, jak go wołają.

To Mayari-An. Rzadko z nim rozmawiał. A właściwie nie więcej, niż z innymi. Chociaż to wcale nie takie pewne, że... Nerwy Ogdego napięły się. W żołądku poczuł znajomy skurcz. Szykował się do czegoś, nie wiedział do czego. Na przykład ci astronauta. Nie podobało mu się, że pokazują się na stacji. — Fe! — skrzywił się w duchu. Postanowił, że będzie ostrożny, bardzo ostrożny. Musi zgromadzić na ten czas wszelkie siły. Ile mogą tu pozostać? Na pewno nie więcej, niż tydzień lub dwa. Już się kiedyś zdarzyło, że wytrzymał przez cały tydzień. Musi. Na pewno wytrzyma...

Ruszył w ich stronę. Stali przy drzwiach spoczywającej na ziemi srebrnej tarczy. Była z nimi kobieta. Jaka ładna! I jeszcze ten chłopak, zupełny młokos, niemal dziecko. To właśnie on.

Prawie wszyscy kręcili się przy gościach. Przyłot statku z Magu był w monotonnym życiu stacji wielkim wydarzeniem. Wszyscy wylegli na lotnisko, poza trzema ludźmi pełniącymi obowiązki obserwatorów i kontrolerów na platformach. Ci, którzy pełnią teraz służbę, będą wieczorem na kolacji w jadalni. Każdy chce się spotkać z gośćmi i porozmawiać z nimi.

Mała grupka otaczająca nowo przybyłych szła wolnym krokiem w stronę osiedla stacji. Tu chodzenie pieszo nie należało do rzadkości. Między platformami a osiedlem nie zbudowano ruchomego chodnika, a tylko wąską drogę z białego betonu, wystarczającą, by zmieściło się na niej toczydło średniej wielkości. Ogde dołączył do grupy, starając się pozostawać w tyle.

— Tam są nasze budynki mieszkalne, po prawej stronie tereny robocze — objaśnił kierownik stacji. Wymogi grzeczności kazały mu najpierw pokazać swoje królestwo. Chciał to mieć za sobą jak najszybciej, by móc swobodnie pytać nowo przybyłych. Chyba nigdy dotąd nie spotkał kogoś, komu chciałby zadać tak wiele pytań, jak astronautom. Jak to dobrze, że tu przyjechali: to zupełnie inni ludzie — wszystko ich interesuje, wszystko chcą zobaczyć. — Na rampach mamy trzydzieści stanowisk startowych. Dziennie odprawiamy lub przyjmujemy jeden, czasem dwa statki, przylatujące z różnych miejsc kontynentu Dar lub latające na głównej magistrali Dar—Mag, przeważnie z ładunkiem rud metali kolorowych. W kopalniach nie ma w ogóle ludzi, a plany całkowitego zautomatyzowania nie tylko wydobywania, ale i wstępnych faz przeróbki rudy, są już dosyć zaawansowane. Dla uzyskania tej samej ilości czystego metalu trzeba będzie wtedy transportować trzy razy mniej surowców, co w praktyce oznacza potrojenie produkcji metali. Mówię o tym wszystkim dlatego, iż na pewno interesuje was taki stopień automatyzacji, przy którym do prowadzenia wszelkich prac łącznie z pracami grupy naukowej i rozwojowej wystarcza na całej stacji dwudziestu trzech ludzi.

— Gdybyśmy dysponowali takimi środkami na MG 10003 — niemal z westchnieniem powiedziała Yunnar — to chyba nie wracalibyśmy na Eełę. — Roześmiała się. — W każdym

bądź razie na pewno wiedzielibyśmy więcej o planecie.

— MG 10003? — spytał kierownik stacji.

Teraz zaczęli mówić goście. Opowiadali z radością, jak zawsze, kiedy spotkali ludzi, których naprawdę interesowała ich wyprawa, co do których czuli, iż mogliby być ich towarzyszami tam, w przestrzeni.

Później, już na skraju osiedla, Mayari odszukał kryjącego się z tyłu geologa, by przedstawić go wszystkim.

— Ogde-To! — zawołał — chodź tu do nas! To jest Ogde-To' — powiedział zwracając się do astronautów. Ci wyraźnie nie przejawiali większego zainteresowania.

* * *

.— Macie tu coś do załatwienia? — spytał Guddet-An, jeden z techników raketowych, którzy nie mogli być w południe obecni na lotnisku.

— Bardzo dużo — rozłożył ręce Uri. — Musimy poznać wasz piękny świat.

Siedzieli w jadalni. Mogli się tam wszyscy zbierać, podczas gdy stacja sama wykonywała pracę. Guddet otworzył butelkę soku owocowego, nalał sobie i Yunnar.

— Odzwyczajiliśmy się od prawdziwego zainteresowania — powiedział. — Odwiedzający nas tu ludzie z terenów zamieszkałych obawiają się, że mieszkają tu sami ludożercy, którzy natychmiast rzucą się na zabłąkanych w te strony przedstawicieli cywilizacji.

Roześmieli się.

— Nie ma się tu z czego śmiać — powiedział patrząc w zamyśleniu przed siebie kierownik stacji. — Zastanawiam się nad tym, czy jeśli dziś miałyby wystartować wyprawa międzygwiazdna, to udałoby się zebrać spośród pół miliarda mieszkańców Eeli dziewięciuset członków załogi.

— Na pewno! — krzyknął Igo. Odezwał się dopiero pierwszy raz tego wieczoru. — Jestem o tym przekonany.

— Trzeba by to jeszcze wypróbować — uśmiechnął się gorzko Guddet. — Nie myślę tu o uczonych ze stacji zewnętrznych. Oni stanowiliby pewną rezerwę. Ale widzę, że jesteś, Igo, wielkim optymistą.

— A więc? — zaczął Igo.

— Co takiego? — spytał Guddet.

— Dlaczego nie spróbować?

— A właśnie. Niewiele mamy do gadania na temat życia tej planety. Jesteśmy uważani za dziwaków, to wszystko. Powinniśmy się cieszyć, że tych, którzy pracują, nie traktuje się jeszcze jak chorych psychicznie.

Po kolei wstawali od stołu, kilka osób wychodziło już z sali. Mayari dogonił w drzwiach Ogdego.

— Masz teraz trochę czasu? — spytał.

— A o co chodzi? — Geolog odwrócił się w jego stronę. W jego oczach błysnął dziki strach. Mayari odezwał się spokojnym, cichym głosem:

— Przyjdź do mojego pokoju za pół godziny. Astronauci też tam będą.

Powiedziawszy to zniknął, zanim Ogde zdołał wykrztusić chociaż jedno słowo.

Geolog zaczął się bać.

* * *

— Siadaj — odezwała się miłym tonem Yunnar.

— O co wam chodzi? — rzucił niegrzecznie Ogde, nie zwracając uwagi na jakiegokolwiek zasady uprzejmości.

Yunnar spojrzała na swych towarzyszy, którzy zrozumieli z tego spojrzenia, że chce przejąć teraz ster w swoje ręce. Nie zastanawiała się długo.

— Jest pewna sprawa, która nas bardzo interesuje i o której możemy się dowiedzieć tylko od ciebie.

— A więc to dlatego tu przylecieliście! — rzucił Ogde ostrym, nieprzyjaznym tonem.

— Dlatego. — Głos Yunnar był zupełnie spokojny. Minęły już czasy nadmiernej ostrożności.

— Astronauci — geolog wykrzywił ironicznie usta. — Bohaterowie z przeszłości. Co wy o tym wszystkim możecie wiedzieć... Nie mam zamiaru z wami rozmawiać.

Odwrocił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Mayari złapał go za ramię.

— Poczekaj chwilę. Wydaje mi się, że coś wiem na ten temat. Posłuchaj, a potem możesz sobie iść, jeśli tylko zechcesz. Nie będzie cię już nikt nigdy na ten temat niepokoił. Wydaje mi się, że to dosyć 'korzystna propozycja. Poświęcisz mi te kilka minut?

Ogde niechętnie zatrzymał się. Taka propozycja nie mogła w sobie kryć pułapki, z której nie mógłby się wycofać. Może ich posłuchać, nie grozi to niczym. Oprócz tego wcale nie był taki pewny siebie, na jakiego pragnął wyglądać.

— Właściwie to dlaczego nie miałbym was wysłuchać? — Wzruszył ramionami. — Śmieszni jesteście z tą waszą tajemniczością.

— W takim razie siadaj — zaprosił go Mayari. Geolog usłuchał. Mayari uniósł lekko głowę i spojrzał mu w oczy. — Znasz mnie trochę. Nie jestem astronautą. Urodziłem się w Mag-Polu, jestem, o ile dobrze wiem, o dwa lata starszy od ciebie. Studiowaliśmy na tym samym uniwersytecie, sens życia znaleźliśmy obaj w pracy na zewnętrznych stacjach badawczych. Żyjemy obaj w tej samej epoce. Ta wspólnota daje mi prawo do tego, byś mnie wysłuchał. Nie będę cię zanudzał. Krótko powiem ci o samej istocie sprawy. Usłyszysz rzeczy, o których nie wspominaliśmy nikomu. Nie chcemy za to od ciebie niczego, jeśli uznasz to za stosowne, możesz, kiedy skończymy, wyjść bez słowa z pokoju, nikt cię nie będzie zatrzymywał. Chodzi o rzecz następującą: na tej planecie co roku mniej ludzi ma zamiar pracować. Nie trzeba chyba podkreślać, co dla nas oznacza Eela — jest wszystkim, jest całą ludzkością, tym, co dotąd osiągnęliśmy i co jeszcze możemy osiągnąć.

Ludzie żyją na jednej piątej obszaru łądów. W ostatnich latach pojawiły się trudności na uniwersytetach: nie ma chętnych do studiowania, po drugiej stronie mamy ich — tych właśnie bohaterów z przeszłości. Urodzili się i wychowali w epoce rewolucji naukowej. Właściwie o nich możemy powiedzieć, że wynaleźli elektryczność, silniki spalinowe, hibernację... Im zawdzięczamy, iż człowiek zrobił krok w kosmos, że mógł się oderwać od swej rodzimej planety. Kiedy jednak ci ludzie, wykonawcy największego przedsięwzięcia ludzkiej cywilizacji, wracali na Eelę, ktoś czy coś starało się na nich wpłynąć za pomocą częściowo fałszywych, częściowo zaś przekazujących sugestie informacji. Do kryształów informacyjnych wprowadzono teksty, których treść sprowadzała się do jednego: siedźcie spokojnie na miejscu, nie zdradzajcie chęci do podróży kosmicznych, nie chcecie niczego zmieniać, nie interesujcie się niczym. Astronauci znaleźli się naprzeciw jakichś potężnych sił. Nie mają pojęcia, kim są ich przeciwnicy. Uważają natomiast, iż po to, by siedzieć spokojnie na naszej planecie i rozkoszować się jej komfortem wytworzonym przez jej cywilizację, nie trzeba być prawdziwym człowiekiem. Rozumiesz, co mam na myśli? Astronauci są inni, różnią się od ludzi z lat sześć tysięcy setnych. Widzą, iż to, co

robią, jest niebezpieczne, ale nie zaprzestają działać... Szukają przyczyn tych sugestii z programów. Teraz i ty posiadasz naszą tajemnicę. Moją także, bo i ja już do nich należę.

Mayari umilkł. Na twarzy geologa można było przez cały czas śledzić grę uczuć, zupełnie jak na doskonałym ekranie radarowym. Najpierw rysowała się na niej wymuszona obojętność, potem powoli zainteresowanie, jeszcze później przeblysł sympatii, bardzo krótki. Na końcu Ogde wyglądał tak, jakby coraz bardziej poddawał się ogarniającej go emocji, jakby nie mógł się opanować.

— Ja... — wybąkał wreszcie niespokojnie. — A więc ja też...

Urwał nagle i Yunnar, przed którą twarz człowieka była otwartą książką, zobaczyła wracający, coraz silniejszy strach.

Rzuciła dwa zdania, działające w tej chwili z precyzją chirurgicznego skalpela.

— Na kryształach był i taki napis — zaczęła cicho lecz bardzo wyraźnie: — „Prokron jest nieciekawym. Na Prokronie nie ma niczego”. Powiedziałeś kiedyś komuś, że gdybyś zaczął mówić, rozwiązałbyś tajemnicę Prokrona.

Cięcie udało się. Ogde wykrzywił się, poderwał głowę: Popatrzył na Yunnar, a na jego twarzy gra pomieszanych emocji zamieniła się w splątany chaos. Potem poderwał się z koi i wybiegł z pokoju.

2

Astronauci oraz Mayari spojrzeli pytająco na Yunnar.

— Popełniliśmy fatalny błąd — powiedział meteorolog.

— Zdradziliśmy się przed nieznanym wrogiem — dodał Uri.

Yunnar pokręciła uspokajająco głową:

— Wróci. Musimy tylko poczekać.

Czekali w milczeniu. Yunnar też poczuła emocję. Wiedziała, że nie ułatwi czekania innym, jeśli zdradzi się przed nimi, że i ona...

Dwie minuty później ciszę przerwały odgłosy nerwowych, pospiesznych kroków na korytarzu. Po chwili Ogde szarpnął drzwi. Był sam.

— Wygraliście — powiedział dysząc ciężko. — Będę mówić. Przecież od lat o niczym innym nie marzę bardziej, jak o tym, żeby nareszcie zacząć mówić. Raz zacząć mówić, wyrzucić z siebie to wszystko... Dostaniecie, czego chcieliście, a potem możecie mnie odrzucić jak wyciśniętą cytrynę... Proszę tylko o chwilę cierpliwości. — Sięgnął drżącymi palcami do kieszeni, wyciągnął płaskie pudełeczko, otworzył je i włożył do ust trzy z grzechoczących w pudełku białych pastylek. — Ja tu noszę całą osobowość. Potrzebuję tego... Dlatego wyszedłem.

— Rabonban — powiedziała cicho Yunnar. — Silny narkotyk. Widać to po twoich oczach. Widać też było, że od kilku godzin nie brałeś.

— Chciałem mieć czysty umysł, gdyby niezwykli goście zamierzali coś ode mnie wyciągnąć... Teraz nie trzeba już niczego wyciągać. — Widać było, że trochę się uspokoił. Usiadł, schował z powrotem pudełeczko. — A więc ciekawi was to, co wiem?

— Dlatego tu przyjechaliśmy z Magu.

— Nie rozczarujecie się. Byłem członkiem ostatej, sześciuosobowej wyprawy na drugą stronę Prokrona w siedemdziesiątym szóstym. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że ona będzie ostatejną. Na rozległym wulkanicznym płaskowyżu ustawiliśmy trzy kopuły: dwie mieszkalne, w trzeciej było laboratorium. Wszystkie wyposażone były w układ automatycznej wymiany

powietrza. Dwie kopuły łączył korytarz wypełniony powietrzem. Laboratorium, z uwagi na niebezpieczeństwo wybuchu, było oddalone o kilka kilometrów.

Opowieść Ogdego zwolniła nieco toku, ale po chwili geolog otrząsnął się.

— Będę się streszczał. Pracowaliśmy tam już trzeci dzień, wykonując analizy geologiczne i pomiary rzeźby terenu do przygotowywanej pełnej mapy plastycznej Prokrona. Wszystko to działo się na początku stuczerdziestodwudniowego dnia Prokrona, można powiedzieć — o świcie.

Tego trzeciego dnia wraz z jednym z kolegów, Kondor–Vendem — wróć jeszcze do tej postaci — robiliśmy pomiary wysokości z latającego spodka. Oddaliliśmy się w trakcie pomiarów o jakieś trzysta kilometrów od naszych kopuł, kiedy u podnóża wulkanicznego łańcucha magnetoskop pokładowy zasygnalizował obecność metali bezpośrednio pod powierzchnią księżycą. Nie mogliśmy tego zrozumieć: nie rud metali, lecz czystego metalu. Pasma metalu miało długość około kilometra, było wąskie i płaskie, zupełnie jak jakiś przewód. Pomyśleliśmy w pierwszej chwili, że mamy do czynienia ze szczątkami jakiejś dawnej rakiety doświadczalnej, choć zastanawiała nas forma znaleziska, a zwłaszcza fakt jego wystąpienia oddzielnie, bez żadnych innych pozostałości. Na wszelki wypadek zeszliśmy niżej, żeby zbadać rzecz dokładniej. Kiedy byliśmy już dostatecznie blisko powierzchni, włączyliśmy spektroskop.

Dotarłszy do tego punktu swej historii Ogde przeciągnął wierzchem dłoni po czole, a potem zdziwiony spojrzął na rękę, jakby nie rozumiejąc, skąd wziął się na niej pot. Wszyscy słuchali bez słowa. Yunnar pomyślała, że gdyby Ogde nie wziął tabletek, nie potrafiłby chyba opowiedzieć tej historii z powodu wewnętrznego napięcia, jakie budziły w nim wspomnienia.

— Wtedy poczułem po raz pierwszy ten ucisk, wpływ jakiejś ogromnej siły, od której nie mogę się dotąd uwolnić. Spektroskop nie wykazywał nic dającego się odczytać, wskazania były dziwne, jakby urządzenie zepsuło się i przekłamywało. Jednocześnie jednak widmo na ekranie było bardzo wyraźne. Miałem w życiu do czynienia z tyloma widmami, że czytam je jak tekst pisany. Tego jednak nie mogłem zinterpretować, zupełnie jak kiedyś na pierwszych ćwiczeniach z analizy widmowej na uczelni. Zupełnie jak we śnie, kiedy człowiek słyszy, jak do niego mówią w jego rodzinnym języku, lecz nie może zrozumieć, bo zapomniał znaczenia słów. Jedno wiedziałem od razu: urządzenie nie było uszkodzone. Obraz był całkowicie logiczny: pokazywał istniejące widmo skomplikowanego stopu nie istniejących metali. Kondor był geografem, nie znającym się na analizie widmowej, nie przyglądał się więc tak dokładnie obrazowi na ekranie i niczego nie zauważył. Powiedział, żebyśmy wylądowali i zbadali, co jest tam, na dole. Chciałem się sprzeciwić, ale w końcu nic nie powiedziałem. Bałem się czegoś, ale jednocześnie chciałem poznać prawdę. Nie odezwałem się. Wylądowaliśmy pięćdziesiąt metrów od przewodu, mniej więcej w jednej trzeciej jego długości. Założyliśmy hełmy i szykowaliśmy się już do wyjścia, kiedy spojrziałem na magnetoskop. Odniosłem wrażenie, jakby dalszy koniec metalowego „przewodu” wygiął się trochę. Jeszcze ciągle nic nie mówiłem, bo wszystko to było bardzo nieokreślone. To moje spojrzenie przydało się tylko tyle, że zdecydowałem się wziąć ze sobą przenośny ręczny magnetoskop, którego nie lubiliśmy wynosić z pojazdu, bo był to wielki kawał żelastwa. Włożyliśmy więc hełmy, wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy w stronę sygnalizowanego przewodu, idąc w odległości kilku metrów od siebie. Po drodze spojrziałem na przytroczonego do pasa magnetoskop. To metalowe coś pod ziemią poruszało się — teraz nie miałem już wątpliwości: dalszy koniec wyginał się dość mocno, bliższy — słabiej. Zupełnie, jakby to żyło i chciało otoczyć nas razem z pojazdem. Krzyknąłem do mikrofonu „Wracamy!” Kondor zaskoczony odwrócił się do mnie. „Wracamy do pojazdu! Biegiem!” — krzyknąłem jeszcze raz, odwróciłem się i zacząłem biec, wykorzystując w wielkich skokach słabsze przyciąganie Prokrona. Kondor też ruszył i po chwili byliśmy już przy naszej latającej tarczy.

Kondor zatrzymał się, żeby o coś spytać, ale nie odpowiedziałem mu, tylko wepchnąłem go w drzwi kabiny, skoczyłem do pulpitu i z pełną prędkością poderwałem maszynę pionowo w górę. W trakcie tej ucieczki zostawiłem przed drzwiami magnetoskop, ale dysponowaliśmy teraz urządzeniem pokładowym. Na wysokości pół kilometra zawiesiłem tarczę w atmosferze i spojrzałem na ekran przyrządu. Przebiegł mi przez plecy zimny dreszcz. Metalowy obiekt opisywał teraz wokół pozostawionego na ziemi przyrządu regularny krąg. Nie trzeba już było magnetoskopu — obiekt wyłonił się spod cienkiej warstwy pyłu, widziałem przez iluminator, jak wydostaje się na powierzchnię ostatni, kilkusetmetrowy odcinek, wijąc się węzowymi ruchami. Następnie z punktu, gdzie spotkały się dwa końce węża — nie stykając się jednak — wystrzeliły w stronę leżącego na ziemi przyrządu dwa równoległe zimne, błękitne promienie. Urządzenie zniknęło w błysku. Spojrzałem na ekran magnetoskopu na tablicy przyrządów — wskazywał obecność jednolitego stopu metalu z kwarcem. Zdalny termometr pokazywał, że promienie są chłodne i mają temperaturę równą temperaturze powierzchni Prokrona. Natomiast temperatura zapłonu zimnymi promieniami porzuconego magnetoskopu przekraczała siedem tysięcy stopni. Znałem swój fach na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że człowiek nigdy dotąd nie potrafił wytworzyć takiej temperatury... Teraz Kondor nie czekał już na żadne wyjaśnienia, wskoczył fotel drugiego pilota, poderwał maszynę jeszcze wyżej i na wysoko; dwu tysięcy metrów skierował ją prosto do obozowiska. Zostali ta we czterech, jeśli będziemy mieli szczęście, to zastaniemy i wszystkich razem. Podczas lotu Kondor wyjął z szafki z lekarstwami dwie tabletki rabonbanu. Jedną wziąłem ja. To była pierwsza... Zbliżając się do obozu zobaczyliśmy już z daleka, że tuż nad powierzchnią księżycy pędzi w kierunku laboratorium jakiś obiekt, o wymiarach zbliżonych do naszego spodka. Obiekt zbliżał się od strony nie badanych jeszcze obszarów na północy. Wezwaliśmy obóz przez radio krótko przekazaliśmy, co się stało. Laboratorium nie było puste... ktoś w nim pracował...

Ogde wpatrzył się w przestrzeń szklanym wzrokiem. Mówił teraz twardym, rzeczowym tonem, jak ktoś, kto postanowił, że odrzuci wszelkie emocje i wykona postawione sobie zadanie.

— W laboratorium była Ameda-Den, chemiczka wyprawy. To z nią zawarłem bezterminową umowę małżeńską. Nie obawiajcie się, całą historię będę opowiadał rzeczowo. Dostatecznie dużo razy przepowiedziałem ją sam sobie. Pozostali byli razem w dwóch kopułach mieszkalnych. Na nasze wezwanie radiowe zdążyli wskoczyć do drugiego z latających spodków i wystartować. Ameda postanowiła zostać w laboratorium. Wiedzieliśmy dobrze — i my, i ona — że nie zdążymy do niej przed poruszającą się tuż nad powierzchnią obcą maszyną, ale mimo to spróbowaliśmy niemożliwego. Przez cały czas utrzymywaliśmy z nią łączność radiową i wizyjną. Byliśmy może dwie-trzy minuty drogi od laboratorium, kiedy to tam dotarło. Ameda relacjonowała nam wszystko przez radio. Te kilka zdań będę słyszeć do końca życia. „Porusza się nad powierzchnią, prawdopodobnie na poduszce powietrznej... Jest czarne. Jednolita, czarna powierzchnia metalu. Bryła o przekroju wydłużonej elipsy... Dotarło do wejścia do pomieszczenia... Zatrzymało się... Magnetoskop wykazuje obecność nieznanymi stopów metali”. Byliśmy z naszą tarczą jeszcze dość daleko od laboratorium, ale mogłem sobie wyobrazić, co widziała Ameda na ekranie przyrządu. Cały czas myślałem o tym, że właśnie ona jest tam w dole. Została chemikiem, żeby lecieć ze mną na Prokrona, nie chciała się rozstać ze mną na rok, dlatego po wydziale lekarskim skończyła i chemię. Nie było jednak czasu na rozczulanie się. Wypadki toczyły się błyskawicznie. Ameda nie przerywała swojej relacji. „Próbuję robić zdjęcia. Z przedniej części maszyny wysuwają się trzy manipulatory, zakończone nie palcami, a pierścieniami — przyłgniami. Manipulatory rozmontowują drzwi wejściowe. Zakładam hełm... Powietrze uchodzi z pomieszczenia... Manipulatory dostają się głębiej do środka... Przednia część obiektu wciska się w otwór drzwi. Odwraca się w moją stronę...

Przyrządy wskazują obecność promieniowania radiacyjnego... Nie zbliżcie się... Przygotujcie się do anihilacji... Zawiadomicie Eelę. Na płaszczyźnie czołowej obiektu odsłania się otwór. Nie widzę, co jest w środku. Manipulatory sięgają w kierunku mojego hełmu. Ciągną mnie przez otwór.. Stoję przed nim. Czujnik w hełmie sygnalizuje dochodzące z otworu słabe promieniowanie... Nie jest szkodliwe... W obiekcie nie ma żywych istot. To robot... Nic nie czuję. Zatrzymał się teraz i czeka. Nie rozumiem. Jakby się zepsuł. Ale nie. Waha się. Ogarnęło mnie dziwne uczucie głodu”. Upłynęło może pół minuty i Ameda ciągnęła dalej: „Ma ładunek radioaktywny. Uległ jakiemuś chwilowemu uszkodzeniu. Teraz trzeba z nim skończyć... Bombę, Ogde!... Manipulatory! Teraz, bombę!” To były ostatnie jej słowa, jakie usłyszeliśmy. To ja wyzwoliłem przygotowaną uprzednio do wysadzenia skał bombę. W tamtej chwili Ameda jeszcze żyła. Obiekt zatrzymał się i czekał, nie wiedzieliśmy na co. To nas uratowało. Sekundę po okrzyku Amedy na miejscu laboratorium i obcego obiektu dymił stumetrowej średnicy świeży krater. Tak było. Nie potrafię powiedzieć wam wiele więcej. Mnie i Kondora razem z naszym spodkiem skierowano do centralnej stacji Prokrona, druga tarcza poleciała jeszcze raz nad metalową wstęgę. Zrzucali z góry w pobliżu wstęgi różne przedmioty, ale ta nie wykazywała już ruchu. Na pewno miała łączność z ruchomym robotem i nie potrafiła działać bez niego. Centrum sterowania wstęg mogło się też powiedzieć za pośrednictwem metalowych pasów, że zostały one odkryte. Za pomocą magnetoskopów odnaleziono jeszcze z tuzin takich taśm metalowych, unieruchomionych pod pyłem powierzchni Prokrona. Poza tym nie znaleziono niczego innego... Nas wysłano do domu, musieliśmy złożyć raport osobiście sekretarzowi prezydenta. Obaj zostaliśmy zaprzysiężeni, że do końca życia zachowamy w tajemnicy to, co się zdarzyło na Prokronie. Panika, jaka mogłaby wybuchnąć na Eeli na wieść o wydarzeniach, mogłaby być źródłem niewyobrażalnych wprost kłopotów — tak nam powiedziano. Prezydent będzie działać osobiście... Oficjalnie Ameda zmarła tragicznie w wyniku wybuchu w laboratorium... I nigdy już nie usłyszałem więcej na ten temat... Jeden z członków naszej wyprawy w trakcie powrotu na Eelę opuścił transportowiec na pokładzie jednoosobowej rakiety badawczej, przypuszczalnie w zamiarach samobójczych. Dużo później odnaleziono jego raketę na mniejszym księżycu. On sam siedział oparty o skałę, z odkręconą przyłbicą hełmu. Kondor pracuje na jednej z północnych stacji meteorologicznych, ja tutaj. Teraz już wiecie, jak...

Ogde rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero się obudził z pełnego majaków snu. Powiódł wzrokiem po twarzach siedzących. Nie wiedział dokładnie, jakiego wyrazu spodziewał się przedtem, ale na pewno nie takiego, jaki zobaczył. Ich twarze były spokojne, malujące się na nich napięcie wyrażało gotowość do działania, do pracy, a nie zaskoczenie. Widniała na nich także przyjaźń i współczucie. Po Mayarim też nie było widać ogromnej emocji. Ogde sięgnął do kieszeni i wyciągnął nową pastylkę.

— Sprawą zajmie się prezydent, tak powiedzieli... — ciągnął — żebym się już o to nie martwił... Ale od tamtych chwil upłynęło dziesięć lat... Nie żałuję, że nie potrafiłem tego utrzymać w sobie... Nie wiem, czy wolno trzymać wszystko w tajemnicy... Zwykle... Myślałem, że może wy... Na początku oczekiwałem, że coś się zacznie, że zaczniemy działać... przecież tu chodzi o ludzkość... O wszystkich ludzi... Teraz nie czekam już na nic innego, tylko na chwilę, kiedy nadejdą tamci... Nikt o tym nie wie, rozumiecie, nikt nic nie podejrzewa... wszyscy pracują, kochają się, zupełnie, jakby wszystko było w najlepszym porządku! Jak mogłem żyć normalnie wśród nich? Miałem już dość!

— Kto o tym wie prócz ciebie? — spytał Uri.

— Prezydent, Revan-Ti’ — on był przy tym, jak składaliśmy osobiście ustne sprawozdanie... I ci, którzy byli tam z nami wtedy... Kondor. Oprócz nas jeszcze trzech ówczesnych szefów stacji na Prokronie. Jeden z nich już nie żyje, o dwóch pozostałych nic nie wiem. Jeszcze w tym

samym miesiącu ludzie wycofali się z Prokrona.

Nordeng podniósł się z miejsca:

— Natychmiast wracamy do Gambaru. Mayari, ty jesteś pracownikiem naukowym pierwszej kategorii, możesz w każdej chwili prosić o przyjęcie przez prezydenta. Weźmiesz nas ze sobą.

Mayari skinął potakująco głową. Wszyscy poderwali się i ruszyli w kierunku drzwi. Yunnar podeszła do Ogdego, położyła mu obie ręce na ramionach i spojrzała prosto w twarz:

— A ty nie dołączysz do nas? Na zawsze? — pokazała na leżące na stole pudełeczko z pastylkami rabonbanu. — A to możesz tu zostawić.

Do urzędującego prezydenta Eeli nie było się łatwo dostać, choć przyczyną tego nie były względy powagi urzędu, lecz powody ściśle praktyczne. Prezydenta, człowieka wybranego spośród pół miliarda ludzi jako zdolnego do zarządzania całą planetą, otaczał niewiarygodny wprost szacunek. Wśród marzeń każdego mieszkańca planety poczesne miejsce zajmowało osobiste spotkanie z prezydentem, a komu się to udało, ten zawsze o tym pamiętał i był dumny przez całe życie. Z tego jednak powodu przy braku pewnych form kontroli sama chęć zobaczenia prezydenta żywiona przez miliony obywateli, uniemożliwiłaby Evoli wszelką pracę.

Sekretarz administracyjny prezydenta, Kevin-O', siedział w fotelu z głęboko odchylonym do tyłu oparciem, w gabinecie przypominającym bardziej — zwłaszcza z powodu znajdującej się przed nim wielkiej tablicy przyrządów — sterownię statku kosmicznego, niż biuro. Ściany pokryte nieocenionej wprost wartości ponad tysiącletnią boazerią z czarnego drzewa także kryły w sobie setki urządzeń elektronicznych. Kiedy wybudowano miasto Gambar, największe dyskusje poprzedziły przeprowadzkę urzędu prezydenckiego. Wreszcie przeniesiono kamień po kamieniu cały rozległy kompleks budynków, który w czasach prehistorycznych był pałacem krwawych tyranów władających Mag-Polem. W kręgu historyków należących do szkoły skrajnie pragmatycznej zrodziły się nawet hipotezy, że robotnicy pracujący przy wznoszeniu pałacu nie robili tego z własnej woli, lecz byli do tego zmuszani. Większość uczonych uznała jednak takie założenia za nieprawdopodobne, mimo dość przekonujących dowodów w źródłach pisanych. Dla każdego człowieka przy zdrowych zmysłach było bowiem rzeczą oczywistą, że pracują tylko ci, którzy tego chcą, w przeciwnym bowiem razie praca nie może przynieść żadnych efektów.

Sekretarz mógł ze swego gabinetu nawiązać natychmiast bezpośrednią łączność z każdym ważniejszym punktem planety.

— Za dwa tygodnie, w piątek wieczorem od dwudziestej trzeciej do dwudziestej trzeciej piętnaście — powiedział Mayariemu sekretarz, przeglądając leżący przed nim kalendarz i zaznaczając w nim audyencję. Tak nakazywało prawo — jeśli uczonej pierwszej kategorii chciał się spotkać z prezydentem, ten był obowiązany przyjąć go najpóźniej w ciągu dwóch tygodni.

— Muszę rozmawiać z prezydentem Evolą jeszcze dziś — powiedział z naciskiem Mayari.

Sekretarz spojrzał na niego przestraszony.

— Nie ma mowy. Znasz przecież rozporządzenia.

— Znam i dlatego jeszcze dziś będę rozmawiał z Evolą, a w dodatku przyprowadzę ze sobą jeszcze trójkę ludzi.

— Człowieku! Co ty sobie wyobrażasz? — sekretarz zrobił coś, czego nikt z proszących o przyjęcie nigdy jeszcze u niego nie widział: podniósł się z fotela. — Kogo chcesz tam wprowadzić? Jaką oni mają kategorię? A zresztą w ogóle! Przecież już mówiłem!

Proszący o audyencję uczonej był spokojny i niewzruszony jak jeden z głązów otaczających ich tysiącletnich ścian. Dobrze wiedział, co robi.

— Zamiast kontynuować tę jałową dyskusję, proszę cię o przekazanie prezydentowi Evoli dwóch słów.

— To absolutnie niemożliwe.

— Oczywiście jeśli sam uznasz to za stosowne.

— Nie uznaję za stosowne. Wykluczone, żebym teraz miał jej przeszkadzać. O jakie dwa słowa chodzi?

— Goście Prokrona — powiedział spokojnie geolog.

Sekretarz pobladł. Stał przez chwilą bez słowa, a potem podeszedł do ekranu interkomu. Sięgnął do wyłącznika, ale opuścił rękę.

— A kim są ci trzej ludzie, którzy mają wejść z tobą? — spytał.

Siedzieli w gabinecie prezydenta planety. Nordeng patrzył w twarz Evoli, zachwycając się jej pięknem. Piękna, młoda i samotna. Niepisana tradycja Eeli wymagała, by jej prezydenci, mężczyźni czy kobiety, nie zawierali podczas pełnienia funkcji umowy małżeńskiej. Evola żyje zupełnie jak kapłanki dawnych wielkich religii.

Teraz, kiedy już wiedzieli niejedno, nie mogli nie zauważyć na jej spokojnej twarzy oznak ogromnego bólu i obawy. Widać było, że Evola wie już dawno i to dużo więcej od nich.

Prezydent wysłuchała Yunnar, która krótko przedstawiła fakty. Dopiero kiedy Yunnar skończyła, Evola uniosła rękę. Na Eeli gest ten oznaczał zamiar przemówienia do obecnych.

— Porozmawiamy o tym. Waszym śledztwem postawiliście nas przed faktem dokonanym. Nie warto się już teraz zastanawiać, czy to dobrze, czy źle, że wiecie. Sytuacja zmieniła się przez to i w ten sposób problem nie jest już tylko problemem nas kilkorga, ale i waszym. Dowiedźcie się więc przede wszystkim tego, co wiemy. — Zwróciła się w stronę interkomu: — Proszę Eelaka-To' oraz Revana — rzuciła Kevinowi. — Niech się tu stawią osobiście, bardzo ważna sprawa. Następnie proszę do rzutnika kryształowy Prokrona.

Wyłączyła urządzenie.

— Kilka słów, zanim tamci się nie zjawią. Zbombardowany obiekt był jedynym, jaki napotkaliśmy. Wszyscy doszliście chyba na podstawie tego, co wiecie, do wniosku, że tamtego dnia przed dziesięciu laty człowiek spotkał się na Prokronie z obcą cywilizacją. Bardzo szybko będziecie mogli wyrobić sobie pogląd na temat tego, jaka ona jest. — Mówiąc to Evola schyliła głowę, jakby nie chcąc, by widziano wyraz jej twarzy. Przez całą minutę w sali panowała głucha cisza. Po chwili prezydent ciągnęła dalej: — A więc po kolei. Poziom ich rozwoju technicznego jest wyraźnie wyższy od osiągniętego przez człowieka, a dowodem na to jest, chociażby fakt, że to oni pierwsi do nas dotarli, a nie my do nich. Badaliśmy pozostałości ruchomego obiektu. Sterował nim sztuczny mózg, nie było w nim istoty żywej, nie nadawał się; do tego, tyle wiemy. Nie wiemy, skąd przybyli, znamy tylko orientacyjny kierunek. Wyprzedzają nas w technice co najmniej o dziesięć tysięcy lat. Określa to jednoznacznie wynik ewentualnego konfliktu z nim. Na temat samych istot nie mamy absolutnie żadnych danych. We wnętrzu zbombardowanego na Prokronie urządzenia, mniej więcej w samym środku znaleźliśmy nietknięty metalowy zespół. Bomba, która wystarczyłaby do wysadzenia w powietrze góry bazaltowej o podstawie równej powierzchni całego Mag-Polu, nie uczyniła jednostce sterującej tego urządzenia o objętości kilku metrów sześciennych absolutnie żadnych szkód, tylko przerzuciła samą jednostkę sterującą o kilka kilometrów od miejsca wybuchu. Zespół ten moglibyśmy w przybliżeniu nazwać mózgiem elektronicznym robota, ale nazwa ta oparta byłaby na dalekiej analogii, jest to bowiem produkt aż tak bardzo przewyższającej nas technologii. Mamy wszystkie powody, by sądzić, że ta elektroniczna jednostka sterująca, gdyby miała do swojej dyspozycji minimalną ilość czasu i materiału, w ciągu pół dnia .potrafiłaby zregenerować całe urządzenie. Znaleźliśmy ją jakieś pół godziny po wybuchu. Mieliśmy szczęście także i w tym, iż upadła na sam środek piaszczystej pustyni... — Prezydent powiodła wzrokiem po swych słuchaczach i z wielkim naciskiem

powtórzyła: — Mieliśmy szczęście w tym całym spotkaniu, tylko szczęście, nic innego, po prostu ślepy traf. Kiedy znaleźliśmy jednostkę sterującą, wyhodowała już cztery manipulatory, za pomocą promieni o krótkim zasięgu poszukiwała wokoło rud metali, dowolnych rud metali, kilka zaś metrów od niej znaleźliśmy już niemal całkiem gotowe podwozie-płozy, zbudowane z kwarcu uzyskanego z piasku pustyni. Uważamy, że w warunkach tak pospiesznego projektowania musiałyby w dwóch miejscach użyć jako elementów łączących osi metalowych. Dlatego wybrała jako organ ruchu prymitywny układ płóz. Mieliśmy jednak szczęście, bo jej promień szukający w porę naprowadził nas na jej ślad. W tej fazie nietrudno ją było obezwładnić, choć i w tym bardzo nam pomogło ubogie w energię otoczenie... Przez ponad rok najlepsi specjaliści od automatyki na Eeli pracowali nad tym, żeby w ogóle cokolwiek zrozumieć z celów działania obcego urządzenia; w dalszym ciągu nie możemy rozszyfrować większości jego elementów konstrukcyjnych. Udało się jednak zidentyfikować część najważniejszą, którą można by nazwać zespołem pamięciowym. Jest to rodzaj niezwykle skomplikowanego mózgu składającego się częściowo z plazmy, który od chwili powstania rejestruje za pomocą czterech „zmysłów”: słuchu, wzroku, wycucia głębokości i odległości oraz czujnika promieniowania wszystko, co dzieje się w jego otoczeniu. Jeden z naszych techników potrafił odczytać nagromadzony zapis pamięci i przekodować go na symbole zrozumiałe dla człowieka. Otóż jednostka tuż przed wysłaniem jej w misję zarejestrowała także swoje otoczenie z macierzystej planety. Materiał ten zawarty jest w tak zwanych kryształach Prokrona, znanych dotychczas na tej naszej planecie tylko czterem osobom'. Od tej chwili przestaną być one sekretem i dla was. Inaczej ocenicie nasze zachowanie.

Evola sama podeszła do drzwi i otworzyła je pociśnięciem guzika. Było to rzadkie postępowanie na zautomatyzowanej Eeli.

— Eelak już jest? — spytała Kevina. Wszyscy wiedzieli, że prezydent stara się unikać użycia środków zdalnej łączności. Niektórzy uważali, że taka cecha charakteru w tych czasach oznacza skłonności atawistyczne.

Siedzący w gabinecie nie usłyszeli odpowiedzi sekretarza, ale po dwóch sekundach w drzwiach pojawił się młody mężczyzna o bardzo szczupłej twarzy i głęboko wpadniętych oczach. Musiał już czekać w pogotowiu.

— A Revan? — spytała prezydent. Znow nie usłyszeli odpowiedzi sekretarza.

Evola wróciła do gabinetu. Trzech astronautów oczekiwało na nią w milczeniu. Nowo przybyły nie przywitał się, czekał na Evolę bez ruchu.

— Przywitaj się z nimi — powiedziała Evola. Mężczyzna spojrział na nią. Na Eeli powitanie było jednocześnie przedstawieniem się, w przypadku osób nieznanym. — Tak, twoim prawdziwym nazwiskiem — skinęła prezydent.

— Eelak-O', z Prokrona — skinął głową mężczyzna.

Pozostali też mu się przedstawili. W takich wypadkach podawali jako miejsce pochodzenia swoje dawne miejsca zamieszkania sprzed wyprawy. Igo dla uproszczenia podawał Gambar.

— To ty pracowałeś z Ogde-To' na Prokronie? — spytał Uri.

Eelak znow spojrział pytająco na prezydenta.

— Możesz mówić spokojnie — powiedziała Evola. — Dlatego właśnie cię wezwałam, żebyś im opowiedział, co zawierają kryształy Prokrona.

Mężczyzna uniósł ze zdziwieniem brwi. Potem skinął głową:

— Tak, pracowałem razem z nim. To ja później próbowałem rozwiązać problem struktury i znaczenia kryształów.

— Nie mogliśmy obejrzeć tych materiałów? — spytała Yunnar zwracając się do

prezydenta.

Odpowiedział jej Eelak:

— Każde odtworzenie osłabia jakość materiałów. Nie udało nam się bowiem opracować metody kopiowania informacji na nasze kryształy. Musimy odczytywać kryształy oryginalne na specjalnie w tym celu zaprojektowanym urządzeniu. Obawiam się, żeby się im coś nie stało.

— Nie trzeba koniecznie odtwarzać. Opowiedz ich treść. Siadajmy.

— Część materiału pamięciowego nagranych jeszcze na planecie macierzystej nie jest jasna: materiał jest nieciągły, chwilami działały tylko jeden lub dwa „zmysły”. Było tak dlatego, że na tamtej planecie wystarczał najprostszy automatyzm, mózg nie potrzebował jeszcze niczego rejestrować. Obecnie całkowicie go unieruchomiliśmy, dokonaliśmy niemal sekcji zwłok. Ale póki istnieje i dysponuje źródłem energii, nie potrafi wyłączyć jednostki pamięci i musi prowadzić zapis. Nawet w przybliżeniu nie potrafimy sobie wyobrazić jego pojemności. Dość prawdopodobne jest stwierdzenie, iż mierząc skalą ludzkiego umysłu jego pojemność informacyjna jest wprost nieskończona. W dodatku dopóki wytrzymuje powłoka zewnętrzna — a wytrzymuje nawet trafienie atomowe — dopóty jednostka przechowuje obraz otoczenia. Częściowo wyjaśnia to fakt, że pamięć nie zajmuje się chwilami, w których nic się nie dzieje, więc nie obciążają one jej niepotrzebnie. Kiedy natomiast prowadzi zapis, zagęszcza go.

— Omów tę część z ich planety — poleciła Evola. — Potem możecie pytać o szczegóły.

— Pierwszym zapisem jest zapis obrazu. Element pamięciowy zmontowany został przez zdalnie sterowane roboty w sztucznie wybudowanej, niewiarygodnie i niezrozumiale dla nas wysokiej hali. O istotach rozumnych, kierujących całą tą pracą, nie mamy do dzisiejszego dnia zielonego pojęcia. Do maszyny, którą nazwaliśmy Memonem, słowo to pochodzi z dawnego języka mago-lyn, przez cały czas nie zbliżał się nikt poza robotami. Nie wiemy zupełnie nic o rozmiarach obcych istot, o ich metabolizmie, o tym, czy przypominają jakkolwiek znany nam żywy organizm. Większa część hali montażowej pozostawała w kompletnej ciemności, gdzieniegdzie tylko rozświetlanej ostrym strumieniem sztucznego światła, sterującym procesem produkcyjnym. Pierwsze błyski światła, zapisane w pamięci, to zwykłe sygnały testujące, za których pomocą sprawdzano czułość czujników. W kolejności czasowej maszyna przechowuje ślady dalszych testów podstawowych, sprawdzających czujniki dźwięku, położenia przestrzennego oraz promieniowania. O testach tylko tyle: dla nas czułość czujników jest iewiarygodna. Wcale nie jest szczytem ich możliwości przeczytanie z Prokrona otwartej książki leżącej na powierzchni Eeli. Podobne są możliwości i innych „zmysłów”. Narodziny jednostki pamięci oraz przygotowania do wysłania jej ograniczyły te dane do postaci wyrzykowej, głównie o charakterze technicznym. Druga faza przygotowań jest dla nas decydująca z punktu widzenia jej zawartości informacyjnej. Była to prawdziwa próba urządzeń. Jednostka pamięci jest w trakcie tego testu zrzucona z kilkumetrowej wysokości na całkowite pustkowie, prawdopodobnie na okolice pustynne innej planety lub księżyca. Jednostka potrafiła w takich warunkach „wyhodować” sobie po kolei cztery manipulatory, używając do tego koncentratów metali. Twardości tych manipulatorów nie mogliśmy zbadać, jedyną daną orientacyjną jest fakt, że na Prokronie dała im radę bomba termojądrowa. Tam musiała wyprodukować nowe. Na poligonie maszyna miała dokonywać obserwacji na podstawie zawartości swej pamięci. Z tego, iż wykonała to zadanie, wywnioskowaliśmy, że twórcy chcą ją wykorzystać do rozpoznawania takich obszarów, które mają zamiar opanować. Mimo to odkryliśmy pewną dziwną sprzeczność. Niektóre eksperymenty chemiczne, wykonywane na całych obszarach, pozostawiały za sobą ślady powodujące, iż żadna istota żywa, jaką możemy sobie wyobrazić, nie mogła wejść na dany teren przez całe stulecia, a więc obszar taki stawał się dla nich niemożliwy do skolonizowania. Oczywiście sam fakt, iż mówiłem o istotach, jakie sobie możemy wyobrazić, zakłada, że

możemy się mylić. Nie potrafię jednak, myśląc logicznie, wyobrazić sobie istoty żywej, której nie robiłoby najmniejszej różnicy, że obszar pokryty uprzednio bogatą roślinnością, o dobrej atmosferze, umiarkowanych warunkach klimatycznych zamienia się po ataku w skalistą pustynię, skażoną radioaktywnie i o trującej atmosferze... W każdym bądź razie i z tej fazy nie dowiedzieliśmy się na temat obcych istot niczego. W drugiej części rozruchu, 'wszystko jedno, jak to nazwiemy, wypróbowywano wytrzymałość konstrukcji. Jednostkę atakowano na różne sposoby, poddawano działaniu sztucznych katastrof, wszystko to za pomocą robotów. Urządzenie miało to wytrzymać, a przy tym rejestrować wszystko wokoło. Nie sposób omówić, co się z nim działo. Części ataków nie potrafię nawet nazwać ani wyjaśnić, bo nie mieszczą się w naszym zakresie pojęciowym. Przy ataku bronią radiacyjną Memon po raz pierwszy ujawnił swoją najcenniejszą właściwość bojową, dzięki której jest praktycznie niezniszczalny; do przypadku bomby na Prokronie jeszcze powrócę. Memon właściwie po prostu pochłania wszystkie rodzaje promieniowania. Ma elastyczny system opancerzenia, elastyczny w jak najszerszym znaczeniu tego słowa: potrafi poddawać się działaniu energii cieplnej, świetlnej, wibracji oraz efektom uderzeniowym rozmaitych typów broni zupełnie w taki sposób, jak idealnie elastyczna guma poddaje się działaniu siły mechanicznej. Wszystkie te typy energii pochłania za pomocą znajdującego się pod pancerzem skomplikowanego układu komórek przypominających substancję ożywioną, przechowuje i potrafi je przekształcić i wykorzystać w celu kontrataku — wszystko to zaś robi w sposób niezgłębiony dla naszej nauki. To samo dzieje się z energią wybuchów — zupełnie jakby potrafił rozdzielić i oddzielnie pochłaniać energię uderzeniową, świetlną, akustyczną i cieplną. Z każdego dźwięku, który rozlegnie się w jego pobliżu, potrafi zyskać dla siebie energię. Jest niezniszczalny, z im większą siłą się go atakuje, tym staje się potężniejszy. Na swój sposób jest szczytem osiągnięć techniki wojennej. Wszystko, co powiedziałem, dotyczy tylko Memona, będącego duszą całego urządzenia, to tę jednostkę sterującą chroni taki pancerz. Następna grupa zadań testowych sprawdzała wszystkie zdolności rozpoznawania maszyny, potrzebne jej do działania po wylądowaniu na planetach zamieszkałych przez żywe istoty. Maszyna znajdowała różne żywe organizmy zwierzęce. Z każdego gatunku łowiła po jednym egzemplarzu za pomocą odpowiednio ukrytych taśm metalowych, poddawała szczegółowym badaniom jego reakcje, a następnie dokonywała sekcji.

Eelak spojrział teraz na prezydent, która siedziała w milczeniu, słuchając znanych jej faktów wyraźnie przygnębiona.

— Mówić o wszystkim? — spytał Eelak.

— Tak jest — skinęła głową Evola. — Teraz będzie to i ich sekretem.

— Dobrze — odpowiedział mężczyzna. — Otóż Memon dokonywał sekcji istot żywych nie zabijając ich uprzednio.

Zapadła cisza. Na twarzach niektórych słuchaczy malowało się niedowierzanie.

— Oczywiście nie eksperymentowano z istotami myślącymi? — spytała obawiając się najgorszego Yunnar.

— Maszyna nie napotkała takich organizmów — rzekł Eelak. Po chwili ciągnął dalej swą relację: — Przeanalizowaliśmy każdą hipotezę, badając ją w świetle najdrobniejszych faktów, na jakie natrafialiśmy w trakcie naszego rozpoznania. Nie mogliśmy uwierzyć w ten paradoks: istoty o takim poziomie rozwoju zachowują się w sposób tak zwierzęco okrutny. Każda teoria na temat życia poza naszym układem zakłada, i nie może zakładać nic innego, iż jeśli spotkamy się z istotami inteligentnymi tu, u nas, muszą one być bardziej od nas rozwinięte, muszą stać na wyższym poziomie rozwoju cywilizacji. Tymczasem zaobserwowana u Memona cecha jest niewiarygodnie prymitywna. Stąd mogliśmy wyciągnąć tylko taki wniosek, że w ich strukturze uczuciowo-intelektualnej, nie chciałbym użyć słowa: psychicznej, istnieje jakiś błąd. Brakuje im

uczucia, którego my u siebie nawet nie zauważamy, bo jest ono tak naturalnie związane z istotą naszego człowieczeństwa. Stąd wynika ich wojenne nastawienie, stąd sposób widzenia świata przez pryzmat pustoszenia i siły. Dlatego nie zabijają istot żywych przed sekcją, ponieważ z ich punktu widzenia nie ma to żadnego sensu i nie daje żadnego potrzebnego efektu. Są to istoty racjonalne, tylko racjonalne. Dla naszych zoologów i antropologów analiza ich eksperymentów dostarczyłaby niezmiernych ilości danych, gdyby mieli do nich dostęp. Wiemy więc jedno: ich maszyny zaprogramowane są tak, by dokładnie zbadać pierwszego schwytanego osobnika spośród istot rozumnych, a więc i ludzi, a resztę niszczyć bez żadnych badań czy wiwisekcji. Z takiego założenia wynika logicznie i drugi rozkaz, że istoty rozumne mogą dla nich stanowić niebezpieczeństwo, na przykład przez to, że mogą się ze sobą porozumiewać. Granicę działania wyznacza dla nich używanie metali. Człowieka pierwotnego, prowadzącego koczowniczy tryb życia, traktowałyby one jak zwierzę, tak samo zresztą na przykład jak pojedynczego plażowicza, zakładając, że nie ma on metalowej klamry w stroju kąpielowym. Opowiem także, w jaki sposób Memon pozbawia życia skazane na ten los żywe istoty. Maszyna zmusza za pomocą promieniowania o działaniu hipnotycznym żywe organizmy do tego, by same chciały znaleźć się w jej pobliżu. Potem, jeśli nie przygotowuje się do badania, otwiera jeden z pojemników manipulatorów i zabija wybraną stamtąd bardziej odpowiednią bronią. Właśnie tak bezmyślne okrucieństwo nasunęło nam wniosek, że mimo wysokiego poziomu techniki, mamy do czynienia z gatunkiem niższym od człowieka. I jeszcze jeden fakt: ich hipnoza nie działa na istoty rozumne, takie jak człowiek, Eelar–Om. To było przyczyną stusekundowego opóźnienia działania maszyny, kiedy znalazła się twarz w twarz z Amedą. Dziwne uczucie głodu, o jakim mówiła Ameda, świadczy o wpływie promieniowania. Ten fakt oraz zyskane sto sekund umożliwiło nam użycie bomby. Mieliśmy szczęście. Nie wiem, czy w przeciwnym razie ktokolwiek żyłby jeszcze na Eeli... Dotąd w każdym takim przypadku w trakcie testów po otrzymaniu rozkazu niszczenia maszyna urządzała polowanie z nagonką i tysiące jej taśm metalowych zamieniały w popiół wszystko, co żywe. Nie potrafilibyśmy się przeciwstawić ich sile. Najślabsza z ich broni jest bardziej niszcząca od naszych bomb...

Głos Eelaka zdrzął. Zdobył się znów na wysiłek udania obojętności. Postanowił sobie, że dokładnie wykona zadanie powierzone mu przez prezydenta i opowie o wszystkim. Ciągnął więc uparcie dalej:

— Do dzisiejszego dnia nie mamy pojęcia, jak wyglądają, jaki jest skład atmosfery, jakie rozmiary ich planety lub planet. W całym materiale pamięciowym widzimy tylko kanciaste, przeważnie stacjonarne czasem ruchome roboty. Mamy na ich temat tylko jedną daną: zawsze kiedy maszyny wykonywały jakiś rozkaz, na ułamek sekundy przedtem Memon sygnalizował nadejście emisji promieniowania pochodzącego spoza tamtej planety: sterowano je więc najwyraźniej zdalnie drogą radiową. Nasze wnioski, które wyciągnęliśmy, nie pozostawiają ludziom cienia nadziei. Te okrutne urządzenia zawojowały już niezliczoną ilość układów planetarnych. Spotykały się z istotami żywymi — nawet jeśli z innymi nie, to chociażby z tymi, których używały podczas testów na swojej „planecie–poligonie”, celem ich wypraw rozpoznawczych jest zdobywanie nowych obszarów, ale nie wiemy po co. Tamci nie mogli się dotąd spotkać z okrutniejszymi lub potężniejszymi od siebie istotami. To nieczuli rzeźnicy. Są nam obcy pod każdym względem... Na razie tylko tak ich nazywamy: Obcy...

Ledwo Eelak umilkł i usiadł, drzwi prezydenckiego gabinetu rozsunięły się. Pojawił się w nich mężczyzna w średnim wieku, o wąskich ustach i zdecydowanym spojrzeniu. Był to Revan–Ti': historyk, osobisty sekretarz Evoli. Nawet jeśli ktoś nie spotkał się z nim dotąd osobiście, każdy na Eeli znał jego twarz z prasy i telewizji; był osobistością Podszedł dwa kroki do przodu. Kiedy spojrzął po wszystkich wokoło, by zorientować się, kto jest w gabinecie, tak samo dobrze

wiedział, co powiedziano tu przez ostatnie półtorej godziny, jakby był świadkiem rozmowy od początku do końca. Pobladł, jakby zachwiał się, i bez słowa, wzrokiem wyrażającym najwyższe oburzenie spojrzął na prezydenta. Podszedł jeszcze krok.

— To nie ja to zrobiłam, Revanie — odezwała się Evola w tym momencie spokojnym, cichym głosem. — Sami się dowiedzieli. Siadaj i słuchaj.

4

Dwadzieścia jeden minut później, kiedy zupełnie oszołomiony tokiem wydarzeń Kevin sam przyniósł dla wszystkich po filiżance parującego płynu, Evola podsumowała na użytek ogółu zebranych całą sytuację.

— Pomiędzy nieprzebranymi informacjami przechowywanymi przez Memona znajduje się mapa gwiazdna, na której podstawie się on orientuje. Pokazuje zupełnie nie znaną nam część galaktyki, położenie jej zaś możemy wyliczyć tylko z pokonanej przez Memona drogi. W centrum mapy w odległości kilku lat świetlnych od miejsca, gdzie powstały maszyny i skąd przyleciały, leży układ z trzema planetami. Na podstawie tego centralnego położenia oraz kierunku, z jakiego pochodzą radiowe rozkazy dla robotów, wypływa logiczny wniosek, że planetą Obcych jest druga spośród nich. Jej rozmiary wielokrotnie przewyższają rozmiary Eeli. Na mapie gwiazdnej zielone linie wyruszające z tej planety wyznaczają kulisty obszar przestrzeni rozpoznanej już przez roboty-zwiadowców. Każda zamieszkała planeta w tej przestrzeni oznaczona jest kolorem zielonym — wygląda na to, że zieleń jest dla nich barwą zwycięstwa i podboju — przynajmniej zieleń według naszego widzenia kolorów. Żaden z Obcych nie znalazł się jednak nigdy w pobliżu Memona, zupełnie, jakby się liczyli z ostateczną możliwością zdobycia Memona przez kogoś i nie chcieli niczego zdradzić na swój temat. To jest mniej więcej wszystko, co wiemy na temat Obcych. Jeśli któryś z robotów natrafia na planetę dotąd nieznaną, ląduje w jej sąsiedztwie i pozostaje tam, dopóki nie skończy zbierania danych i przesyłania ich do centrum rakieta pomocniczą. Muszą pracować nie zauważeni. Przypadek Amedy pokazuje, że ich hipnoza nie działa na ludzi, przynajmniej do tej pory nie działa. Możliwość unieszkodliwienia Memona zawdzięczamy tylko stusekundowemu zawahaniu się, wywołanemu właśnie tym faktem. W naszym układzie planetarnym był to pierwszy z Memonów wysłany do pewnego stopnia na ślepo, na podstawie tabeli prawdopodobieństw. Według ich mapy leżymy na trasie ich podboju. Za sto czy dwieście lat roboty pojawią się na tej trasie całymi tuzinami i same będą wyszukiwać na niej gwiazdy, wokół których krążą planety nadające się do życia. Nie możemy liczyć na to, że popełnią po raz drugi ten sam błąd. A dla ludzkiego poziomu techniki ich roboty pozostaną niezwykłe może nawet jeszcze przez najbliższe dziesięć tysięcy lat.

— Tylko od nas zależy, o ile skrócimy ten czas — odezwał się Ogde.

— Nie myślisz chyba... — zaczęła Evola. Revan przerwał jej ze zdenerwowaniem:

— Ogde jest niepoczytalny. Narkotyki odebrały mu rozum. Zrozumcie: na nic nam odpowiednia broń choćby i za tysiąc lat. Za sto lat nadejdą tu całe roje ich statków kosmicznych. Nie ma wyjścia. Eelar-Om, człowiek, jakiego znamy, odegrał swoją rolę we wszechświecie. Musimy ustąpić miejsca silniejszemu. Takie jest prawo natury. Jedyne, co możemy zrobić, to godnie skończyć ze sobą.

— Jesteś chory psychicznie — rzuciła zdecydowanie Yunnar. — Klasyczny przykład rozwiniętej monomanii.

Revan nie odpowiedział. Z pewnością wielkiej osobistości zwrócił się do Evoli jako do osoby

wiedzącej, że jego zdania, jego potęgi nie śmie nikt kwestionować:

— Nie masz o czym rozmawiać z tymi ludźmi. Uczyniliśmy wszystko w celu osiągnięcia jedynie słusznego rozwiązania. Eęlar–Om do ostatniej chwili nie będzie sobie zdawał sprawy ze swego losu. Nie będzie zbiorowej histerii, fali samobójstw. Nie będziemy cieszyć oczu Obcych Widokiem płonących miast i mordujących się masowo ludzi. Jeśli przyjdą, potrafimy spojrzeć w twarz naszej śmierci. Bardzo źle się stało, że ci tu — pogardliwym gestem wskazał na astronautów — wyniuchali całą sprawę.

— Źle się stało? — spytał Nordeng.

— Bardzo. — Revan machnął ręką. — Zrozum, że nie możecie tu nic zmienić. Będziemy żyć dopóty, dopóki nas nie odkryją. Dlatego wstrzymaliśmy wszelkie prace poza Eelą i badanie kosmosu.

— Liczysz na to, że za sto lat i tak już nie będziesz żyć? — spytała Yunnar.

— Nie chodzi tu o mnie czy o ciebie. Chodzi o rzeczy znacznie ważniejsze.

— I my też mamy to samo na myśli — rzucił Ogde.

— Masz dzieci? — spytała historyka Yunnar.

— Nie ma to nic do rzeczy. A oprócz tego mój syn urodził się, zanim jeszcze się o wszystkim dowiedzieliśmy.

— Tak, teraz już byś się nie zdecydował na dziecko. Ale inni, którzy nic nie wiedzą, twój syn także, mają dzieci, planują ich przyszłość dla następnej epoki. Nie przeczuwają, że ich dzieci rodzą się, by umrzeć w cierpieniach. Czy uważasz to postępowanie za moralne?

— A więc cóż, u diabła, chcesz zrobić?! — krzyknął Revan.

— Musi być jakieś wyjście. Człowiek nie jest rzeźnym cieleciem czekającym beczynn timer na nóż.

— Gdyby się dowiedziano, co nam grozi — rzucił Revan — w ciągu tygodnia cała Eela zamieniłaby się w jeden dom wariatów. Ludzi gwałciłoby się na środku ulicy przy świetle z podpalonych domów, mordowałoby własnoręcznie własne dzieci, zanim skończyłoby ze sobą.

Prezydent słuchała dotąd bez słowa. Teraz wstała. Wszyscy, także i Revan, spojrzeli wyczekująco na kobietę.

— Musimy to inaczej omówić — powiedziała Evola. Zwróciła się do Revana: — Oni, astronauta, są innymi ludźmi, żyli w zupełnie innych warunkach. Mają inne doświadczenia, inaczej myślą. Musimy ich wy słuchać. Przemyślcie wszystko jeszcze raz. Proszę, byście nie opuszczał tych pomieszczeń. Za godzinę kontynuujemy.

* * *

Narada trwała. Istotą argumentacji astronautów było to, że nawet najmniej efektywne działanie jest lepsze od biernego oczekiwania. Muszą w jakiś sposób przetrwać: są teraz już odpowiedzialni za wszystkie istoty rozumne — jeśli takie istnieją — jakie po nich staną się ofiarami Obcych.

Revan mówił już teraz opanowanym głosem. Nie ma nic do roboty. Różnica sił czyni po prostu śmiesznymi jakiegokolwiek przygotowania. Revan dzięki wiadomościom zebranych przez swoich ludzi podejrzewał już astronautów o prowadzenie śledztwa. Teraz mógł im bezpośrednio przekazać swe nie zmienione zdanie. Teraz potrzebna jest im prawdziwa mądrość mężów stanu, by wiedząc o wszystkim stanąć na wysokości zadania. Jedynym celem jest teraz zachowanie do końca tajemnicy przed całą ludnością Eeli.

— My, wraz z prezydent Ewołą — kończył historyk — nigdy nie mieliśmy wątpliwości, co należy robić...

— Nie — przerwała mu Evola — wcale tak nie jest. Nie jestem taka pewna.

Zapadła cisza. Revan spojrział na prezydenta nie tyle nawet zaskoczony, ile raczej z rozgorączkaniem.

— Ani prezydent, ani nikt inny nie może podjąć sam odpowiedzialności za decyzję takiej wagi — odezwał się Nordeng.

— Nawet wtedy, gdy nie mamy zupełnie żadnej, choćby najmniejszej nadziei? — spytał Revan.

— Nawet wtedy. A nadzieję trzeba mieć zawsze.

— Musi być jakieś rozwiązanie — stwierdziła po raz drugi tego dnia Yunnar.

Prezydent zwróciła się teraz do niej.

— Tak myślisz, Yunnar-Den?

— Tak czuję. Musi być jakaś szansa.

Revan spojrział na prezydenta z szyderczym uśmiechem.

— Na tym chcesz się oprzeć?

Evola nie odpowiedziała.

— Ale zgadzamy się — spytał Nordenga historyk — że jeśli nie ma wyjścia, to byłoby zbrodnią publiczne rozgłoszenie faktu istnienia Obcych?

— Nawet jeśli chodzi o to, mam inne zdanie. Nie możemy o tym decydować w pięć czy dziesięć osób. Może być takie rozwiązanie, i na pewno tylko takie istnieje, na które my, tu zgromadzeni, nigdy nie wpadniemy. Natomiast zgadzam się z tobą, jeśli chodzi o to, że najpierw trzeba opracować plan całej akcji, dopiero później można ogłosić fakty tak, by uniknąć katastrofy. Ale dopiero wtedy, kiedy będziemy wiedzieli, co robić.

— A więc — przerwał z wyższością Revan — myślę, że i Evola zgadza się tu ze mną, jeśli macie jakiś pomysł, możemy o tym dyskutować. Jeśli potraficie coś poradzić — roześmiał się z goryczą. — Do tego czasu musicie dochować tajemnicy.

— Po to, by skutecznie szukać rozwiązania, musimy rozszerzyć krąg wtajemniczonych. Przecież wiedzy całej ludzkości może być mało dla rozwiązania problemu.

Revan pokręcił przecząco głową.

— Nikt się nie może dowiedzieć. Nikt.

— Zapomniałeś — podjęła Yunnar — że my się już dowiedzieliśmy. A niczym nie możesz nas powstrzymać od rozgłoszenia wszystkiego chociażby jutro. Milczeć będziemy tylko dotąd, póki nam to nakazuje sumienie.

Prezydent przerwała im rozkazującym gestem.

— W ten sposób nigdy nie skończymy. Podjęłam decyzję. Posłuchajcie.

Przedstawiła im tymczasowy plan.

W największej tajemnicy należy poruszyć stosunkowo szerokie kręgi uczonych. Spośród astronautów wszyscy już wiedzą o sekrecie Prokrona — jedni mniej, inni więcej. Poza nimi należy wtajemniczyć uczonych ze stacji zewnętrznych. Nordeng wraz z prezydentem ustalił imienną listę około dwóch tysięcy osób, którym przydzielili się zadania według specjalności. Astronauci będą mogli pracować nad rozwiązywaniem problemu zupełnie swobodnie. Ze swojej strony przyrzekają, iż nie powiedzą nikomu ani słowa i nie zrobią niczego bez zgody prezydenta. Najpóźniej za rok, na nowym, rozszerzonym spotkaniu wszyscy zdadzą relację z postępów prac. Do planu nikt nie miał żadnych zastrzeżeń. Po odejściu astronautów Evola zdecydowanie odprawiła także Revana. Kiedy — zamknęły się za nimi drzwi, prezydent stanęła przed wiszącym nad jej biurkiem globusem Eeli.

Po raz pierwszy od nie kończących się dziesięciu lat poczuła jakąś ulgę.

Sześć miesięcy po naradzie u prezydenta, pewnego cieplejszego niż zwykle letniego dnia Brion — niepracujący trzydziestoletni mężczyzna z Dar-An — gapił się ze zneruchomiałą twarzą w otwór podający stołu restauracyjnego. Patrzył, czekał, lecz na próżno.

Zagłębienie, w którym powinna się pokazać starannie wybrana sztuka mięsa z bukietem jarzyn, było puste.

Brion przez dobre kilka minut nie powiedział ani słowa, nie uczynił żadnego ruchu. Nie istniało dla niego pojęcie opisujące takie zjawisko podajniki żywności na Eeli nigdy się nie opróżniały, zapewniała to całkowicie zautomatyzowana gospodarka. Stoły restauracyjne, transportery czy inne elementy łańcucha spożywczego nigdy nie ulegały awariom. Czuwały nad tym kontrolujące automaty oraz sieci zapasowe dające potrójną rezerwę bezpieczeństwa.

Brion powoli podniósł wzrok. Nie był przestraszony czy zbity z tropu, nie był nawet zły, po prostu nie mógł tego pojąć. Nie można by chyba znaleźć w historii ostatnich pięciuset lat Eeli nawet dalekiej analogii uczucia, jakie go ogarnęło, kiedy patrzył na pustą metalową tacę. Wreszcie wstał, okrążył stół, przy którym wraz z nim siedziała Mona i ich trzyletni synek Briono, i spojrzął przez ramię żony na widniejący przed nią otwór podajnika. Mona zamówiła swoje danie wcześniej i stało przed nią, ale niekompletne, zimne, bez mięsa. Taca przed chłopczykiem była pusta.

Z drugiego końca sali rozległ się okrzyk zdziwienia. Z lewej strony ktoś roześmiał się. Brion rozejrzał się i spostrzegł, że jedzący przy wszystkich stołach znaleźli się w tej samej sytuacji. Na sali zaczął się gwar, stopniowo rosnący na sile. Mona odwróciła się w krzesło i spojrzała na Briona wyczekująco.

Na małym podium na końcu sali, gdzie zwykli występować muzycy i artyści estradowi, pojawił się wysoki mężczyzna w tradycyjnym biało—czarnym ubraniu pracowników gastronomii. Widać było, że chce coś powiedzieć. Zaczęto posykiwać. Gwar ucichł. Kierownik restauracji zaczął mówić, ale dobiegały ich tylko niektóre słowa.

— ...nie rozumiem... nie mam pojęcia... — tyle można było usłyszeć — ...pusto... centralne magazyny... niewiarygodne... nigdy się coś takiego nie zdarzyło...

Resztę zagłuszył znow rosnący gwar. Ktoś krzyczał. Starsza kobieta rzuciła się do wyjścia, ale potknęła się i upadła.

W tej chwili zabrzmiał rzeczowy głos Briono, trzyletniego chłopczyka:

— Tato, jestem głodny.

Brion szybko rozejrzał się po sali, zawahał się na chwilę, a potem zdecydowanym ruchem zabrał żonie łyżkę, nałożył na okładkę wyciągniętej z kieszeni książki większą część zimnego groszku i marchewki z podajnika i postawił przed chłopcem.

Kiedy tak stał nad nimi, czekając, zanim nie zjedzą, rozmyślał zrozpaczony, gdzie po pięciuset latach zautomatyzowanej wygody znajdzie do wieczora pożywienie dla rodziny. Błysnął mu obraz łabędzi w parku niedaleko ich miejskiego mieszkania.

— Pospieszcie się — ponaglił — idziemy!

Muszę tam być pierwszy. Myślał o mięsie, nie przejmował się niczym innym, zupełnie jak milion lat temu przygarbiony człowiek jaskiniowy.

Miesiąc później w kabinie pilotów wielkiej tarczy latającej na najbardziej ruchliwej linii łączącej Mag z Darem kapitan z niedowierzaniem patrzył na świecąca się uparcie liliową lampkę kontrolną. Nacisnął dźwignię. Odciągnął ją z powrotem, nacisnął drugą. Liliowa lampka paliła

się nadal.

Kapitan sięgnął do mikrofonu interkomu.

— Proszę do kabiny pierwszego oficera.

W tym samym czasie jego dłonie poruszały się już błyskawicznie. Przycisnął czarny guzik. Przerzucił trzy przełączniki. Na pulpicie kontrolnym pojawiło się obok liliowego zielone światełko. Przesiadł się w fotel pilota, po raz pierwszy od czasów treningu, i zerwał plombę z drążka sterowniczego. Chwycił drążek, spojrzął na cztery przyrządy i przerzucił przełącznik główny z pozycji „zdalnie” na pozycję „ręcznie”. Wszystko trwało piętnaście sekund. Liliowe światełko zgasło. Kapitan patrzył na przyrządy ze zwiększoną uwagą, prowadząc tarczę ręcznie.

Kiedy wszedł pierwszy oficer, wskazał mu zieloną lampkę.

— Zerwane połączenie z Mag–Polem, nie działa zdalne sterowanie. Siadaj w drugim fotelu, określ naszą pozycję, sprawdź kurs i próbuj nawiązać łączność radiową z Dar–Anem. Zajmij się nawigacją. Musimy sprawdzić, czy mamy wolny korytarz powietrzny oraz jak rozległe jest zakłócenie. Zawiadom załogę; stan gotowości numer jeden. Pasażerowie nie mogą się o niczym dowiedzieć. Kiedy skończysz, przygotuj się na przejęcie sterów.

Kiedy trzy godziny później wylądowali bezpiecznie w pobliżu Dar–Onga, daleko od stałych tras komunikacyjnych, zmęczony i zaczerwieniony z przejęcia pierwszy oficer spojrzął na dowódcę.

— Teraz przynajmniej wiem, że jestem pilotem, a nie niańką cierpiących na morską chorobę starych panien.

Osiedle o nazwie Bol–Genna, liczące dziesięć tysięcy mieszkańców, położone było na północ od Mag–Polu, za pierwszą strefą cieplną.

Między mieszkańcami krążyła legenda, że ich przodkowie żyli kiedyś, w czasach prehistorycznych, w strefie wiecznej zimy, w pobliżu bieguna. Według niektórych hipotez pozostałością takiego trybu życia w Bol–Gennie oraz kilku sąsiednich miasteczkach w był kształt oczu mieszkańców: mieli oni oczy węższe od przeciętnych, podobno w ten sposób organizm bronił się niegdyś przed oślepiającą bielą wiecznych” śniegów. Część antropologów uważała takie hipotezy za szarlatanerię, gdyż wiadomo było wszystkim, iż i tak życie w Bol–Gennie na jej .dzisiejszych szerokościach geograficznych do granic wytrzymałości obciąża zdolności adaptacyjne organizmu ludzkiego ..

Faktem było jednak, iż położenie geograficzne oznaczało dla Bol–Genny uzależnienie życia miasta przez cały rok od działania wielkiej elektrociepłowni jądrowej, położonej w pobliżu. Oczywiście nigdy nie było z nią żadnych kłopotów.

Tego dnia wczesnej wiosny problemy także nie dotyczyły reaktorów. Pobór mocy i energii cieplnej miasta był tak duży, że nie wystarczało przesyłanie energii w formie promieniowania, za pomocą urządzeń nadawczych i odbiorczych. Miasto zasilane było za pośrednictwem skomplikowanej sieci przewodów. W pewnej chwili uległa błyskawicznej awarii jedna ze stacji wzmacniakowo—transformujących, przerywając przekazywanie energii.

Rezerwy energii starczyły miastu na dwadzieścia cztery godziny. Przez ten czas trzeba było znaleźć jakieś wyjście.

Sama myśl o awarii była dla mieszkańców ogromnym zaskoczeniem. Od pokoleń,— od całych stuleci nie stanęli wobec takiego problemu. W drugiej godzinie awarii pięćdziesięciu ludzi siedziało już przed miejską ścianą—harfą, w największej sali Bol–Genny. Panował wielki ruch, dzieci biegały z wiadomościami, gromadzono najlepszych inżynierów miasta. Kierownictwo objął, nie wiadomo jak i kiedy, jeden z inżynierów systemu gastronomicznego. Było to dość logiczne, więc członkowie wybieralnej rady miejskiej bez słowa sprzeciwu wypełniali jego

polecenia. Salę harfy przekształcono na kwaterę sztabową.

Po trzech godzinach cała armia złożona z pięciuset młodych ludzi rozpoczęła przeprowadzanie starców, dzieci i kobiet, a potem reszty mieszkańców, do pośpiesznie opróżnionych domów w centrum miasta. W pozostałych dzielnicach wyłączono ogrzewanie. W ten sposób uzyskano rezerwy energii na tydzień. Na wezwanie radiowe z Mag–Polu i innych metropolii przyleciały trzy wielkie tarcze ze wszelkim możliwym wyposażeniem polarnym. Własne pojazdy miasta zaczęły wykonywać program ograniczonej ewakuacji. Kolfur, tymczasowy przywódca miasta wierzył, że przez tydzień, jaki pozostał, uda się znaleźć ostateczne rozwiązanie. W pierwszych dniach pracy okazało się, że klimat Bol–Genny pozwala na dłuższe przebywanie pod gołym niebem. Dotąd po prostu nie było okazji, by się o tym przekonać.

Do wszystkich stacji sieci energetycznych skierowano brygady naprawcze, które znalazły uszkodzenie i określiły, że do jego usunięcia trzeba będzie odbudować całą stację, co potrwa pół roku. Jednak już trzy dni później zespół projektowy Kolfura opracował plan, według którego można było doprowadzić energię elektryczną do Bol–Genny z elektrowni półkuli południowej za pośrednictwem trzech sztucznych satelitów, zawieszonych nad biegunem północnym.

Miasto miało jeszcze energię na dwadzieścia cztery godziny, kiedy w opróżnionych dzielnicach znów można było włączyć ogrzewanie.

Po kolejnych trzech dniach powróciła pierwsza grupa ewakuowanych na południe. Kolfura wybrano na następne sześć lat merem miasta.

Był to pierwszy przypadek, kiedy awaria postawiła całą grupę społeczną wobec problemów życiowej wagi.

6

Prezydent energicznymi ruchami przerzucała leżące przed nią raporty.

...przerwa w dopływie prądu... awaria... problemy zaopatrzeniowe... braki energetyczne... komunikacja... wypadek... jeszcze jedna awaria...

Evola spojrzała na stojącego przed nią głównego komisarza technicznego:

— No i co na to powiesz? Komisarz rozłożył ręce.

— A wyjaśnienia przyczyn? — spytała prezydent.

— Nie mamy w żadnym z tych przypadków.

— Czy myślisz, że może to być jakaś akcja Obcych?

— Wykluczone. Nie potrzebowaliby czegoś takiego.

— Oczywiście że nie — rzucił niecierpliwie Revan,, który do tej chwili studiował mapę ścienną, odwrócony tyłem do nich obojga. — Dobrze wiecie, że kryją się za tym ludzie. — Historyk założył ręce w tył i zaczął się przechadzać po gabinecie. — Śmieszne! — rzekł. — Po prostu śmieszne! — dodał prztykając palcami.

— Od czegoś musimy zacząć — powiedziała Evola. — W ciągu całych ostatnich stu pięćdziesięciu lat nie było na Eeli tylu wypadków i awarii, co teraz czasem w ciągu jednego tygodnia.

— Dobrze wiecie, co w nich jest wspólnego — rzucił Revan takim tonem, jakby wiedział, że mówi na próżno. — To nie są wypadki. Nie ma w nich nic przypadkowego.

Komisarz techniczny spojrział znad notesu, w którym coś bazgrał. Drugi wśród największych historyków Eeli, polityk numer dwa całej planety, trząsł się z emocji.

— Co masz na myśli? — spytał komisarz.

— E, tam — machnął ręką Revan. — Daj nam lepiej spokój. Komisarz techniczny aż pobladł, słysząc taką obrazę. Wolnym ruchem odłożył notes i spojrzął na Evolę. Ta położyła mu rękę na ramieniu i uśmiechnęła się przepraszająco. Komisarz schylił głowę przed prezydentem i nie oglądając się nawet na Revana, ruszył do drzwi.

— Poczekaj chwilę — odezwała się prezydent. — My też idziemy. — Jeszcze raz podniosła raporty, przekartkowała je szybko i spojrzała. — Tak. To miałam na myśli. Niezależnie od tego, w jakiej dziedzinie są kłopoty, w żadnym wypadku nie było strat w ludziach.

— W żadnym wypadku nie było strat w ludziach — powiedział wysoki mężczyzna.

Okno pokoju, w którym stał, wychodziło na śnieżną równinę. Kilkaset metrów dalej zaczynał się iglasty las.

— Cel na pewno osiągnęliśmy — odezwała się kobieta. — Dziś można już udowodnić, że stulecia zautomatyzowanej wygody nie doprowadziły do żadnych nieodwracalnych zmian w psychice ludzkiej. Kiedy człowiek staje twarzą w twarz z naturą, potrafi być nieoczekiwanie twardy i aktywny. Poddaliśmy próbom najróżniejsze typy ludzkie. Na tym eksperymencie możemy uznać za zakończony sukcesem. Rozwiązujemy nasz sztab.

Wskazała na ciągnące się wzdłuż ścian kartoteki, półki z mikrokryształami i ekrany, a potem wyjrzała przez okno.

— Do jutra — zwróciła się do mężczyzny — ma tu zostać tylko puste ośnieżone pole.

— Tak jest — odpowiedział.

Oboje używali takiej samej kanciastej urywanej wymowy, z jaką siedemset kilkadziesiąt lat temu mówiono na Eeli.

— Rząd czuje się upoważniony do tego, by uznać za nieobowiązującą umowę sprzed roku i od tego momentu działać tak, jak uważa za stosowne.

Revan zrobił przerwę dla większego efektu. Powiódł wzrokiem po zebranych przy długim stole. Kiedy jego wzrok dotarł do miejsca, gdzie obok siebie siedzieli 'członkowie ówczesnego, lecz istniejącego do dziś kierownictwa wyprawy kosmicznej, która wróciła przed kilku laty jego spojrzenie zatrzymało się. Czekał na reakcję. Tamci też wyczekiwali. Revan ciągnął dalej:

— Mamy szczegółowe dowody na to, że sami zerwaliście nasze porozumienie sprzed roku, w tym jego punkcie, według którego nie mieliście zaczynać żadnej akcji do czasu naszej narady. W co najmniej pięćdziesięciu przypadkach mamy niezbitą dowody, że to wy stoicie za awariami i wypadkami.

Uri podniósł rękę. Mówca spojrzął na niego.

— Używasz przestarzałej broni, Revan. My jednak lepiej znamy historię psychologii. To, co teraz robisz, w żargonie polityków ubiegłego stulecia nazywało się blefem. Nie masz żadnych dowodów. Masz tylko hipotezy. Nie potrzebujesz jednak ani dowodów, ani blefów. W każdym wypadku my stoimy za wszystkim. Chciałbym jeszcze dodać, że nie będzie już więcej awarii ani wypadków.

— Przyznałeś się — wskazał oskarżycielsko na dowódcę Revan. — Nie ma dla was żadnych świętości. W takich czasach chcieliście poderwać autorytet rządu. Wystawiliście dzieci na głód, naraziliście je na śmierć z zimna.

— Po co to robiliście? — wtrąciła się prezydent.

— Dokonywaliśmy eksperymentu w celach praktycznych — odpowiedział Nordeng. — Doświadczenie zakończyło się pozytywnym wynikiem. Po pierwsze: jeśli chodzi o oskarżenie, zaprzeczamy, jakobyśmy działali w złej wierze. Zaprzeczamy, jakobyśmy nie działali z największą ostrożnością. Twoje dane — zwrócił się do Revana — są oczywiście szczegółowe i

pewne. Przytocz więc chociaż jeden przypadek, w którym naprawdę osiągnął kogoś głód lub śmierć przez zamarznięcie.

Revan skinął zniecierpliwiony:

— Nie chodzi teraz o to, ale o naszą umowę.

— Odpowiem i na ten zarzut. Jeśli chodzi o nasz eksperyment: sami wiecie, iż już od stuleci nie mamy pojęcia, co by się stało, gdyby ludzkość osiągnęła w jakimś punkcie tej planety kataklizm, taki z jakim dawniej ludzie, dysponując tylko nieskończone bardziej prymitywnym' środkami, musieli walczyć każdego dnia. Czy potrafilibyśmy przeciwstawić siły vitalne siłom śmierci? Wiemy wszyscy, że byłoby to tylko kwestią czasu, kiedy zabraknie na Eeli specjalistów, by sterować podstawowymi procesami produkcyjnymi, tylko dlatego, że coraz szersze warstwy społeczne tracą wszelkie zainteresowanie do pracy, nauki, do wszystkiego, co wykracza poza najbardziej pasywne formy rozrywki, odważyłbym się zaryzykować wniosek, że jeśli nie groziłoby tej planecie śmiertelne niebezpieczeństwo, o którym wiemy, i to i wtedy byłoby potrzeba może takiego zestawu eksperymentów, by wytrącić społeczeństwo z apatii. Życiem zarówno jednostki, jak i społeczeństwa, jest tylko to, co ma jakiś cel. To, co się tu działo, było tylko wegetacją. A teraz w sprawie naszego porozumienia; dopiero kilka miesięcy temu postanowiliśmy, że przyspieszymy rozpoczęcie całego cyklu eksperymentów, dopóki nie jest za późno. Zamierzaliśmy je wykonywać współpracując z rządem, po naszej dzisiejszej naradzie, lecz nagle możliwość, została zagrożona. W naszej umowie ustaliliśmy także, iż będziemy mogli spokojnie i swobodnie szukać rozwiązania problemu, a rząd będzie nam to ułatwiać we wszelki dostępny sposób. Tymczasem w pewnej chwili zauważyliśmy, że nasze kontakty z wtajemniczonymi uczonymi Eeli, których nazwiska są na liście, stają się coraz trudniejsze. Trafialiśmy na coraz więcej tajemniczych przypadków. Nawiązywaliśmy według naszego porozumienia kontakt z uczonymi, a po tygodniu dostawał on ofertę nowej pracy, na daleko lepszych warunkach, gdzieś na drugiej półkuli. W ciągu kilku pierwszych miesięcy roku, zanim się nie zorientowaliśmy i nie zaczęliśmy się świadomie bronić, spośród dziewięciuset naszych kolegów astronautów prawie trzystu zdarzyły się dobrze zorganizowane przypadkowe wydarzenia o charakterze rodzinnym lub zawodowym, które nieodwracalnie odcięły ich od reszty i uniemożliwiły dalszą wspólną pracę. Naszej osadzie na północy zaczęło zagrażać wyludnienie. My, Revanie, nie mamy żadnych dowodów na to, że za tymi przypadkami stoisz ty i twoi ludzie. My po prostu wiemy.

— Nic o tym nie wiedziałam — odezwała się krótko Evola, na co Nordeng pokręcił głową:

— Tak też nam się wydawało.

Revan milczał.

— A więc — ciągnął Nordeng — zdecydowaliśmy się działać. Mamy gotową propozycję.

— Możecie ją teraz przedstawić? — spytała prezydent.

— Dlatego tu jesteśmy. Do przedstawienia planu potrzebna jest nam jeszcze obecność czterech spośród naszych kolegów. Dwóch z nich nie jest uczestnikami wyprawy. Są tu, czekają na zewnątrz z kilkoma kryształami.

Wszystko to miało miejsce wczesnym przedpołudniem. O drugiej w nocy narada jeszcze trwała. Naprzeciw siebie siedziały dwie grupy śmiertelnie zmęczonych ludzi. Argumentowali zaciekle, wzywali ciągle nowych ekspertów, wyciągając ich z łóżek, czasem z odległości kilku godzin lotu.

Plan opracowywało przez rok ponad dwa tysiące uczonych i inżynierów. Był niezwykle w swojej śmiałości, był zakrojony szeroko na miarę ogromu niebezpieczeństwa, jakie zagrażało całej ludzkości. Jego urzeczywistnienie wymagało niewiarygodnie wielkich zasobów energii i

bezgranicznego zdecydowania. By w ogóle powstał, jego twórcy musieli dokładnie zdawać sobie sprawę z całości niebezpieczeństwa.

Nie można było doprowadzić do zgody. Dość szybko wykrystalizowały się linie podziału. Przedstawiciele administracji oraz profesorowie uniwersytetów — a więc uczeni o najwyższym autorytecie — nie skłaniali się do przyjęcia planu.

Grupie oponującej przewodził Revan, rzucając na szalę całą swoją powagę. Wiele razy w ciągu dnia słyszeli jego główny argument:

— Na podstawie takiego opętanego pomysłu chcecie wyzwolić na cały świat moce piekielne?

Prezydent, jak tego wymagała tradycja, nie przyłączyła się do żadnej ze stron, usiłując prowadzić dyskusję z rzeczowym opanowaniem.

O świcie musiano przerwać naradę bez żadnych rezultatów. Twórcy planu byli przygotowani na taką ewentualność. Ostatnie słowo należało do Yunnar.

— Wraz z uczonymi pracującymi na stacjach zewnętrznych twierdzimy, że nasz plan jest słuszny, a jeśli nawet jego realizacja wiąże się z ogromnymi trudnościami, to nikt nie potrafił zaproponować nic lepszego. Naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, aby go wykonać. Od tej chwili zastrzegamy sobie prawo do pełnej swobody działania Mam tu na myśli także to, że jeśli zajdzie potrzeba, ogłosimy publicznie zarówno niebezpieczeństwo, jak i planu.

7

Od lądowania statku upłynęło okrągłe pięć lat. Statek, a może ściślej: świat, który tyle znaczył w życiu dziewięciuset ludzi i w historii ludzkiej kultury, stał w tym samym miejscu, w którym kiedyś dotknął powierzchni Eeli: na zupełnie już nie używanym od tamtej chwili kosmodromie, niecałe dziesięć minut drogi od Gambaru. Okolica była opuszczona, nikt nie pilnował statku. Na środku gładkiej kamiennej płaszczyzny wznosił się jak ogromna, ciemna wieża o kształcie szpuli, widoczna z daleka. Światła pogasły na zawsze, termojądrowa siłownia drzemała na dnie wielkiego ciała rakiety jak uśpiony olbrzym. W takiej pozycji — startowej lub przygotowanej do lądowania — w ogóle nie można było dotrzeć do reaktorów, co odpowiadało stosowanym kiedyś przepisom bezpieczeństwa: dopóki wymagana była na przykład naprawa, której nie mogły wykonać zainstalowane we wnętrzu siłowni roboty, dopóty statek nie mógł startować. Niejeden spośród jego konstruktorów uczestniczył w wyprawie poprzez układy planetarne oraz stulecia i z niemałą dumą mógł stwierdzić, że w trakcie wyprawy nie zaszła potrzeba dokonania takiej zasadniczej naprawy. Urządzenia wytrzymały próbę, właściwie można je było nazwać wiecznymi.

Zamiast jednak wiecznego życia statek czekał na Eeli raczej wieczny bezruch. Nie dlatego, że był przestarzały. Zasady, na jakich się opierano przy jego budowie, pozostały aktualne aż do czasów ostatniego etapu projektowania pojazdów kosmicznych. Podstawowe problemy zostały rozwiązane jeszcze przez dawnych uczonych prymitywnych epok: przez ojca Igo oraz jego współpracowników. Jeden z jego najbliższych współpracowników i przyjaciół, Tenkorri-Den, który brał udział w wyprawie jako kierownik obsługi technicznej, przeanalizował w pierwszym roku po powrocie niezliczone konstrukcje, odwiedził po kolei wszystkie archiwa techniczne i muzea, zwiedził automatyczne stacje startowe, które jeszcze piętnaście lat wcześniej obsługiwały dostawy materiałów na Prokron oraz drugi, mniejszy księżyc, a także służyły do wystrzeliwania w przestrzeń kosmiczną obserwatorów meteorologicznych i astronomicznych. W wyniku tego przeglądu stwierdził, że statki zmieniły się tylko, jeśli chodzi o daleko doskonalszą automatykę.

Ich statek został więc skazany na bezruch nie z powodu technicznego zestarzenia się, ale dlatego, że podróże kosmiczne były już na Eeli wyłącznie pojęciem historycznym. Yadonnenowi udało się jednak zapobiec rozebraniu statku. Chciał w nim urządzić muzeum, pomnik najdalszej drogi i — według niego — największego czynu ludzkości. Yadonna wielu uważało za starego marzyciela, anachronizm we współczesnym świecie, wielu ludzi nie traktowało go poważnie. Tymczasem dziewięciuset astronautów należało do dziedziny namacalnej rzeczywistości, a bez Yadonna, bez jego wiary nikt by ich nie oczekiwał. Dlatego też rząd, jeśli nie było ku temu specjalnych powodów, nie sprzeciwiał się jego pomysłom. Swojego czasu otrzymał więc pozwolenie na założenie muzeum, połączone z mianowaniem na dyrektora, w dodatku z możliwością wykorzystania zasobów i potencjału naukowego swego instytutu przy urządzaniu tego muzeum. Zaczął też tę pracę, choć początkowo postępować powoli, gdyż właśnie zasoby i potencjał ludzki instytutu były potrzebne do rozpoczęcia procesów adaptacji astronautów. Osiągnięto tylko tyle, że wszystko na statku zabezpieczono przed szkodliwym wpływem czasu za pomocą odpowiednich opakowań i powłok ochronnych.

— Będzie to pamiątka nawet wtedy, jeśli nigdy już więcej nie do tkniemy statku — stwierdził stary uczoney. — Nie ma takiego człowieka który by nie pomyślał, patrząc na statek, dokąd dotarli odważniejsi, śmielsi od niego, dzieci szczęśliwych czasów.

Miesiąc po tej trwającej do białego rana naradzie nagle zwiększył, się tempo prac konserwatorskich przy zamienionym na muzeum statku Przez całe tygodnie nadchodziły jedna za drugą kolumny pojazdów transportowych. Pewnego dnia równie nagle się przeredziły i następnego ranka muzeum nie stało już na swoim miejscu. Wraz z nim zniknęło z Eeli tysiąc pięciuset ludzi, z których każdy znał grożące, wielkie niebezpieczeństwo i brał udział w opracowywaniu śmiałego planu.

Igo pracował wtedy w jednym z laboratoriów miasteczka uniwersyteckiego w Gambarze. Jego świetne wyniki studiów upoważniły go &t zajmowania się pracami nad nowym typem napędu statków kosmicznych. Było to zawsze jego ukrytym planem. Często odwiedzali go teraz w laboratorium różni ludzie, którzy na określone sposoby, po dłuższym kluczeniu chcieli z niego wydostać jakieś wiadomości na temat tego gdzie się podzieli i co robią jego koledzy. Igo odpowiadał na wszystko, że nie wie. Mówił prawdę. Uri, wiedząc zawczasu, jakiemu naciskowi zostanie poddany chłopak, założył, że najprościej będzie go nie wtajemniczać. Igo nie wiedział więc, gdzie są towarzysze. Podejrzał tylko z dość dużą dozą prawdopodobieństwa, ale przypuszczenie to jeszcze nie wiedza. Dlatego też pytającym odpowiadał tylko prawdę, na to był bardzo wyczulony.

Upłynął jeszcze miesiąc i na ekranie prezydenckiego wideofonu pojawiły się litery jednego jedynego słowa wiadomości, której źródła daremnie szukali potem całymi miesiącami ludzie Revana. Było to słowo

PRACUJEMY

a pod nim zamiast podpisu widniała liczba: 1500.

Minęły kolejne miesiące. Revan w rezultacie nie bardzo miał co robić Z samego faktu zniknięcia statku i on mógł wnioskować, gdzie podziąć się tysiąc pięciuset ludzi — tylu bowiem mógł na krótszy dystans za brać dziewięćsetosobowy statek kosmiczny. Historyk miał jednak związane ręce. Każda kontrakcja zwiększała bowiem liczbę ludzi znających tajemnicę. Revan był całkowicie przekonany o słuszności swego stanowiska, dlatego też całą energię swoją oraz podlegających mu instytucji i osób skoncentrował na przeszkadzaniu w jakiś sposób działalności tych, którzy zniknęli. W tym celu, wykorzystując jako pretekst niedawne wypadki i awarie, przedłożył rządowi projekt uchwały, której przyjęcie automatycznie pociągało za sobą

przyznanie szerokich uprawnień urzędowi prezydenckiemu. Rozciągały się one także na możliwość pozbawienia obywatela przemocą wolności, w dodatku na czas nieokreślony. Rządowi, po ostrej dyskusji, uprawnień takich udzielono.

Pewnej nocy w pobliżu Gambaru wylądowała dwuosobowa tarcza nieznanego pochodzenia, która nie zgłosiła kontroli swego lotu. Raport centrum kontroli obszaru, gdzie zaobserwowano lądowanie, znalazł się na biurku Revana w ciągu dwudziestu czterech godzin. Po godzinie na leżącym na południe od Gambaru polu Boor była już specjalna jednostka służby ruchu. Tarczę znaleziono zupełnie pustą. Nie było w niej ani jednej mapy, ani kawałka papieru czy jakiegokolwiek przedmiotu użytkowego, który mógłby zdradzić pochodzenie pojazdu. W całej tarczy nie było ani jednego odcisku palców, nawet na sterach czy drzwiach kabiny.

Po dwóch godzinach nadszedł meldunek o starcie innej tarczy z drugiego krańca miasta. Miejsce startu leżało przy korytarzu powietrznym o dużym natężeniu ruchu, tak iż meldunek o starcie drugiego nie zgłoszonego pojazdu dotarł do rąk dowódcy grupy specjalnej zajmującej się poprzednim przypadkiem dopiero następnego dnia. Wtedy było już za późno na śledzenie jej lotu. Nikt nie zgłosił się po porzucony pojazd bez odcisków palców, a jeśli chodzi o tarczę, która wystartowała, okazało się, iż jest ona własnością prywatną i nikt nie zgłosił jej zaginięcia.

Po dwóch miesiącach cała historia powtórzyła się, tym razem także w pobliżu Gambaru. Pozostający w stanie gotowości oddział policji schwytał na świetnie nadającym się do startu obszarze na południe od miasta człowieka, który próbował dość niezdarnie, nie zachowując ciszy radiowej, wystartować dwuosobową maszyną bez znaków rejestracyjnych. Okazało się, iż jest to jeden z uczonych z baz zewnętrznych, który pozostawał kiedyś w ścisłych kontaktach z astronautami, ale nie zniknął wraz z nimi. Uczony nie przyznał się do niczego. Na podstawie ustawy specjalnej aresztowano go.

Od chwili aresztowania dość często spoglądał na zegarek, ale nie odpowiadał ani słowem na liczne pytania niestrudzonych ludzi, Revana. Odezwał się dopiero dokładnie po upływie godziny. Zeznał, że jedynym celem jego próby startu było odwrócenie uwagi służb kontroli ruchu. Niczego więcej nie można było z niego wyciągnąć.

Po kilku minutach Revan otrzymał raport, w którym podawano, a w momencie startu uczonemu nieznanemu sprawcy skradli z lotniska w Gambarze przygotowaną do lotu kilkunastoosobową tarczę dyspozycyjną. Policja oczywiście nie pilnowała sprzętu na lotnisku tak czujnie wychodząc z założenia, że bardziej można się spodziewać nielegalnej próby startu z nizin wokół miasta. Raport opisywał, iż pojazd odnaleziono następnie w okolicy dawnego kosmodromu na północy, daleko od obszarów zamieszkałych. Przejrzawszy starannie zarejestrowane obrazy radarowe stwierdzono, że w ciągu dnia na kosmodromie wylądował, a po krótkim czasie wystartował i odleciał niewielki pojazd kosmiczny. Można było również stwierdzić, iż w trakcie nielegalnego startu i lądowania sprzed dwóch miesięcy także wylądował tam statek kosmiczny. Analiza toru jego lotu prowadziła do wniosku, że najprawdopodobniej po starcie skierował się na Prokrona.

Revan uważał, że oto ma dostateczne potwierdzenie swej hipotezy, według której tysiąc pięciuset zaginionych ludzi przebywa na Prokronie, utrzymując kontakt ze swymi zwolennikami na Eeli za pośrednictwem nielegalnych lotów.

Z tymi dowodami w ręce pospieszył do Evoli, by wymóc na niej konieczne jego zdaniem działania. Chciał raz na zawsze skończyć z niebezpieczeństwem, którym była w tak krytycznej sytuacji nieodpowiedzialność młodych uczonych.

Przed gabinetem zastąpił mu drogę Kevin.

— Mam specjalne polecenie — rzekł. — Przez dwadzieścia cztery godziny nie wolno mi do

prezydenta nikogo wpuścić.

— Ależ nie bądź dzieckiem — machnął lekceważąco ręką sekretarzowi administracyjnemu człowiek numer dwa planety. — Nie myślisz chyba, że dotyczy to także i mnie?

— Prezydent wymieniła i twoje nazwisko; ciebie też dotyczy ten zakaz.

8

Wczesnym rankiem następnego dnia program na wszystkich ekranach odbiorczych Eeli został zagłuszony przez zgłaszający się nagle nowy nadajnik. Nadajnik nie przekazywał obrazu, tylko młody kobiecy głos powtórzył trzykrotnie w godzinnych odstępach, że nazajutrz w południe nadany zostanie komunikat niezwykłej wagi. Spikerka zaapelowała, by wszyscy oglądali jutrzejszy program, a potem podała nazwę stacji:

Tak jak kiedyś, w czasach powrotu statku, cała ludność Eeli zebrała się przed odbiornikami i czekała. Jak to określono na podstawie wskazań centralnej dyspozycji mocy, tym razem widzów było nawet więcej niż wtedy. Wtedy, pamiętnego dnia przed pięciu laty, wszyscy dobrze wiedzieli, co będą oglądać.

Był to dzień wolny od pracy, dzień, który zgodnie z prastarym zwyczajem był dniem świątecznym dla całej planety i który, wszyscy, nawet pracujący, spędzali w domu, w kręgu rodzinnym. Tego właśnie dnia wszyscy mogli spokojnie obejrzeć program.

Dokładnie w południe na środku wszystkich ekranów pojawił się srebrzysty punkt, urósł w kulę, wypełniając całą przestrzeń odbiorczą, i w chwili kiedy granica kuli osiągnęła brzegi ekranu, pojawiła się w nim twarz.

Była to młoda, spokojna, piękna twarz kobieca, znana całej Eeli. Była to twarz prezydent Evoli.

— Obywatele! — zaczęła prezydent.

Zrobiła małą przerwę, jakby w jakiejś sali wykładowej wielkości całej planety czekała, aż ucichnie gwar zaskoczonych zebranych.

— Mówię do was w wyjątkowej sytuacji.

W Gamarze, w pustym gabinecie prezydenckim, przed ekranem dającym możliwość odbioru programów zewnętrznych siedział samotny człowiek. Był nim Revan. Kiedy na ekranie pojawiła się prezydent, krzyknął jak ugodzony. Potem wymamrotał: — Koniec. Wstał i ociężałym krokiem wyszedł z biura. Ruszył złowieszczą opustoszałymi ulicami. Szedł sztywno, zaczął się spieszyć, jakby dokądś zdążając, nie oglądał się na prawo ani ma lewo. Kiedy docierał do placów, na których większe grupy ludzi oglądały program na wielkich ekranach pod gołym niebem, omijał je, skręcając w wąskie boczne uliczki.

Prezydent mówiła dalej:

— Okazało się, że po tysiącu lat dobrobytu i pokoju znów musimy walczyć. Nie chodzi tu o hegemonię jakiegoś obszaru geograficznego czy etnicznego. Całej ludzkiej cywilizacji, ludzkiemu bytowi zagraża najwyższe, śmiertelne niebezpieczeństwo. My, którzy wiedzieliśmy o niebezpieczeństwie grożącym Eeli, przez całe lata staliśmy w obliczu trudnej decyzji; co jest naszym obowiązkiem: poinformować o niebezpieczeństwie wszystkich, czy też je zataić? Dziś nie mamy już innego wyjścia. Ale możemy powiadomić wszystkich o zagrożeniu, przedstawiając

jednocześnie opracowany szczegółowy plan obrony. Nie pozostaniemy bezczynni wobec czekającego nas losu. Zarządzanie Eelą przejęła od tej chwili rada uczonych pozostająca pod moim kierownictwem. Cywilne organy zarządzania nie nadają się bowiem do wykonywania zadań czekających nas w ciągu najbliższych trudnych lat. Pokój, którym cieszyliście się wy i wasi ojcowie, wraz z dniem dzisiejszym skończył się być może na całe pokolenia. Ja jednak wierzę, że ustalona hierarchia wartości pozostanie niezmienna i w takiej sytuacji.

Prezydent rozpoczęła teraz wyliczanie faktów, by nie pozostawić słuchaczom czasu na zwątpienie. Krótko, ogólnie, z pominięciem okrutnych szczegółów, poinformowała zebranych o istnieniu Obcych, o spotkaniu z nimi, o szansach mieszkańców Eeli. Ton jej głosu był poważny, ale spokojny. Dość szybko Evola przeszła do planu obronnego.

Był to rzeczywiście plan niewiarygodny. Twórcy nazwali go planem Wielkiej Wędrówki.

Miał on na celu ogromne przedsięwzięcie ewakuacji całej Eeli: „Zyskać tysiące lat” — to było jego hasło. Opóźnić spotkanie i przez ten czas przygotować się do walki.

Celem dawnej wyprawy międzygwiazdnej był układ podwójny nazwany MG 10003 w gwiazdozbiornie Yarnod, siedemdziesiąt lat świetlnych od Eeli. W trakcie całej wyprawy wokół dwóch słońc tego układu odkryto planetę, która we wszystkich istotniejszych względach przypominała Eelę. Zmienne krążenie wokół dwóch słońc nadawało dobom planety szczególny rytm, długość równika była prawie półtora raza większa od równika Eeli, ale dzięki trochę niższej gęstości materii planety siła ciężenia była większa tylko o jedną dziesiątą, a więc o wielkość, którą z łatwością pokona ludzka zdolność przystosowywania się—Oś obrotu planety jest nachylona do płaszczyzny ekliptyki o kąt zbliżony do kąta nachylenia osi Eeli, tak iż zmiany pór roku są niezwykle podobne. Zasadnicza różnica polega na wyższej zawartości tlenu w atmosferze, gdyż dużo młodsza planeta przeżywa teraz epokę karbonu. Stąd też jej świat roślinny jest bardzo bogaty, choć składają się na niego różne gatunki ogromnych paproci. Jedną trzecią powierzchni zajmuje stały ląd, w całości nadający się do zamieszkania. Kiedy astronauta znaleźli się tam po raz pierwszy, przypominał im raj utracony ze starych wierzeń. To niezwykle podobieństwo do Eeli było właśnie powodem, dla którego planetę oraz cały układ badano niezwykle starannie, zrobiono dokładne mapy, przywieziono dziesiątki tysięcy próbek geologicznych, a ze wszystkich materiałów, oddzielając je od innych, zestawiono odrębną bibliotekę mikrokryształów poświęconą planecie układu MG 10003.

Tę właśnie planetę zamierzono w myśl planu uczynić nową ojczyzną ludzkości.

Autorzy planu niezwykle starannie przeanalizowali trajektorie Memonów Obcych, klucz logiczny cybernetycznych rozkazów przesyłanych urządzeniom oraz związane z nimi zachowania maszyn. Z map gwiazdnych przechowywanych w jednostce pamięci wynikało, że urządzenia nigdy nie oddalają się za bardzo od podanej w programie trajektorii lotu rozpoznawczego, a obszar badany można dokładnie określić na podstawie map. Analiza superracjonalnego zachowania się Obcych wykluczała możliwość wszelkich niespodzianek. Cała ich działalność rozpoznawcza i zdobywcza w ciągu minionych tysiącleci zachodziła według niezwykle skomplikowanego, wielokrotnie złożonego, ale w rezultacie bezwzględnie logicznego planu. Kiedy znaleziono klucz do tego planu, mieszkańcy Eeli przekonali się, że otoczenie podwójnego układu MG 10003 nie zostanie przez Obcych odkryte przez najbliższe dwa i pół tysiąca lat. Tyle wynosiła ich rezerwa czasu. Mogło by być więcej, , ale wiedzieli, że nie mają innego wyboru. Wiedzieli też dobrze, że zanim upłynię te dwa i pół tysiąca lat, muszą być już całkowicie przygotowani.

Wszystko to Evola przedstawiła krótko i jasno. Ona była jedynym człowiekiem na Eeli, której w sprawie takiej wagi mógł uwierzyć każdy mieszkaniec planety. To Yunnar, która była źródłem kłopotów służb kontroli ruchu, dwukrotnie spotykając się w tajemnicy na Eeli z prezydent Evolą,

przekonała ją o tym, że jej urok osobisty także zmniejszy ciężar zaskoczenia.

Na ekranie postać Evoli została teraz zastąpiona przez nie kończącą się równinę pokrytą falującą, gęstą roślinnością. Zieleń roślin była niewiarygodnie ostra, błękit nieba niezwykle głęboki. Piękno ujmowało za serce. Dopiero po dłuższej chwili widzowie zorientowali się, że ostre światło zalewające równinę pochodzi z dwóch słońc.

— To będzie nasz nowy świat — zabrzmiał głos prezydenta. — W fakcie wielkiej wędrówki wykorzystamy jako bazę Prokrona — ciągała po chwili przerwy. — Właśnie stamtąd teraz do was mówię. Przebywam tu wraz z mianowanymi dotychczas członkami rady uczonych. Czeka nas ogromna praca, wiele trudnych zadań. Na Prokronie spotkaliśmy się z wrogiem po raz pierwszy i tu właśnie rozpocznie się praca którą uwieńczy jego klęska, choć może dopiero za tysiące lat. Od dziś bowiem możemy mierzyć czas na tysiąclecia.

Tej nocy na planecie spały chyba tylko niemowlęta. Była to noc gorączkowych, niepewnych rozmów. Ulice były oświetlone, a ludzie szukali nawzajem swojej bliskości. Fakty zaprzeczyły prognozom opartym na logicznych wyliczeniach: tylko w kilku miejscach wybuchła panika. Coś takiego zdarzyło się w Mag-Polu, a efektem było spalenie kilku wieżowców. W zasadzie jednak panował spokój. Po prostu nie było czasu na panikę i lęk w nawale nowych obowiązków. Każdy zajęty był urządzaniem własnej przyszłości. Kilkaset samobójstw można było z takich czy innych powodów uznać za przypadki o charakterze psychopatycznym. Pomiędzy nimi znalazło się nazwisko jednego tylko człowieka znanego w szerszych kręgach: Revana.

NOWE GRANICE

1

Młody człowiek w hełmie na głowie stał na skraju stromej skały. Pochylił się lekko — wyglądało to tak, jakby go ciągnął do przodu hełm — i spojrzął w dół, na rozciągający się aż do widnokregu poszarpany, niezwykle krajobraz.

Z jednolitej szarości jak wykrzykniki wybijały się rozrzucone jasne grupy ostrych skał, podobnych do tej, na której się znajdował. U stóp każdej takiej grupy rozrzucony był w dość nieregularnym szyku zespół maszyn. Najbliższa z grup oddalona była o kilometry, urządzenia wyglądały jak drobne punkciki, nie można było się zorientować w ich kształtach ani przeznaczeniu.

Ira-Den dokładnie znał każdą śrubkę każdej z tych maszyn. Był tu właśnie po to. Obszar ten, tak jak jedną trzecią powierzchni Prokrona, pokrywała niegdyś woda. Po osuszeniu cały obszar tych — i innych — jezior dostanie się pod kopułę osłony przeciwmeteorytowej i pokryty zostanie naturalną glebą. Teraz każdy metr kwadratowy powierzchni był rozryty, każdy pokryty inną nawierzchnią. W jednym miejscu była to gładka płyta betonowa, gdzie indziej widniał kilometrowy rząd filarów z tworzyw do podtrzymywania pokrywy, gdzie indziej jeszcze, w głębszym obniżeniu, połyskiwała resztką spuszczonej wody jeziora. Całą ogromną przestrzeń rozdzielało wyznaczone białym żwirem koryto przyszłej rzeki. Pod skałą, na której stał Ira, koryto rzeki zakręcało, a w miarę jak ginęło w oddali, środkiem jego płynęła coraz szerzej odprowadzana z całego obszaru spora jeszcze ilość wody. Na północy natomiast, w miejscu, gdzie dawna rzeka wpadała do jeziora, na horyzoncie widniał jasnoszary pas; tam dolinę rzeki pokrywała już gotowa gleba.

Młody człowiek przypomniał sobie pokrywającą całą ścianę schronu roboczego wielką mapę. Mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów od dawnego jeziora wznosi się wysoki na parę tysięcy metrów łańcuch górski. W każdej sekundzie wydobywa się stamtąd wiele ton materiały skalnego, z którego ruchome zakłady mielące i chemiczne wytwarzają potrzebne materiały i przygotowują je na następny dzień na wyznaczonych pasach dna osuszonego jeziora.

Ira uniósł do światła wiszący na szyi na złotym łańcuszku zegarek. Była szósta rano. Mimo że było już oczywiste, iż przez całe życie mieszkać będzie na księżycu planety, to jednak nie był w stanie określić pory dnia na podstawie położenia słońca lub Eeli. Według niektórych była to po prostu pewnego rodzaju ułomność, jaką jest na przykład brak słuchu muzycznego. Była szósta rano, za pół godziny nad szarym polem pojawią się latające tarcze i rozsypią dzienną dawkę chemikaliów. On i jego dwóch kolegów musi być wtedy w centrum sterowania, by móc nadzorować rozpoczęcie codziennej pracy maszyn wytwarzających glebę.

Pomyślał o centrum sterowania umieszczonym na szczycie jednej z grup skalnych oraz o długiej dyskusji, jaką prowadził z kierownictwem rekultywacji gruntu. Byli to ludzie przywykli do dawnych metod i dawnych zadań, niezdolni po prostu do zrozumienia potrzeb pracy w dzisiejszych warunkach, Ira potrzebował ludzi, rozpaczliwie próbował pozyskać nowych pracowników, ale wszystko na próżno. W stolicy Prokrona za całkowity anachronizm uważano fakt, iż na budowanym odcinku „cieplarnianej dżungli” na ledwie dwa tysiące maszyn przypada aż trzech ludzi. Oczywiście, potrzeba ludzi — zwłaszcza dobrze wykwalifikowanych — i gdzie indziej. Ale w takim razie, na miłość boską, niech tych ludzi się szkoli! Jest dużo chętnych. Takiej pracy jeszcze nikt nigdy nie wykonywał i nie można jej wykonywać według

sprawdzonych wzorów.

W każdym bądź razie posuwali się naprzód. Wiedział, iż jeśli nie z innych powodów, to chociażby dlatego nie dostanie więcej ludzi, że wyniki przeczą jego zapotrzebowaniu. Na ich odcinku już w czternaście miesięcy od rozpoczęcia prac całą powierzchnię dna jeziora pokrywała jednolita warstwa tłustej, urodzajnej gleby, gotowy był system wykrywania i rozbijania meteorytów w ich sektorze, a za dziesięć lat nikt nie będzie mógł odróżnić dżungli „cieplarnianej” od służących jej za wzór tropikalnych lasów południowej części Daru. Choć akurat odróżnić będzie łatwo, pomyślał, bo pięciokrotnie słabsza siła ciężenia powodowała powstawanie dziwnych form roślinnych jeszcze w laboratoriach.

Wiedział także, że nie wszędzie budowlani stoją tak dobrze, jak oni. Mamy szczęście, pomyślał, że tam, „na dole”, mieszkaliśmy w pobliżu równika. Przyszła mu na myśl wizyta na biegunie północnym Prokrona, gdzie był kilka miesięcy temu. Tam budowniczowie musieli wyhodować podbiegunowy pas tundry. Dawno już nie było dyskusji na temat, czy człowiek może zamieszkiwać w takich okolicach. Po prostu je zamieszkiwano. W tundrze rosły jednak rośliny, które po prostu nie przyrastają szybciej, niż metr na pięćdziesiąt lat. Tamci właściwie nie mogą naprawdę zakończyć swojej pracy. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na rozciągający się przed nim widok i odwrócił się, by ruszyć w kierunku schronu. Przed stożkowym, wielobarwnym budynkiem pojawiła się właśnie szczupła sylwetka Jagi. Mężczyzna, zauważywszy ją, wskazał ręką w głębinę. Tej dziewczynie, pomyślał Ira, jest do twarzy nawet w tej okropnej bańce na głowie.

Śledził wzrokiem jej ruchy. W stromym brzegu jeziora widniała nowa wyrwa; gotowa była kolejna część ogromnego podziemnego systemu tuneli i hal.

— Robię po pięćdziesiąt kilometrów dziennie — usłyszał w słuchawkach hełmu głos dziewczyny. — Wiesz — zmieniła gwałtownie temat — pomyślałam sobie, o ile przyjemniej byłoby, gdybyśmy mieli tu ze sobą jakieś zwierzęta domowe.

Ira chrząknął. Ciężko było się przyzwyczaić do tego, że przez cały rok nie widzi się poza człowiekiem żadnej innej żywej istoty. O dzieciach nie mogli myśleć podczas tych lat budowy, zresztą wiedzieli o tym i przyjęli to jako jeden z warunków pracy. Głośno powiedział tylko:

— Do wielu rzeczy musimy się jeszcze przyzwyczaić.

— Dwieście dziewiętnaście — rzuciła Jaga.

— Co takiego?

— W tym tygodniu po raz dwieście dziewiętnasty mówisz, że do wielu rzeczy będziemy się musieli jeszcze przyzwyczaić.

— Wiesz — odparował Ira — teraz powinienem pokazać ci język.

— Całe szczęście, że masz na głowie ten żelazny kapelusz.

Potem dziewczyna opowiedziała mu, że kiedy była ostatnio w „mieście”, widziała już na farmie całe stada oswojonych kozic. Był to dziwny widok: te zwierzęta, symbole wolności, swobody i śmiałej samotności, tłoczące się z cielęcym spokojem w ogromnych stadach przy żłobach.

Pięć minut później oboje ruszyli drogą biegnącą za budynkiem w stronę lądowiska rakiet. Mężczyzna miał jeszcze sprawdzić kilka automatycznych urządzeń sygnalizacyjnych, dających tarczom transportowym zezwolenie na rozrzucanie materiału. Poza tym oczekiwali dziś jeszcze dwóch bezzałogowych rakiet „z dołu”, jedna z nich wiozła do magazynu sztaby mosiądzu, druga — instalację chemiczną dla zbiorników enzymów nowej wytwórni gleby. Dotarli na miejsce jeszcze przed czasem i kiedy wskazówka zegara osiągnęła szóstkę, Ira pociągnął dźwignię. Zaczęła się codzienna praca.

Od czasu przemówienia prezydent Evoli upłynęło piętnaście lat. Przez ten czas na większej

części Prokrona zaszły historyczne zmiany.

2

Zadanie było jasne: na skalistym, pokrytym jeziorami Prokronie, księżycu o rzadkiej atmosferze, na powierzchni stanowiącej ułamek obszaru Eeli zapewnić odpowiednie warunki życia dla pół miliarda ludzi — dla całej ludności planety. Przy tym należało zachować i przenieść na Prokrona całą spuściznę kulturalną ludzkości, jej dziesiątek tysięcy lat rozwoju, uratować jak najwięcej ze świata zwierzęcego i roślinnego planety; tak, by zapewnić im wszystko do życia: glebę, wodę, powietrze, światło słoneczne na wiele lat.

Wszystko to stało się jasne i jednocześnie paląco pilne dla mieszkańców całej planety, kiedy po przemówieniu Evoli mogli się zapoznać z praktyczną stroną planu wielkiej wędrówki.

Rozwiązanie, jakie wybrano, było tak samo niewiarygodnie śmiałe, jak sama idea ewakuacji. Dość szybko uczeni odrzucili pierwotny plan przetransportowania całej ludności Eeli w dziewięciu turach na pokładach ogromnej floty statków kosmicznych. Już prace badawcze pierwszego roku przygotowań wykazały, że teoretycznie technologia Eeli umożliwia budowę statków wielkości miasta, mogących przyjąć i utrzymać na pokładzie nawet sto tysięcy ludzi. Kiedy jednak rozwiązano już ogromne problemy techniczne, powrócił najbardziej podstawowy i prozaiczny: brak dostatecznej ilości materiałów. Cała skorupa planety nie mogła dostarczyć wystarczającej ilości rzadkich metali.

Pojawił się więc logiczny wniosek: kadłub pojazdu, jego główną masę, należy użyć w postaci gotowej, materiał wziąć stamtąd, gdzie jest w dostatecznej ilości.

Stąd był już tylko krok do tego, by jeden z młodych specjalistów raketowych — jeszcze w czasach narad w ścisłym kręgu specjalistów — wskazał na Prokrona: proszę bardzo, tu jest materiał. A kiedy przeminęła pierwsza fala protestów, ironicznych uśmiezków oraz oburzenia, coraz więcej pracujących nad tym problemem uczonych zaczęło brać poważnie jego propozycję. Jeden ze znanych profesorów uniwersyteckich stwierdził pewnego dnia na posiedzeniu Rady Wtajemniczonych w Gambarze: nie jest to całkowicie niemożliwe. Młody projektodawca powoływał się na przykład chwytanych asteroid. W zaraniu kosmonautyki, kiedy Eela potrzebowała wielu stacji montażowych i paliwowych umieszczonych na różnych orbitach, stosowano z dużym sukcesem przesuwanie planetoid za pomocą odpowiednio ustawionych silników raketowych na pożądane orbity parkingowe wokół Eeli. Na planetoidach tych budowano potrzebne stacje zupełnie tak, jak na wysepkach na morzu buduje się latarnie morskie. W razie potrzeby planetoidy można było przesuwać na inne miejsce zupełnie tak samo, jak statki kosmiczne.

Podobny był zasadniczy zamysł zawarty w rozwiązaniu młodego uczonego: przekształcić Prokrona w jeden ogromny pojazd, za pomocą którego można by pokonać całą drogę. Co prawda masa największych z wykorzystywanych dotychczas planetoid nie osiągnęła nawet stutysięcznej części masy Prokrona, ale był to tylko problem ilościowy. Obliczenia wykazywały, że jedna z wersji napędu fotonowego, opracowywanego przez grupę uczonych działających nad całym planem ewakuacji — na razie istniejącego tylko w teorii — nadaje się do poruszania takiej samej masy. Wykorzystanie Prokrona miało wiele zalet, niech tylko pokona się podstawowe trudności. Zalety te były takiej wagi, iż kiedy je sobie uzmysłowiono, stało się jasne, że wybrać trzeba to właśnie rozwiązanie, ściślej zaś, że nie ma innego wyboru, mimo iż masa Prokrona wykluczała stosowanie prędkości zbliżonej do prędkości światła i zamiast możliwych dziesięciu, lot trwać

będzie trzydzieści lat.

Prokron był dostatecznie wielki, by utrzymać całą ludność Eeli, wliczając w to i oczekiwany trzydziestoprocentowy wzrost jej liczby. W Biuletynie Akademii Gambarskiej, który w tygodniach po wygłoszeniu przez prezydenta pamiętnego przemówienia stał się najpopularniejszym czasopismem planety, pisano na ten temat: „Wszyscy musimy zostać astronautami, niezależnie już od osobistych upodobań. Nie będziemy jednak śpiącymi pasażerami. W wypadku starców i dzieci nie można zastosować zawieszonoego trybu życia. Musimy zrozumieć: mowa tu o całej ludności, przez co nie przypomina to żadnej innej wyprawy. Jedynym możliwym rozwiązaniem jest przyjęcie założenia, że jeśli droga ma trwać trzydzieści lat, to rzeczywiście pokonamy ją w trzydzieści lat: wszyscy w tych samych warunkach, ponosząc te same ofiary. Oczywiście wyjątek uczynimy dla poszczególnych uczonych — tym razem nie tylko historyków. Ich po przybyciu na miejsce czeka zadanie zapewnienia ciągłości wiedzy historycznej całej ludzkości. Oni to będą nowymi nauczycielami nowego człowieka...”

Już podczas rozpatrywania pierwszego wariantu rozwiązania problemu — wersji podróży statkami kosmicznymi — okazało się, iż nie sposób jest zgromadzić zapasy żywności i surowców na tyle lat, nie mówiąc już na przykład o nieoczekiwanym przedłużeniu się podróży. Pojedynczy człowiek, nawet przy wysokim stopniu zagęszczenia pokarmu, spożywa w ciągu miesiąca ilość równą w przybliżeniu wadze swego ciała, spożycie wody jest wielokrotnością tej ilości. Należy więc założyć ciągłość dostawy żywności i zapewnić jej produkcję w czasie drogi, podobnie jak trzeba rozwiązać problem regeneracji wody i powietrza.

Na Prokronie należało dokonać ogromnych prac przekształcenia środowiska. Jeśliby się to udało, zyskano by jeszcze jeden cenny rezultat: wszystkie rośliny i zwierzęta hodowane na przykrytych dnach osuszonych jezior Prokrona zostałyby zachowane dla skolonizowania nowej planety, na której według materiałów wyprawy świat zwierzęcy i roślinny — o obcej człowiekowi naturze — odpowiada mniej więcej erze karbonu.

Na satelicie należało więc stworzyć świat odpowiedni dla człowieka. Dysponowano w tym celu tylko materiałami podstawowymi.

Prokron miał wodę, ubogą glebę oraz rzadkie — z trudem nadające się do oddychania — powietrze. Gleba pokrywała cienką warstwą dwudziestą część powierzchni księżyca. Świat roślinny składał się z kilku gatunków prymitywnych skrzypów. Gęstość powietrza wynosiła jedną piątą gęstości atmosfery Eeli. Właściwie pod dostatkiem było tylko słodkiej wody, ale już to wystarczyło do umieszczenia całej koncepcji w kręgu realnych przedsięwzięć naukowych. Po pierwsze, opracowano metodę wytwarzania z najczęstszych minerałów Prokrona, przy użyciu procesów chemicznych, naturalnych zasobów wody oraz przywożonych z Eeli hodowli bakteryjnych tłustego czarnoziemiu, a następnie wiązania go niezwykle szybko rosnącymi wiecznie zielonymi krzewami tworzącymi jednocześnie strefy produkcji tlenu. Plany przygotowywano przy założeniu, że pod koniec trzydziestoletnich przygotowań odpowiednim środowiskiem życia człowieka na Prokronie będą w dalszym ciągu tylko klimatyzowane, hermetyczne domy oraz naturalne rezerваты. Z powodu szczupłości wykorzystanego jak najstaranniej miejsca, tryb życia ludności nie będzie się wiele różnił od warunków, jakie panowałyby, gdyby podróż odbywano statkami kosmicznymi.

* * *

Historyczne przemówienie prezydent Evoli zostało wygłoszone pierwszego stycznia. Z tym noworocznym dniem na całym świecie zaczęto inaczej liczyć czas. Sama prezydent, chcąc dać osobisty przykład, postanowiła, że od tej chwili już nie opuści Prokrona. Miało to symbolizować

fakt, iż na księżycu rozstrzygnie się los ludzkości. Stały tam jeszcze nietknięte zabudowania porzuconej piętnaście lat temu stacji astronomicznej, ośrodka badawczego uniwersytetu gambarskiego oraz wybudowanego wokół nich wielotysięcznego miasta. „Przez sześćdziesiąt lat tu będzie stolica świata” — powiedziała w swoim przemówieniu Evola. Miasto, dla uczczenia pierwszej ofiary wielkiej walki, nazwano Ameda.

Urzeczywistnienie planu bardzo przyśpieszył fakt, że uczeni z dawnej wyprawy oraz ich koledzy z Eeli pracowali już nad szczegółami planu niemal od roku. Dzięki temu pierwsi budowniczowie mogli ruszać na Prokrona już miesiąc po przemówieniu. Była to druga załoga statku, po niej nastąpiło jeszcze tysiące innych.

Przed pierwszymi budowniczymi stało tylko jedno zadanie: przygotować podstawowe warunki działania dla tych, którzy mieli przylecieć po nich. Przez dwanaście miesięcy nowo przybyli tylko budowali: tymczasowe stacje robocze, a potem już ostateczne przestrzenie mieszkalne. Przez ten czas liczba mieszkańców Prokrona rosła każdego miesiąca w postępie geometrycznym. Dopiero w drugim roku pracy więcej ludzi zaczęło kierować do innych zadań. Wtedy na księżycu mieszkały już setki tysięcy kolonistów.

Przekształcanie Prokrona nabrało — po niezwykle starannych przygotowaniach — większego tempa w czwartym roku e.n. — ery nowej. Lawinowe zmiany zachodziły także i we wszystkich dziedzinach życia na Eeli. Do wykonania wielkich prac trzeba było poruszyć ‘wszystkie zasoby planety. Wielkie zadanie określało teraz każdą chwilę życia każdego jej mieszkańca.

Zaczął się od szkół. Na podstawie przeprowadzonej w 1 roku e.n. reformy na każdym szczeblu nauczania materiał podzielono na dwie dziedziny. Jedną z nich była wiedza o planecie układu MG 10003 i o wszystkim, co można było przyswoić z bogatego materiału wyprawy statku. Trzeba się było o tamtej planecie nauczyć wszystkiego zupełnie tak, jak zwykło się uczyć o swojej ziemi. Do tego dochodziły wiadomości o planie wielkiej wędrówki, Prokronie i pracach tam wykonywanych. Drugą dziedziną, uważaną przez wytyczne programowe Rady Naukowej za równie ważną, była Eela. Ciągłość cywilizacji można było zapewnić tylko dzięki temu, iż przyszłe pokolenia będą miały wyryte w pamięci historię i zmagania minionych tysiącleci. Uważano to za tak ważne, że od pierwszej chwili uwzględniono w planach, iż po dotarciu na nową planetę Prokron zostanie przekształcony w muzeum, przechowujące wszystkie istotniejsze elementy życia i kultury dawnej Eeli, przedstawiać będzie historię ucieczki i służyć jako memento przez tysiąclecia przygotowań do spotkania z Obcymi. Na cel ten przeznaczono znaczące w skali przemysłowej obszary powierzchni Prokrona, której każdy centymetr kwadratowy był tak ogromnie cenny. Na załadowanych ludźmi, sprzętem i surowcami statkach kosmicznych linii Eela–Prokron pięć procent przestrzeni ładunkowej było zarezerwowane na potrzeby specjalnej komisji rządowej, która dbała o to, by miejsce to nie pozostało nie wykorzystane.

Eela została podzielona na okręgi według obszarów etnicznych. Odpowiadający każdemu obszarowi okręg Prokrona zasiedlany był przez daną grupę etniczną, członkowie tej grupy mieli dbać o przechowanie skarbów kultury i natury obszaru.

Przyrost naturalny miał się kształtować ściśle według określonego planu. Jedną z nowszych dziedzin nauki na Eeli była dynamika demograficzna, jednym zaś z jej praw podstawowych była zasada, że społeczeństwo może się rozwijać prawidłowo, dopóki zwiększa się liczba jego członków. Natura nie cierpi stagnacji. Dlatego też w planowaniu wzięto pod uwagę, iż w momencie dotarcia na miejsce liczba ludności będzie o trzydzieści procent większa niż w chwili startu.

Fakt, że cała droga wraz z etapem przygotowań miała się rozciągnąć na sześćdziesiąt lat, był

korzystny z punktu widzenia psychologii. Ze względu na przedłużony czas życia wszystkie młode kobiety i młodzi mężczyźni, tworzący teraz główną armię budowniczych, których osobista wiara w sukces będzie jego najważniejszym czynnikiem, dotrą na nową planetę. Ci zaś, którzy przejmować będą później ich obowiązki, większość swego życia przeżyją już na nowej planecie.

To, co rozpoczynano w szkole, miało dalszy ciąg w życiu gospodarczym. Pod koniec pierwszego roku e.n. przywrócono do stanu używalności wszystkie pozostawione kiedyś własnemu losowi statki kosmiczne i transportowce. Wstrzymano wszelkie inne prace budowlane na Eeli. W roku drugim pracowały już na pełnych obrotach wszystkie historyczne dotąd kosmodromy, a w siedemdziesięciu miejscach wybudowano nowe. Od początku trzeciego roku każdego dnia tuziny statków startowały ze wszystkich regionów planety.

Rozpoczęto bezwzględną eksploatację surowców skorupy Eeli. Nie trzeba było — bo nie było to możliwe — myśleć o przyszłych pokoleniach. Mnożące się w ogromnym tempie automaty wydobywały rudy metali i przetworzone w płyty i sztaby ładowały na kosmiczne transportery.

Każdą technologią produkcyjną, która będzie potrzebna „tam”, należało przebadać i dostosować do warunków nowej ojczyzny.

Dla każdego procesu produkcyjnego obliczono, kiedy następuje faza, w której najekonomiczniej jest przenieść dany proces na Prokrona.

Dużą oszczędność energii przyniosło odkrycie na Prokronie w trzecim roku e.n. rozległych złóż rudy żelaza, zaledwie kilkaset metrów pod powierzchnią. W ciągu kilku dni przygotowano technologię wytopu stali z rudy o innym składzie chemicznym i niewiarygodnie szybko wybudowano podziemną hutę. Od tej chwili z Eeli trzeba było transportować tylko inne metale.

Na rozpoczęcie podróży wybrano dość bliską chwilę: pewną noc roku trzydziestego, kiedy układ ciał niebieskich miał być korzystny.

Możliwość, że przez ten czas nowy Memon wtargnie do ich sektora przestrzeni kosmicznej, wykluczono na podstawie rachunku prawdopodobieństwa oraz prognoz opartych na systemie rozpoznawczym Obcych.

3

W całej osadzie rozległy się przeraźliwe, rozdzierające bębni uszu dzwonki alarmowe. Ich dźwięk nadchodził falami, przycichając, to znów rozbrzmiewając pełną siłą. Uliczki między płaskimi budynkami w mgnieniu oka wypełniły się biegnącymi ludźmi w białych kombinezonach. Wszyscy nosili kuliste hełmy. Wokół osiedla we wszystkich kierunkach rozciągały się ogromne, klimatyzowane, polowe magazyny surowców.

Biegnące sylwetki poruszały się w określonych kierunkach, ściśle w myśl wyznaczonych zadań alarmowych. W sto dwudziestej sekundzie spod kopuły osiedla już wypadł po wydzielonym torowisku pierwszy odkryty wóz z dwudziestu jeden ludźmi, pędzący z prędkością trzech kilometrów na minutę. W sto trzydziestej sekundzie na stanowisko startowe podjeżdżał już drugi wóz, do którego w biegu skakali kolejni ludzie.

Pod koniec czwartej minuty w osiedlu zostało już tylko kilku patrolujących wartowników.

Pierwszy z wozów dotarł na miejsce pracy po pięciu minutach. Torowisko przebiegało prosto przez kilometrową ścianę ogromnego łańcucha górskiego w formie krateru, podziurawionego na wszystkie strony przez różne tunele techniczne. Wóz zwolnił z piskiem i przeskakując tunelem przez skalną ścianę zatrzymał się wewnątrz krateru. Ludzie powyskakiwali i pobiegli w stronę ograniczonej białą linią strefy zagrożenia.

— Odcinek siódmy — rozległ się metaliczny głos. — Stan gotowości pierwszego stopnia. Zając wyznaczone pozycje i czekać.

Ludzie w hełmach podbiegli do odcinka oznaczonego numerem siedem. Za ich plecami pojawił się nadjeżdżający drugi pojazd, znów odezwał się megafon.

Wewnątrz białego pasa ciągnęły się aż po widnokrąg ogromne skomplikowane konstrukcje, wypełniające całą kotlinę wewnątrz łańcucha. Biegąca na wysokich filarach niebiesko–czarna stalowa wstęga obejmowała wznoszące się w pozornym nieładzie metalowe stożki, walce i piramidy. Tam, gdzie między konstrukcjami pozostała wolna przestrzeń, widać było ścielące się, unoszące aż do wysokości człowieka obłoki niebieskoszarej pary.

Wszyscy stanęli na skraju nieprzekraczalnej białej strefy. Z mieszanymi uczuciami patrzyli na wykorzystującą energię świetlną i jądrową siłownię napędową rozmiarów całego miasta. Wiedzieli, iż od tego miasta–maszyny zależy teraz los całej ludzkości. Wiedzieli też, że podczas montażu popełniono gdzieś błąd. Wiedzieli, że błąd ten — jak i inne popełnione do tej pory — będzie kosztować czyjeś życie, może nawet niejednego z nich. Kiedy do siłowni podjechał czwarty pojazd, ze strefy zagrożenia, spoza białej linii pospieszyła w ich kierunku ludzka postać. Człowiek zbliżył się, wyłaniając się z oparów nisko ścielącej się szarej pary.

— Igo — powiedział ktoś cicho. Wszyscy znali kierownika budowy siłowni, choć nie wszyscy kojarzyli go z astronautą, który dwadzieścia lat temu pokonał już raz wielką drogę. — Igo znów był wewnątrz gardzieli.

Igo, mężczyzna około czterdziestki, przekroczył biały pas i stanął przed nimi.

— Chłopcy — rzekł. Wszyscy byli od niego młodszy. — Nie będę wam tu wygłaszał mów. Wszyscy wiemy, czym jest dla nas siłownia napędu fotonowego. Wiemy, że na jej działaniu nie zna się więcej niż pięćdziesięciu ludzi na całym świecie. Nie będę dokładnie wyjaśniał, jak to się stało. W każdym razie w wewnętrznej jednostce G pracujemy z materiałami rozszczepialnymi i używamy automatycznych manipulatorów. Niestety automat nie mógł usunąć uszkodzenia, gdyż awarii uległa także jednostka sterująca. Jak wiecie, nie mamy jeszcze zabudowanego w jednostce G manipulatora rezerwowego. Według naszej oceny uszkodzenie można usunąć w ciągu godziny. Ktoś jednak musi wejść za osłony ołowiane. Mam tu ze sobą dokładne plany z zaznaczeniem,

w które operacje trzeba wykonać ręcznie. Jeśli teraz z powodu tej awarii wstrzymamy stopniowy rozruch siłowni fotonowej i będziemy musieli zaczynać od początku, start może się opóźnić o całe lata. Ja nie mogę wejść tam i usuwać awarii, bo nie zezwoliła mi na to prezydent. Potrzebuję ochotnika.

— Poczekajcie — dodał, kiedy cały szereg jak jeden mąż postąpił krok naprzód. — Godzina pobytu za osłonami zagraża życiu.

Szereg nie drgnął.

— Niech się cofną ci, którzy mają dzieci — dodał Igo. Dwóch z szeregu dało krok w tył. Na tych stanowiskach pracy ludzie nie za często zawierali dłuższe umowy małżeńskie i na razie raczej nie myśleli o wychowywaniu dzieci. — Niech cofną się ci, którzy nie mają wykształcenia z dziedziny fizyki — wymieniał dalej warunki Igo. Teraz szereg wyraźnie się przerzedził. — Kto z was brał udział w montażu i rozruchu zespołu G, wystąp! — rzucił teraz konstruktor. Wystąpił młody, niski człowiek. Igo odwracając się już, powiedział przez ramię: — Chodź ze mną.

Zanim okryty kurzem, spocony Igo wrócił do swego małego pokoju w osiedlu, był już późny wieczór. Z daleka już widział, że przez okno sączy się światło. Ktoś z wizytą, pomyślał zniechęcony. (Na Eeli zamki w drzwiach można było zobaczyć tylko w muzeum, nie zamykano tu nigdy żadnych drzwi). Jeszcze tylko tego mu dziś brakowało. Kiedy wszedł do środka, zatrzymał się i dopiero wtedy rozpoznał odwróconą do niego tyłem osobę. Nie chciał wierzyć

własnym oczom. Kobieta obróciła się, potem wstała i podbiegła do niego. Objęli się bez słów, poklepywali z radości po plecach i dopiero po dobrej chwili Igo odezwał się:

— Yunnar! Mój Boże, Yunnar, a więc naprawdę przyjechałaś!

— Obiecałam — powiedziała Yunnar ze spokojnym uśmiechem.

— Tak, wiem, ale przecież...

Igo chwycił Yunnar za rękę i długo patrzył jej w twarz.

— Przyglądasz się moim włosom? — spytała Yunnar. — Siwieją już.

— Patrzę na twoją twarz. Jest taka sama miła i piękna jak zawsze — powiedział Igo. — A jak tam Uri?

— On się teraz czuje wspaniale. Od kiedy ma tyle pracy z organizacją komunikacji kosmicznej, że do domu przychodzi tylko spać, a i to nie zawsze, od tego czasu znów jest w formie. Potrzeba mu było co najmniej takiego zagrożenia, by wykorzystać swe zasoby energii.

— A jak chłopcy?

— Chłopcy właśnie wczoraj skończyli dwadzieścia jeden lat. Tam na dole też płynie czas. Niepokoi mnie tylko Odbul: wbił sobie do głowy, że po skończeniu uniwersytetu poprosi o przyjęcie do armii kosmicznej. Wydaje mi się, że mężczyźni nigdy nie dorastają, zawsze chcą się bawić...

Igo nawet się nie przebrał. Przyrządził dla swej przybranej matki herbatę z krzewów hodowanych już na Prokronie i usiadł przy niej szczęśliwy, że nie zwróciła uwagi na to, iż pije herbatę nie pochodzącą z Eeli.

Siedział naprzeciw niej spocony i brudny i słuchał, jak opowiada o innych, o tych „z dołu”. Yadonnen zmarł rok temu, na jego życzenie jego popioły rozsypało na wiatr na Prokronie. Mayari kierował zespołem badawczym, który sam zorganizował. Prowadził teraz z całą grupą na Eeli pomiary takiego samego typu, jakich kiedyś dokonano na planecie układu MG 10003. Większość byłych astronautów i uczonych z dawnych stacji zewnętrznych miała teraz pełne ręce roboty: planeta — budząca się według niektórych z letargu — właśnie tych ludzi potrzebowała teraz ogromnie. Tenna po prostu porzucił dawną pracę i zajął się prognostyką. Ta nowa gałąź nauki, zatrudniająca „historyków przyszłości”, była w istocie związana z dynamiką demograficzną i zajmowała się wypracowywaniem praktycznych rozwiązań socjologicznych, koniecznych w spodziewanych sytuacjach nowej planety.

Yunnar opowiedziała o wszystkich sprawach toczących się tam, „na dole”, ale w rezultacie nie potrafili się zgodzić, czy to Prokron jest zacofany w stosunku do całego świata, czy świat — do Prokrona. Najważniejszym problemem było teraz, w jaki sposób oszukać Obcych, kiedy w swej akcji rozpoznawczej — mniej więcej za sto lat — dotrą na Eelę. W zależności od przyjętego rozwiązania całą planetę trzeba będzie zostawić w odpowiednim stanie. Jeśli nie uda się wyprowadzić Obcych w pole tak, by nie szukali dalej mieszkańców Eeli, cały ogromny wysiłek pójdzie na marne. Ten problem zajmował teraz opinię publiczną tam „na dole”. Igo brał udział tylko w najwcześniejszym stadium tej dyskusji, popierał jedno z najwcześniejszych zaproponowanych rozwiązań, nazwane akcją „Mgła”.

Potem, już nocą, Igo oprowadził Yunnar po całym osiedlu. Udało mu się wymóc na niej przyrzeczenie, iż pozostanie chociaż przez tydzień. Jeszcze przed zaśnięciem opowiedział jej o wypadku, który miał miejsce tego dnia.

— Ten chłopak umrze — zakończył opowiadanie Igo. — Musiał zostać tam, poddany działaniu promieniowania, jeszcze przez piętnaście minut. Dobrze wiedział, czym mu to grozi, ale odmówił wyjścia. Powiedział przez radio, że teraz już tylko on potrafi to dokończyć, a nie ma sensu, byśmy tracili dwóch ludzi... Najstraszniejsze, że to ja musiałem go wyznaczyć...

Stuk spadającego kamyka wypełnił całą ulicą hałasem niewielkiego wybuchu. Mężczyzna schylił się, podniósł kamień i upuścił go jeszcze raz. Jeszcze raz hałas odbił się o ściany gromkim echem. Było wczesne popołudnie, jasny dzień, a mimo to nie otworzyło się na ten hałas żadne okno, z sąsiednich uliczek nie pokazali się zaintrygowani przechodnie, młodzi ludzie nie wychylali się ciekawie z okien przejeżdżających pojazdów. W mieście nie było bowiem ani pojazdów, ani przechodniów, ani mieszkańców. Człowiek, który rzucił kamieniem, był jedynym człowiekiem w półmilionowym Gambarze.

Nazywał się Torkel, był najmłodszym pilotem kosmicznym na Eeli i wiedział, że właśnie temu faktowi zawdzięcza wyznaczenie go do tej misji. Włożył kamyk do kieszeni, już wcześniej zdecydował, że go zachowa. Potem ruszył ulicą długimi, szybkimi krokami. Musi się pospieszyć, przed zapadnięciem zmroku czekało go jeszcze wiele godzin lotu.

Każdy jego krok odbijał się głośnym echem na kamiennym chodniku ciągnącym się wzdłuż unieruchomionych taśm transportowych. Wiele razy miał w ciągu ostatnich lat to samo uczucie. Od przyścia na świat przed dwudziestu laty otaczała go atmosfera przygotowań do wielkiej wędrówki, w niej wyrósł i jej zawdzięczał wybór zawodu pilota. Od kilku już lat unikał w rodzinnym mieście chodzenia po kamiennych chodnikach, w rodzinnym mieście, gdzie upłynęło całe jego dzieciństwo, gdzie z zamkniętymi oczami mógłby rozpoznać każdy kamień bruku. Nie był w tym osamotniony: wszyscy starali się unikać słuchania echa własnych kroków w pustoszejących z każdym miesiącem ulicach. Dopóki ze względów oszczędnościowych nie zatrzymano ruchomych chodników, używał tylko ich. Teraz spróbował iść po nieruchomej taśmie, ale z góry wiedział, że na nic się to nie zda. Miękkie tworzywo pochłaniało dźwięk kroków, ale ledwo słyszalne szuranie było jeszcze gorsze. Słyszał kiedyś dawne słowo: upiory. Nie znał historii języka, nie wiedział, co to oznacza, ale właśnie to słowo przyszło mu na myśl, chwytając chłodem za serce.

Był przygotowany na to popołudnie, a jednak za każdym razem, gdy docierał do kolejnego rogu ulicy i wзираła stamtąd kolejna ogołocona ulica lub plac, czuł się w tych tak dobrze mu znanych okolicach, jakby szedł między martwymi ciałami bliskich mu osób. Co tylko można było poruszyć z miejsca, co się tylko opłacało wykorzystać, zabrano już z ulic. A jednak kiedy patrzył na nie kończący się rząd pozostawionych przy głównej arterii pojazdów, potrafił myśleć tylko o tym, jak wiele dobra musi tu ulec zagładzie.

Wszedł do pustej restauracji i na próbę zamówił danie ze zdalnej kuchni. Zagłębienie podajnika otworzyło się jednak próżne.

Przechodząc obok basenu dotarł do grupy wypalonych budynków. Odwrócił głowę. Jak daleko sięgnął pamięcią, odkrywanie tajemnic rumowisk było najwspanialszą przygodą jego lat chłopięcych, ale teraz w niemym mieście obraz zbiorowiska ruin działał przygnębiająco. Była to pamiątka krótkiego szaleństwa, które nastąpiło gdzieś po wielkim przemówieniu prezydent Evoli, dziesięć lat przed jego narodzinami. Nie odbudowano już tych ruin nigdzie — od tamtego dnia inne cele skupiły całą energię ludzkości. A teraz... Nie chciał myśleć o przyszłości miasta.

Przez wielkie skrzyżowanie śródmieścia przeszedł górą, po wiadukcie dla pojazdów. Jeszcze w latach dziecięcych robił to czasami w rzadziejącym z roku na rok ruchu pojazdów. Teraz jednak brakowało emocji związanej z niebezpieczeństwem, ryzyka, że jednak z którejś strony pojawi się szybkie jak błyskawica, bezszelestne cygaro.

Pospieszył przed Pałac Prezydencki. Właściwie mógłby wsiąść do któregoś z toczydeł o zasilaniu akumulatorowym, na pewno w niejednym pozostała jeszcze energia, kiedy właściciele odstawiali je na ich ostateczne miejsca parkingowe. Nie potrafiłby tego wytłumaczyć, ale nie chciał niszczyć ciszy miasta ruchem pojazdu.

Na dotarcie do centrum miasta potrzebował godziny. Bez wahania skierował się z wiaduktu w stronę południowego skrzydła Pałacu Prezydenckiego. Kiedy tam doszedł, długo stał bez ruchu wpatrzony w pokrywający południową ścianę fresk. Torkel, pilot statków kosmicznych, należał do tych ludzi — a było ich niemało — dla których zniszczenie oryginalnego dzieła Tekory stanowiło największą stratę w nadchodzącej przyszłości.

Popatrzywszy jeszcze raz na fresk, ruszył w lewo, wiedząc na pewno, że w tym kierunku znajdzie najbliższą przecnicę. Spieszył się teraz, jakby uciekając do swego latającego spodka, którym w południe wylądował na trawie pustego parku.

Była to ostatnia okazja pożegnania Pałacu Prezydenckiego i miasta Gambar.

* * *

Maszyna prowadzona przez Torkela skierowała się w stronę sztucznej wyspy leżącej w punkcie dzielącym na połowę najmniejszą odległość między kontynentem wschodnim a zachodnim. Wyspę Środka wybudowano na początku ery pokoju, tysiąc lat temu, jako pomnik dla wszystkich, którzy zginęli na wojnach.

Na tę noc przekształcono wyspę w jedno wielkie lotnisko. W nie kończących się szeregach srebrzyły się na nim jednakowe kadłuby maszyn. Wokół nich mrowiły się mniejsze urządzenia obsługowe i jeszcze mniejsi ludzie, dokonujący ostatnich przygotowań. W tej chwili był to już ostatni punkt na całej planecie, w którym widać było działalność człowieka.

Pierwsza maszyna wystartowała z Wyspy Środka o północy. Za nią w nieregularnych odstępach czasowych podążały kolejne tysiące. Rozpoczęła się akcja „Mgła”. Lotnisko tętniło życiem aż do godzin tuż przed świtem. O czwartej dwadzieścia siedem, kiedy nad metropolią Mag-Pol wstało słońce, nad każdym miastem, niemal nad każdym osiedlem oraz nad każdą daleką stacją badawczą zawisła nieruchomo biała tarcza. O czwartej dwadzieścia osiem wszystkie tarcze zwolniły bomby kobaltowe. Niektóre bomby padły obok miast — zresztą dokładnie według planu. W niektórych miejscach wywołały one tylko pożary dżungli, w innych wypaliły niewinne ziemie uprawne na czarną, nagą skałę. Nie zostało nietknięte żadne miasto, żadna biblioteka, uniwersytet czy stacja badawcza, a przede wszystkim nie pozostał żaden ślad z ostatnich trzydziestu lat, nic, co wskazywałoby na wielką wędrówkę. Zaplanowano starannie każdy szczegół. W rezultacie wszystko, ale to zupełnie wszystko wskazywało na to, że rodzaj ludzki zniszczył się sam i to w niejednej opętańczej wojnie nuklearnej. O czwartej dwadzieścia dziewięć poza Wyspą Środka nie pozostał żaden znak, który wskazywałby na ucieczkę.

Wielka wędrówka postawiła ludzkość w obliczu szeregu problemów niemal niemożliwych do rozwiązania. Jednym z nich było pytanie, w jaki sposób przygotować się na dzień, kiedy Obcy znajdą opuszczoną Eelę. Jeśli ze śladów będą mogli domyślić się faktu opuszczenia jej przez mieszkańców, może się to skończyć tragedią. Kiedy dowiedzą się o istnieniu cywilizacji o takim poziomie rozwoju, na pewno nie spoczną, zanim jej nie odnajdą i nie podejmą walki. A walka taka przy obecnych proporcjach sił może się skończyć tylko w jeden sposób.

Jeden z wielkich znawców dawnych dziejów zaproponował: należy wytworzyć fikcją tragicznej wojny nuklearnej, zakończonej zagładą całej cywilizacji.

Wiele osób uważało ten pomysł za nierealny, bądź też dziecięco naiwny. Każda istota myśląca

zdaje sobie przecież sprawę z tego, że podstawową zasadą każdego społeczeństwa, które wyrosło już z czasów barbarzyńskich, jest wykluczenie wszelkich wojen.

Odpowiedzią na takie Wnioskowanie były dwa argumenty: psychika Obcych jest zupełnie odmienna — mimo wysokiego poziomu rozwoju techniki pozostali oni jeszcze ciągle wojowniczymi półzwierzętami. Jest więc oczywiste, że tak samo wyobrażają sobie oni wszystkie inne istoty rozumne. Po drugie: ślady działania człowieka obecne są na całej planecie. Nie można całkowicie usunąć wszystkich budowli czy przekształcenia przyrody, jakby to nigdy nie istniało. Dlatego trzeba wyreżyserować „wojnę” tak, by ruiny, ślady i pozostałe nietknięte fragmenty wskazywały na nieuniknioną, rozegraną w ciągu kilku godzin wojnę atomową. Dlatego to całą akcję obdarzono kryptonimem „Mgła”.

Po bombardowaniu wszystkie maszyny jednocześnie ruszyły w kierunku Wyspy Środka. Ich piloci, przelatując ponad znaczącymi miejscami byłych miast chmurami-grzybami lecieli dziwnie wysoko i obserwowali nie powierzchnię planety, lecz niebo, na którym — niewidoczny od chwili wschodu słońca — krążył gotowy do startu księżyc.

Do późnego popołudnia trwało, zanim wszystkie maszyny powróciły na wyspę i znów stanęły w nienagannym porządku. Wszyscy piloci wysiedli, każdy ze swoją „teczką” zawierającą jądro maszyny — jej atomowy zespół napędowy oraz dokumenty i kilka najbardziej złożonych przyrządów.

Na północnym cyplu wyspy czekał na nich Torkel, najmłodszy z pilotów. Wsiedli i o szóstej po południu Torkel dał sygnał do startu. Przed eskadrami stojących na Wyspie Środka maszyn, z dala od innych czekała pojedyncza tarcza. W trzeciej minucie lotu statku Torkel włączył specjalny nadajnik. Na wysyłane przez niego sygnały sterujące pojedyncza tarcza bez pilota wystartowała. Pół minuty później uderzyła ostatnia bomba jądrowa na Eeli, ścierając z powierzchni Wyspę Środka. Akcja „Mgła” została zakończona.

Piloci tarcz—bombowców obserwowali na ekranie statku, jak zdalnie sterowana maszyna skierowała się w ślad za zrzuconą z niej bombą i samobójczym lotem nurkowym runęła w kierunku podstawy rosnącej do nieba ogromnej kolumny wody, w stronę piekła, które otwarło się na miejscu Wyspy Środka, pamiętki po erze Wiecznego Pokoju.

5

Korytarz był przykryty dachem, bardzo długi, szerokości mniej więcej gambarskiej bocznej ulicy. Był w nim zawsze przyjemny przewiew, z sufitu, z niewidocznego źródła płynęło równomierne światło, barwą do złudzenia przypominające światło słoneczne. Gdzieś daleko korytarz zakręcał niemal niedostrzegalnie, a kolor ścian bocznych przechodził z zielonego w bładożółty. Ci, którzy tu mieszkali, wiedzieli, że za zakrętem korytarz rozgałęzia się na dwie odnogi, odchodzące w różnych kierunkach.

Spieszący korytarzem Torkel pomyślał o wiadomości. Wszyscy na Prokronie myśleli o tym od chwili, kiedy pędzący jak rakieta księżyc—pojazd dogoniły tamte fale radiowe. Wszyscy, którzy o tym wiedzieli. Na szczęście, pomyślał Torkel, takich nie było wielu.

Za rozgałęzieniem Torkel dotarł po kilku minutach marszu bocznym korytarzem do ogromnego kwadratowego parku. Kiedy tak szedł lekkim krokiem po korytarzu, pomyślał o tym, iż prawdziwym zadaniem będzie poruszanie się znów po planecie o normalnej sile ciężenia. W parku kilkuset ludzi zebrało się przed ogromnym ekranem spełniającym funkcje codziennej prasy, czekając na południowe wiadomości. Śmieszne są te nazwy: południe, ranek, noc,

pomyślał pilot. Na statkach jest prościej: istnieje standardowy czas pokładowy, według którego dzieje się wszystko: czy to będzie godzina dwudziesta pierwsza, czy zero czterdzieści. Jeśli człowiek podróżuje w pudełku, to nie powinien się zachowywać tak, jakby pokrywka pudełka była zdolna do wykazywania zaćmienia słońca. W głębi serca jednak przyznawał rację rządowi, iż używa tych nazw pór dnia i że w każdym dwudziestoczworgodzinnym cyklu na siedem godzin zapada na korytarzach zmrok, jakby nadchodziła noc. Przecież mieszkają tu nie tylko piloci, ale i nauczyciele, urzędnicy, po prostu zwykli ludzie. A oprócz tego są tu dzieci, które wyrosną w takich warunkach. Po to, by wyrosły na prawdziwych ludzi, na pewno potrzebują wiedzieć każdą cząstką ciała, jaki jest prawdziwy świat. Nie mogą być przekonane, iż fakt, że ludzie żyją wśród sztucznych ścian i oddychają sztucznym powietrzem, jest rzeczą naturalną.

W ogół« z dziećmi, jak to można było stwierdzić na podstawie doświadczeń pierwszego roku, będą dużo większe problemy niż się tego spodziewano. Właśnie z uwagi na dzieci chciał teraz koniecznie obejrzyć wiadomości.

Ktoś go pozdrowił, ale nie podszedł, by nawiązać rozmowę. Torkel przystanął pod drzewem o grubych liściach — starał się zawsze mieć dostatecznie wiele ruchu. Na korytarzach Prokrona specjalnie nie zainstalowano żadnych środków transportu, robiono także wszystko, by tryb życia był jak najbardziej zbliżony do naturalnego.

W przestrzeni ekranu pojawiły się pierwsze koncentryczne kręgi potem zaś twarz spikera. Szmer na placu ucichł.

Wiadomości były nareszcie — po dwóch miesiącach — uspokajające.

Wyglądało na to, że w ostatnich dniach udało się zapoczątkować prawidłowy rozwój niemowląt urodzonych w trakcie lotu. Dokonano tego za pomocą kompleksowych naświetleń nadfioletem. W ten sposób zyskała dowód teoria, iż wolny rozwój ich organizmów wywołany był nie przez trochę jednostajny sposób odżywiania się matek, ale przez brak światła słonecznego. Było to korzystniejsze, bo można było temu przeciwdziałać. Sprawdziły się także ćwiczenia gimnastyczne dla niemowląt: umięśnienie, jakie się wypracuje i wyćwicz, będzie odpowiednie do warunków normalnej grawitacji Nowej Eeli. Rząd przy tej okazji jeszcze raz zwrócił wszystkim uwagę na ważność ćwiczeń kondycyjnych.

Pozostałe wiadomości nie były takie ciekawe. Na drugiej półkuli — jeszcze ciągle używano na określenie poszczególnych regionów Prokrona wyrażen wywodzących się z dawnej pozycji księżyca względem planety — meteor trafił w plac publiczny, powodując śmiertelny wypadek. Ofiarą był młody uczeń. Uszkodzoną powłokę naprawiono, a sieć ochrony przeciwmetyorytowej w tamtym rejonie poddano szczegółowej kontroli.

W centralnym laboratorium hodowli zwierząt drogą krzyżowania wyhodowano nową odmianę kozic, dających trzydzieści procent masy mięsnej więcej i charakteryzujących się niezwykle szybkim przyrostem wagi. Widzowie dziennika będą mogli spotkać mięso nowej odmiany na swych stołach już za dwa lata.

W stolicy zespół Gambarskiego Teatru Wielkiego wystawił nowy musical pod tytułem „Kiedy już tam będziemy”. Libretto opowiada o tym, jak to sześciorekie potwory o błękitnej sierści zwabiają w pułapkę kolonistów Nowej Eeli, ale dzięki interwencji pięknej siostry prezydenta Nowej Eeli wszystko kończy się dobrze. Już można stwierdzić, że sztuka nie cieszy się zbytym powodzeniem.

Była jeszcze jedna ciekawa wiadomość: prezydent Evola ogłosiła, że wraz z końcem roku ustąpi z urzędu. Teraz, kiedy start przebiegł w całkowitym porządku, uważa swoją misję za zakończoną.

Komentator upatrywał następcy wśród jej najbliższych współpracowników. Torkel miał na ten temat określone zdanie, a zrozumiałe dla wszystkich aluzje komentatora tylko umocniły go w

tym przekonaniu. Jeśli prezydent go zaproponuje, a Rada zaaprobuje wśród trzech kandydatów, można być pewnym, że pierwszym prezydentem Nowej Eeli będzie Igo–Vandar, budowniczy siłowni.

Na temat innej wiadomości spiker dziennika nie powiedział ani słowa.

Wiadomość nadeszła z wysłanego w chwili startu Prokrona statku patrolowego.

Wysłanie patrolu poprzedziły zażarte dyskusje w i tak już dostatecznie gorących i ciężkich tygodniach przed startem. Rada uczonych zarządzająca planetą uważała, że ludzkość nie może nie próbować dowiedzieć się czegoś o przeciwniku, który zmusza ją do największego przedsięwzięcia w jej historii. Bardzo silne argumenty przemawiały jednakże przeciwko prowadzeniu jakiegokolwiek rozpoznania: wykrycie obecności Eelar–Om, mieszkańców Eeli, oznaczałoby nieodwołalny koniec całej ludzkości. A jednak niepodjęcie największego nawet ryzyka pod wpływem pragnienia wiedzy byłoby sprzeczne z ludzką naturą.

Specjalna komisja powołana przez radę po kilku tygodniach pracy wyznaczyła dokładną marszrutę samotnego patrolu. Należało opracować taką metodę, by nawet wykrycie statku rozpoznawczego i jego zdobycie przez Obcych nie zagroziło całej ludzkości. Głównym zadaniem było dowiedzenie się w jakiś sposób, kim są Obcy, jak wyglądają, jakie mają rozmiary, jaki jest ich tryb życia w ich własnym środowisku, gdzie widać nie tylko maszyny i automaty, specjalnie projektowane w taki sposób, by nie zdradziły niczego na temat ich twórców.

Największe nadzieje wiązano z wejściem patrolu, na podstawie map gwiazdnych Obcych, w nadzorowany przez nich sektor kosmosu, wyszukaniu w jego zewnętrznych połaciach opuszczonej planety, na której można by natrafić na ślady Obcych, ale nie spotkać się z nimi samymi. Mapa dawała podstawy do takiej nadziei, a nowy typ napędu fotonowego umożliwiał szybkie pokonanie dystansu dzielącego Prokrona od obszarów rozpoznanych przez Memony.

I właśnie teraz, dwa lata po wysłaniu patrolu, nadeszła wiadomość od jego załogi: nie znaleźli żadnego śladu w zewnętrznej strefie obszaru kontrolowanego przez Memony. Dlatego patrol kieruje się do obszarów głębszych. Od tej chwili przerywają łączność radiową, gdyż oczywiste było założenie, iż dla Obcych nie stanowiłoby żadnego problemu technicznego wykrycie Prokrona na podstawie obserwacji wysłanych w jego kierunku fal radiowych. Zdają sobie dobrze sprawę, że w ten sposób wkraczają w strefę daleko bardziej niebezpieczną i że może to być ich ostatnia wiadomość.

Rzeczywiście, była to ich ostatnia wiadomość.

6

Dziesięciopiętrowej wysokości zwierzę wychyło z niezachwianą pewnością siebie na świeżą przecinkę wzdłuż brzegu rzeki zza rozrzuconych daleko od siebie roślin o fantastycznych dla eelarskich oczu kształtach. Zwierzę nie znało ostrożności — mimo że było potulnym roślinożercą to jednak na całej planecie nie istniała żadna istota żywa, która mogłaby mu zaszkodzić choćby w najmniejszym stopniu. W otwartym terenie zwierzę zdolne było rozwijać prędkość do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i jeśli zdarzała mu się jakakolwiek sprzeczność interesów z innymi zwierzętami, to po prostu cwałowało prosto na nie całą masą swego trzydziestotonowego cielska i nie oglądając się za siebie biegło dalej. Był to jedyny jego sposób walki, nie był mu zresztą potrzebny żaden inny. A teraz na znajomym brzegu rzeki coś mu się zupełnie nie zgadzało. Już sama przecinka była zjawiskiem przerażającym — z wiecznej

dżungli nie została tu ani jedna liana, ani jeden pień drzewa, wolne parowanie gołej ziemi było jedynym śladem po dżungli. W tym miejscu na brzeg rzeki docierała ścieżka, którą od dziesiątków tysięcy lat chodziły do wodopoju przodkowie ogromnych ssaków. Zwierzę dobrze znało to miejsce. Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Na takie doświadczenie każde inne zwierzę planety zareagowałoby natychmiastowym odwrotem, szukając innego miejsca z biegiem rzeki. Ono jednak nie znało strachu ani ostrożności, żyło i rozmnażało się w błogiej nieświadomości wszelkich zagrożeń na tej ziemi, której było niepodzielnym panem, wędrując po niej wielkimi stadami wraz ze swymi braćmi. Chwila, w której zwierzę natrafiło na karczowisko, była końcem jego tak długiego panowania. Nieświadome tego ruszyło pewnie przecinką i za chwilę jego małej mózgu w niewielkiej czaszce osadzonej na końcu długiej, cienkiej szyi ogarnął ślepy gniew.

Po drugiej stronie karczowiska coś stało. To coś było od niego większe, a teraz poruszyło się. Ogromny ssak nigdy jeszcze nie spotkał istoty żywej, która byłaby od niego wyższa.

Zwierzę przystało więc na środku polany i ryknęło. Falujący, głęboki jak syrena dźwięk przetoczył się nad dziewiczą puszcza. Był to dźwięk, na który wszystko co żywe uciekało na łeb, na szyję, ustępując miejsca przy wodopoju, bo oto zbliżało się Ono. Tymczasem nowy potwór nawet nie drgnął. Z jego wielkiej kanciastej głowy sięgnęło aż do ziemi troje cienkich ramion. Znajdujące się na ich końcu pazury schwytały w trzech miejscach okorowany, gładki pień drzewa i ramiona uniosły wielotonowy ciężar z dziecinną łatwością przenosząc go ponad rzeką i miękko opuszczając na wodę w przybrzeżnej zatoce, której wczoraj wcale tam nie było. Ten widok do reszty rozwścieczył wielkiego ssaka. Całym impetem rzucił się na obcego potwora.

Ziemia zadudniła. Zwierzę pędziło naprzód z histerycznym rykiem, by przewrócić i rozgnieść bezkształtną masę przeciwnika, tak jak czyniło to dotąd z innymi. Ramiona dźwigu obracały się właśnie z powrotem w kierunku suchego łądu, kiedy uderzyła w nie trzydziestotonowa masa mięsa i kości. Nad rzeką rozległ się huk ogromnego uderzenia, wszystkie zaś mniejsze zwierzęta w promieniu dziesięciu kilometrów przypadły drżąc do ziemi. Potem zabrzmiał ryk bólu olbrzymiego ssaka. Na szyi, tam, gdzie uderzył o podniesione ramię dźwigu, widniała wielka, otwarta rana. Maszyna nawet się nie zatrzymała, sięgając po następny pień. Wielkie zwierzę z żalosnym rykiem pocwałowało z powrotem w panicznej, ślepej ucieczce, trzęsąc małym łbem i wyłamując nową przecinkę w dżungli.

Wielki ssak nie miał nawet czasu, by zauważyć kołyszącą się na wodzie zatoki śnieżnobiałą tarczę. Małe stworzonka, siedzące wewnątrz, przy otwartym podłużnym iluminatorze tarczy, choć współczuły cierpiącemu zwierzęciu, nie mogły powstrzymać uśmiechu na widok jego beznadziejnej porażki.

TRRG

1

W tym miejscu niestety stało się nieuniknione, bym brutalnie przerwał ciągłość opowieści i wyjaśnił, w jaki sposób my, ludzie z Ziemi (z trzeciej planety Układu Słonecznego), zostaliśmy zamieszani w całą tę historię.

Statek o znakach UNO-2000, którego byłem nawigatorem, już nie istnieje. Ani ja, ani moi koledzy astronauta nie znamy fizycznego wytłumaczenia tego procesu, w każdym bądź razie kiedy pociągnąłem za dźwignię w drzwiach statku z Eeli, zawieszony w przestrzeni UNO-2000 nagle przestał istnieć, bez jakiegokolwiek towarzyszącego temu zjawiska dźwiękowego lub świetlnego. Od mojego eelarskiego przyjaciela, Uula-Dena dowiedziałem się później, że na miejscu statku pozostał atomowy odpad, nie do zidentyfikowania lub przeanalizowania, jakby cały pojazd wrzucono do ogromnego dezintegratora. Uula niemal mimochodem napomknął, że to niewidzialne pole siłowe jest ich jedyną bronią i że pewna jego wersja zadecyduje kiedyś o losie ludzkości — zarówno Eelar-Om, jak i Homo sapiens — kiedy nadejdzie czas spotkania z Obcymi.

— Dwa tygodnie już przebywaliśmy w układzie o eelarskim numerze katalogowym MG 10003, na Igo-Vandarze, księżycu Nowej Eeli, pod rozległym, zielonożółtym, kwarcowym dachem. Minęły już dwa miesiące od chwili, kiedy Eelarowie ujeli rozpoznawczego Memona Obcych, który pojawił się w ich układzie w przewidzianym czasie. Od chwili stworzenia nowej ojczyzny, od dwóch i pół tysiąca lat wiedzieli, kiedy nadejdzie ta chwila. Ujeli — dwa i pół tysiąca lat pracy umożliwiło to bez specjalnych trudności — i zaopatrzywszy w nowe, choć na pewno niepełne wiadomości o człowieku, skierowali z powrotem do tych, którzy go wypuścili.

Tamci wiedzą teraz, że tu jesteśmy. Wiedzą, że ich Memon zmuszony został przez nas do powrotu po rozbrojeniu i zupełnym unieszkodliwieniu. Wiedzą, że teraz walka jest już otwarta. Czekamy na nich, kiedy wrócą z większymi siłami. Odległość nie oznacza dla nas przesunięcia czasowego. Siedzimy tu wszyscy pod kwarcową kopułą — Eelarowie oraz dwóch ludzi z Ziemi, Japończyk i Węgier — i często spoglądamy w tym samym kierunku w granatową przestrzeń, gdzie w owalnym obszarze zakreślonym niewidzialną granicą rozegra się wszystko, w jednej jedynej potyczce, trwającej ułamek sekundy. Możliwe, że zostały do tej chwili jeszcze tygodnie, możliwe, iż stanie się to za kilka dni. Dziś w nocy układ ciał niebieskich jest taki, że wyraźnie widać na widnokręgu blade światło Prokrona.

Chciałem opowiedzieć, w jaki sposób trafiliśmy do tej historii my, ludzie z Ziemi, a w szczególności ja, Miklos Korda z Hortobagy.

Cała sprawa zaczęła się — według dokładnego czasu mojej uratowanej ze statku UNO-2000 Doxy — niecałe osiemnaście miesięcy temu, pewnego piekielnie skwarnego niedzielnego przedpołudnia. Przekładałem bezradnie z półki na półkę trochę swoich rzeczy w akademiku Wyższej Szkoły Astronautycznej w budapeszteńskiej dzielnicy zamkowej. Dwa tygodnie wcześniej wróciłem z dyplomowego egzaminu praktycznego. Zadaniem było samodzielne pilotowanie czteroosobowego statku zwiadowczego, pełne pomiary traktowanej jak nieznaną małą planetoidy w układzie Alfa Centauri i dostarczenie danych do Kwatery Głównej Sił Kosmicznych ONZ. Czas na wykonanie zadania: według potrzeb. Kto nie jest obeznany z branżą, nie może sobie nawet wyobrazić, jaka to pułapka, taki „czas według potrzeb”. Na tym właśnie oblewa większość zdających. Albo załatwiają wszystko za szybko, albo tracą na zadanie za wiele

czasu — nigdy „według potrzeb”. A jeśli dodam do tego, że jednym z członków czteroosobowej załogi był mój szef katedry, stary Filiński z Warszawy, to możecie sobie wyobrazić, z jaką radością zabrałem się za wykonywanie zadania. Mimo to udało się. W jakim stopniu — nie podejrzewałem aż do wspomnianej sierpniowej niedzieli.

Co prawda coś już kazało mi podejrzewać, co się święci, kiedy wręczając złoty dyplom stary zaproponował mi miejsce jedynego asystenta w jego katedrze. I oto stałem przed odwiecznym dylematem wszystkich pracowników naukowych i uniwersyteckich moli książkowych. Jeśli przyjmę propozycję, otworzą się przede mną ogromne możliwości, co dzień będę się stykał z najnowszymi wydarzeniami i osiągnięciami żeglugi kosmicznej, co chwila będę brał udział w najbardziej emocjonujących przedsięwzięciach — wszystkiego za trzydzieści pięć rocznie, minus sześć potrącenia. Jeśli natomiast przyjmę propozycję Solar System Passenger Lines, zacznę od stopnia porucznika z pięciokrotnie wyższą pensją za wygodne i nudne rutynowe rejsy. Na szczęście nie miałem za grosz rozumu i nie zastanawiałem się ani przez chwilę nad zostaniem w uczelni. Stąd właśnie wziął się mój stan przejściowy: musiałem w ciągu tygodnia opuścić mój ulubiony pokój w akademiku i znaleźć sobie jakieś lokum. Nie muszę chyba dodawać, że nie jest to najprostszą sprawą w trzypółmilionowym Budapeszcie. Stąd właśnie brała się moja bezradność wyrażająca się w przekładaniu rzeczy z miejsca na miejsce. Wtem zabrzmiał brzęczyk wideofonu. Odwróciłem odbiornik do siebie.

— Mówi profesor Filiński — usłyszałem gapiąc się na pusty ekran. Stary nigdy nie popełniał w węgierskim błędów gramatycznych, ale za to akcent miał wprost niesamowity. — Dlaczego pana nie widzę, Miklos? Dlaczego pan nie włączył ekranu?

— Melduję, panie profesorze, że mam uszkodzenie w urządzeniu. — Nie dodałem, że to ja wmontowałem w odbiornik to „uszkodzenie”, bo nie lubię, kiedy mi wtykają nos w życie prywatne. — Czym mogę służyć?

— Nie mógłby pan tu wpaść, do parku miejskiego? — W parku stały budynki uczelni, na byłych terenach wystawowych. — Mam bardzo ważną sprawę. Chciałbym z panem pomówić w cztery oczy, zanim się do pana zwrócę oficjalnie.

— Za kwadrans jestem, panie profesorze — odpowiedziałem.

I rzeczywiście, za jakieś pół godziny już tam byłem — co jest i tak dobrym wynikiem środkami komunikacji miejskiej w Budapeszcie. Stary był niezwykle taktowny. Powiadomił mnie, że w najbliższym czasie, może nawet za kilka godzin dostanę rozkaz uczestnictwa w specjalnej wyprawie kosmicznej. Pełniłbym w niej funkcję nawigatora, wybrano mnie do niej na podstawie świetnego wyniku egzaminu praktycznego. Nie wspomniał, że wyprawa jest niebezpieczna — a jaka miałyby być taka wyprawa rozpoznawcza? Właściwie — mówił dalej stary — to wezwał mnie dlatego, że mógłby załatwić zwolnienie mnie z tej misji — powołując się na dobro katedry. Bardzo lubię starego, zdaje się, że już o tym wspomniałem, ale zareagowałem na to nie najprzyjemniej. Na jakiej podstawie wydaje mu się — spytałem — że ja tu będę pilnował kolokwium pierwszoroczników, a ktoś inny — z trudem drugi w kolejności wyników testu — zdechnie gdzieś w nieznanym układzie? Musi sobie zdać sprawę, że tam jest moje miejsce. Jeśli wrócę, katedra może na mnie nadal liczyć.

Kiedy teraz przypominam sobie to wszystko, nawet się nie dziwię, że stary Filiński się nie obraził na dość niegrzeczne odtrącenie jego oferty. On sam też zaczynał wyprawą rozpoznawczą przed trzydziestu laty — skąd zresztą wynika, że stary wcale nie jest naprawdę taki stary: ma koło pięćdziesiątki. Podejrzewam, iż poczułby się naprawdę zawiedziony, gdybym przyjął jego propozycję zwolnienia mnie z misji. Z widoczną ulgą przeszedł do istoty sprawy.

To, że wybrano właśnie mnie, jest wielkim wyróżnieniem nie tylko dla szkoły, ale i dla całego kraju. W każdym bądź razie zarezerwowano w składzie wyprawy jedno miejsce dla Europy. We

wszystkich uczelniach astronautycznych odbywały się teraz egzaminy dyplomowe. Urzędująca w Brazylii Kwatera Główna przed tygodniem zebrała wszystkie najlepsze wyniki tych egzaminów. Na podstawie tych wyników okazało się, że jestem najlepszy z całej Europy. (Dość głupie to uczucie, nie wiem, jak by je przyjął ktoś inny, ale mnie zaczęła rozpierać zupełnie szczenięca duma. Przede wszystkim zacząłem sobie od razu wyobrażać, jak to będzie, kiedy opowiem wszystko Julice. Zaraz sobie zresztą przypomniałem, że najprawdopodobniej już jej więcej i tak nie zobaczę, a nawet jeśli, to dziewczyna będzie o dziesięć lat starsza, niech to diabli wezmą — paradoks czasu obowiązuje nawet w tym skurczonym wszechświecie!)

Ale byliśmy przy tym, że oto ja okazałem się najprzydatniejszy. Filiński ma jednak ogromny autorytet w Kwaterze, wtajemniczono go przecież dość nieformalnie w całą ściśle tajną sprawę. Oczywiście nie musiano się obawiać, że się wygada. Jeśli bowiem przyjąłbym jego propozycję wystąpienia o zwolnienie, mnie też nie wspomniałby ani słowem, o co chodziło. Ale skoro miałem lecieć, był upoważniony do przygotowania mnie.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, jak mało wiedziano o problemie, po którego rozwiązanie wysyłano wyprawę. Właściwie nic. Jeden z pionierskich statków Afryki przed czterema laty dotarł do układów, w których jeszcze nie stanęła ludzka stopa. Już podczas lotu, w odległych obszarach kosmosu Afrykańczycy trafili na trzy planety, które spełniały w ciągu swej historii warunki powstania życia określone przez Sorensena i z których jedna została w sposób sztuczny wyrwana z orbity. Chłopcy nawet nie zdawali sobie sprawy ze swego daleko większego odkrycia, jakiego dokonali w tym systemie. Byli już całe lata poza Ziemią i zanim dokonali odkrycia, bardzo już chcieli być w domu. Gdyby mieli lądować na każdej planecie, zajęłoby im to jeszcze długie miesiące, dlatego też w wypadku większości planet dokonywali pomiarów z orbity. Już minął rok od ich powrotu, a Afrykański Uniwersytet Centralny w Nairobi zajmuje się wyłącznie materiałami, które przywieźli. Najciekawsze dane odkryto jednak dopiero teraz, miesiąc temu. Udało się określić bez żadnych wątpliwości, że pod powierzchnią ostatniej z badanych planet typu Ziemi — i to nawet na niedużej głębokości — pogrzebane są pozostałości cywilizacji zgłodzonej w wyniku konfliktu jądrowego. Pozostałości te to metale — nie rudy metali, ale stopy metali — w dużej ilości oraz ogromne ruiny miast. Wszystko to było ukryte pod powierzchnią i dlatego właśnie murzyńskie chłopaki nie zauważyły nic poza tym, że lądy planety dysponującej tak wspaniałymi — z drobnym wyjątkiem — warunkami do życia, pokrytej w dwóch trzecich morzem, są zaskakująco nagie i jałowe. Oczywiście przy obserwacji z przestrzeni kosmicznej nic nie wskazywało na najmniejsze ślady życia. Z grubości warstwy gleby pokrywającej wszystko oraz z badań czasu rozpadu połowicznego wyliczono w Nairobi, że tragedia miała miejsce mniej więcej dwa tysiące lat temu. Dziś już wiemy, że niewiele się pomylili — co jest wspaniałym osiągnięciem, jeśli weźmiemy pod uwagę, że dane zbierano z wysokości trzystu kilometrów, z orbity krążącego wokół planety statku, na podstawie zdjęć, echa radarowego i innych pomiarów promieniowania odbitego. Właśnie w celu dokładnego zbadania okoliczności dawnej tragedii tamtej planety — Eeli, dziś znam już jej nazwę — i poznania jej zniszczonej cywilizacji Kwatera Główna natychmiast wysłała wyprawę badawczą. Wspomniałem już, że ledwo co wiedziano o zniszczonej planecie. Mogę do tego dodać, że i dziś na Ziemi nie wiedzą niczego więcej.

A o tym, czy my powrócimy kiedykolwiek do domu, czy będzie ktoś, kto opowie o wszystkim, co teraz z braku lepszego zajęcia zapisuję — o tym rozstrzygną najbliższe wydarzenia. Obawiam się przy tym, iż jeśli zdarzy się, że my nie wrócimy, oznaczać to będzie zarazem szybki kres stosunkowo dobrze zapowiadającej się kariery gatunku Homo sapiens...

Czas płynął niezwykle szybko. Jeszcze w niedzielę wieczorem dostałem oficjalny rozkaz. Oczywiście nie było w nim żadnego z powyższych szczegółów. Przeszedłem do składu kadry

armii kosmicznej i od tej chwili podlegam dyscyplinie wojskowej. Start wyznaczono — przy niezwykle przyspieszonych przygotowaniach — na początek września, za dwadzieścia dni. W domu byłem jednak tylko przez tydzień, jeszcze w połowie sierpnia miałem lecieć na Haiti, na miejsce startu. Nie twierdzę, że przez ten tydzień prowadziłem szczególnie sportowy czy surowy żołnierski tryb życia, wręcz przeciwnie. Prawda jest taka, że na ten tydzień Julika po prostu przeprowadziła się do mojego pokoju w akademiku. Jej mama, należąca do tych nielicznych ludzi, których się obawiam, z niewytłumaczalnych powodów zachowywała się tak, jak”

by uwierzyła, że jej córka rzeczywiście wyjechała na letni obóz nad Ulorze Śródziemne. Mieliśmy piękny tydzień. Można do tego jeszcze tylko dorzucić pewną ciekawostkę: nie upłynęły jeszcze dwa dni od startu, a już się zgadaliśmy, że spośród moich trzech kolegów dwóch spędziło ostatni tydzień przed odlotem na Haiti w podobny sposób. Na aszę będzie sporo czasu, to mogliśmy przewidywać z dużym prawdopodobieństwem. Mieszkania przed startem już nie znalazłem, ale po cóż miałbym szukać? Kilka moich rzeczy przechował portier akademika.

Nie będę się zatrzymywał na szczegółach. Przecież i tak moją opowieść przeznaczam mieszkańcom Ziemi, a spośród nich trudno byłoby znaleźć kogoś, kto nie miałby już powyżej uszu relacji o przygotowaniach, nadawanych przez radio i telewizję. Wtedy bowiem ogłoszono już publicznie o odkryciu spustoszonej planety i o planie naszej wyprawy. Nie opowiadam tu więc o całej reszcie. W każdym bądź razie uzyskaliśmy ostateczny dowód na to, iż oprócz nas istnieją — czy też, jak wtedy myślałem: istniały — we wszechświecie inne istoty rozumne. (Jeśli o to chodzi, to ja ani przez chwilę o tym nie wątpiłem. Pogląd, że tylko my jesteśmy stworami rozumnymi, uważałem za bardzo prymitywny. Zupełnie jakby robak siedzący w jabłku rozejrzał się nagle wokół i stwierdził dumnie: proszę, oto drażę i żrę, jest to taki cud natury, iż nie może się powtórzyć w innym jabłku). Fakt, że był to pierwszy dowód. Wszyscy dokładnie pamiętają czasy naszego startu i szkoda więcej mówić na ten temat.

Dowódcą UNO-2000 został John M’Bala — co było jedynym słusznym rozwiązaniem — olbrzym z Liberii, mający dwa dziesięć wzrostu, nawigator afrykańskiej załogi z tamtej wyprawy. Pozostali dwaj to Rosjanin z Syberii, mający na imię jak w bajkach — Iwan, najlepszy matematyk i szachista jakiego dotąd spotkałem wśród astronautów, oraz Nakamura, cichutki Japończyk, z którym najbardziej się zaprzyjaźniłem. To wspaniałe, jak wiele nauczyłem się od niego angielskiego przez kilka miesięcy. (Inni też zabijali czas nauką języków). Zaczęliśmy nawet z japońskim, Nakamura zaś, nawet jeśli z tego nie rozumiał ani słowa, potrafił już — kiedy dotarliśmy na Eelę — z bezbłędnym akcentem wymówić węgierskie „Chrząszcz brzmi w trzcinie...”

Oczywiście nie znaleźliśmy nawet śladu życia. Na całej planecie nie było żadnej żywej istoty, nawet przysłowiowego psa z kulawą nogą. Po bombie termojądrowej nie trzeba nic poprawiać. Już pierwszego dnia spokojnie mogliśmy chodzić po lądzie — nasze przyrządy są dostatecznie dobre, by wykazać, że jeśli nawet nowe życie nie mogło tu już powstać, to nie grozi nam skażenie radioaktywne ani żadne inne. Wtedy jeszcze byliśmy bardzo dumni z naszych czujników skażenia. Jak sobie teraz pomyślę, to uważaliśmy je za ósmy cud świata.

Zgłosili się tego dnia. Nie mogli tego odkładać, przecież mogło się zdarzyć, że statek z Ziemi wylądowałby na tej zniszczonej planecie tylko na jeden dzień, może tylko na jedną godzinę.

Doszedłem tu do niełatwej części opowiadania. Muszę teraz opowiedzieć o pojęciach i zjawiskach nie znanych mi przedtem, ale przede wszystkim nie znanych moim ziemskim czytelnikom — a obawiam się, że zasób słów okaże się po prostu za skromny. Związane jest to z poziomem nauki Eelarów. Zgłosili się tamtego przedpołudnia i to od razu z takim pokazem możliwości, że i bardziej zahartowanego ode mnie uczonego mogłoby to przyprawić o pomieszanie zmysłów, gdyby tylko nie zajmowały nas tak bardzo wydarzenia i ciężka praca w

tamtym dniach.

UNO-2000 wylądował na nagiej plaży, pokrytej tylko cienką warstwą gleby. Wypuściliśmy się na pierwsze rozpoznanie, w trzech kierunkach. Iwan został na statku, a my trzymaliśmy się w zasięgu wzroku. Z nieznanых przyczyn los wybrał do nawiązania kontaktu właśnie mnie. Wiem, że wybór ten podyktowany był bardzo ścisłymi przyczynami natury naukowej, ale proszę nie żądać ode mnie wyjaśnienia. Na początku uważałem ich naukę za czarną magię, a później miałem jeszcze niezliczone okazje do odczuwania tego samego lęku.

Ruszyłem plażą w stronę wystającego cypla. Początkowo nie widziałem śladu cywilizacji. Dotarłem do cypla. Tu uderzenia fal i różnice pływów zapobiegły osadzeniu się warstw gleby. Brzeg wyglądał jak zrobiony pod linijkę. Właściwie tak też był zbudowany. Skały porozbijane, porozdrabniane przez — jak to wiem dzisiaj — dwa i pół tysiąca lat uderzeń fal. Drugi wzdłuż brzegu i jej podłoża nic nie zmogło. Ona była teraz brzegiem morza. Zatrzymałem się na jej białej wstędze. Nie było na niej widać żadnej rysy, najmniejszej plamki. Schyliłem się i dotknąłem powierzchni. W dotyku była jak twarda guma, choć niemal ciepła i miękka. Nie mogłem się powstrzymać, ścisnęło mi się w tym momencie serce — pomyślałem o ludziach, którzy potrafili budować takie drogi i ileż innych rzeczy i musieli zginąć tak bezsensownie i tragicznie. I na tę właśnie myśl otrzymałem odpowiedź. Nie podziwiam tak nawet ich nadajników encefalograficznych czy technik nawiązywania łączności telepatycznej, jak zdolności rozdzielcze i wybiórcze ich urządzeń. Musieli utrzymywać przed wrogami całkowitą tajemnicę co do swojego istnienia — gdyby zostali wykryci, wszystko byłoby stracone, nadeszłaby straszliwa katastrofa. Byliśmy bowiem wewnątrz imperium wroga, w jego często kontrolowanym sektorze. Fakt, iż jednak odważyli się ustawić na Eeli ukryty nadajnik, natychmiast nawiązujący łączność z istotami o identycznej z nimi strukturze psychicznej — i tylko z takimi — jeśli znajdują się na planecie, świadczy jednak o ich ogromnym oddaniu swej misji. — Nie były to słowa, nawet nie myśli, lecz odczucia. Pomyślałem o podobnej do ludzkiej wymarłej cywilizacji i nagle poczułem, że nie jestem sam. Ktoś odczuwał to samo ze mną, czułem braterstwo, jedność, radość, potem ulgę. Żyjemy! Uczucie powoli formowało się w myśl. Nic nie uległo zagładzie. Żyjemy, ale nadal grozi nam niebezpieczeństwo. Grozi ono także i wam. To ich obszary. Oni tu wrócą. Odpowiedzcie nam. Musimy się spotkać. Potrzebujemy was. Ostatnia myśl była konkretna niemal jak sformułowanie językowe: zrozumiałem ją od razu — wiedzą już, że tu jesteśmy, zrobią wszystko, żeby zdążyć do nas przed tajemniczym nieprzyjacielem, którego moment pojawienia się potrafią dokładnie wyliczyć. Musimy czekać przez jedną kwadrę księżyca. Poczekamy, pomyślałem bez wahania. Przybywajcie.

Jedną kwadrę, czyli tydzień. Czekaliśmy na nich. Powiodłem chłopców na plażę, modląc się, by wszystko się powtórzyło i by mnie nie wzięli za lunatyka. Nie powtórzyło się, wzięli mnie za lunatyka, kładąc moje przywidzenie na karb choroby przestrzeni. Pomyślałem o tamtych z niejasną obawą, ale wierzyłem.

Tylko Nakamura nie wyśmiewał się ze mnie, w zamyśleniu kręcąc swą wschodnią głową, kiedy na mnie patrzył. W sumie nie sprawiało nam to żadnego kłopotu — i tak mieliśmy zostać tu tydzień dłużej. Wykonywaliśmy rutynową, codzienną pracę pomiarów planety. Pobieraliśmy próbki gruntu, śledziliśmy przebieg białej drogi. Dokonaliśmy kilku drobnych wykopalisk na terenach miasta nad brzegiem morza. Wystartowaliśmy, wprowadziliśmy UNO-2000 na orbitę okołoplanetarną i robiliśmy zdjęcia fotograficzne. Potem wylądowaliśmy na drugiej półkuli. Wierzyłem w nich bezwarunkowo. Wiedziałem, że nas znajdują, gdziekolwiek byśmy byli. Wiedziałem, że nie zwabią nas w pułapkę. Przez ten czas miałem jeszcze raz bardzo określone uczucie: dotrą tu na czas i zabiorą nas ze sobą ze strefy zagrożenia. Nie potrafiłem nawet określić, czy tym razem była to wiadomość od nich, czy nie, choć była tak wyraźna, jakbym to

słyszał. W rzeczywistości nie zgłaszali się wcale. Przemyslałem to i doszedłem do wniosku, że jeśli już nawiązali łączność, nie chcą dalej ryzykować dalszego nadawania — z powodu wspomnianego przeciwnika. Nie wspominałem więc o całej sprawie. Czekałem. Chłopcy i tak byli zaskakująco porządni: nie było mowy o żadnym naśmiewaniu się, po prostu przez pewien czas obserwowali mnie dość uważnie, M'Bala zaś starał się mnie nie wysyłać ni gdzie samego. Wiedziałem, że ten tydzień zejdzie bardzo szybko.

Kiedy rankiem siódmego dnia wygramoliliśmy się z naszego schronu dwa metry od drzwi stał uśmiechnięty mężczyzna w białym kombinezonie. Był jeszcze wyższy od M'Bali, miał gładkie, czarne włosy i orli nos. Przypominał Indianina. W ręce trzymał nadajnik encefalograficzny.

Mam jeszcze pewne szansę, by zrozumieć, w jaki sposób pokonali odległość dziesięciu lat świetlnych w tydzień. Dziś mogę z rozpaczliwych wyjaśnień mojego przyjaciela, Uula–Dena, przekazać tylko tyle, że po—konanie samej odległości w ogóle nic nie trwało. Nie potrzebują do tego wcale czasu. Tydzień potrzebny był, tylko do tego, by wydostać się w przestrzeń i z jej wybranego punktu przedostać się na Eelę. Rozwiązanie problemu takich podróży łączy się ściśle z nowym wymiarem oraz z ogólną teorią względności Einsteina — ten zespół zagadnień rozpatrują za pomocą teorii zwanej przez nich teorią względności Nepama–Ha' znaną im już od trzech tysięcy lat. Potrafią też już dziś korygować działanie paradoksu czasowego: bez względu na to, jak daleko się wybierają, jeśli droga trwa tydzień, na Nowej Eeli też upływa tydzień. Rozwiązali ten problem tak, iż powrót w przestrzeni odwraca także upływ czasu. Na tej samej zasadzie polega także ich łączność międzygwiazdowa: moje uczucia—odpowiedzi odbierali na Nowej Eeli już w godzinę po ich nadaniu.

Do dziś mój umysł wzbrania się przed przyjęciem faktu, że oni oczekiwali pomocy — i że ją uzyskali — od nas, którzy w przestrzeni międzygwiazdowej poczyniliśmy pierwsze kroki i pod każdym względem pozostajemy za nimi ogromnie daleko w tyle. Początkowo w ogóle nie chciałem w to uwierzyć. W końcu Uula przekonał mnie: dla nich nasze spotkanie i podobieństwo ma nieocenioną wprost wartość. Można by to wyjaśnić następująco: już dwa i pół tysiąca lat żyją w świadomości tego, iż kiedyś ma nadejść ostateczne spotkanie z wrogiem i byli już ogromnie tym zmęczeni. Czuli się osamotnieni. Istnienie istot podobnych do nich w sferze psychicznej, a także fizycznej, pomoże im w rzeczy najważniejszej: przywróci chęć do życia.

Podobieństwo jest zresztą niesamowite. Nie spotkałem jeszcze Eelara, którego nie wzięto by w ziemskim ubraniu za wysokiego Indianina czystej krwi. U nich panują na ten temat dwie teorie — o ile w ogóle mają czas zajmować się teraz takimi rzeczami: jedna z nich poszukuje wspólnego punktu wyjścia w zagubionej, zamierzchłej przeszłości galaktyki. Według tego poglądu byliśmy więc krewniakami. Druga teoria ma podłoże funkcjonalne, znane mi jeszcze z Ziemi: twierdzi, iż jeśli spotkamy istoty rozumne, powstałe w podobnych warunkach fizycznych, to i ich wygląd zewnętrzny będzie zbliżony do naszego po prostu dlatego, że jest to najbardziej naturalna budowa ciała istoty rozumnej, wytwarzającej narzędzia. Nie wiem, co o tym sądzić.

Istotne jest w każdym bądź razie to, że siedzimy tu teraz obaj na Igo, naturalnym księżycu Nowej Eeli, i czekamy — czekamy wraz z nimi na rozstrzygnięcie się naszego wspólnego losu. Na Ziemi nic o nas nie wiedzą. Naszą powolną brykę zniszczyliśmy i przyniósł nas prosto tutaj statek naszych przyjaciół. Potrzebują nas ze wspomnianych już powodów wsparcia moralnego, psychicznego. Trafiliśmy na Eelę i odebraliśmy ich sygnały dosłownie za pięć dwunasta. Gdybyśmy przybyli na Eelę jeszcze tydzień później, wmaszerowalibyśmy w zastawioną przez wroga urządzenie pułapkę. I rzeczywiście, oni nas tu potrzebowali. M'Bala i Iwan objeżdżają tam na dole wszystkie miasta. Pokazują ich wszystkim, opowiadają o Ziemi — a cała ludność planety słucha jak zaczarowana.

Nie rozumiem, w jaki sposób pomagamy im samym swoim istnieniem, ale mogę w to

uwierzyć. Nasz los od tej chwili nierozzerwalnie splótł się już z ich losem.

Siedzimy tu na Igo, księżycu nazwanym tak na cześć prezydenta okresu wielkiej wędrówki, pierwszego narodzonego poza Eelą. Tu znajduje się centrum dowodzenia walką. Moja kabina, w której ręcznie zapisuję te notatki, jest pod ogromnym, przezroczystym, sięgającym po widnokrąg kwarcowym sklepieniem. Sam chciałem tu być, w centrum dowodzenia, w tych ostatnich tygodniach przed spotkaniem z wrogiem. Tak samo postanowił i Nakamura, śpi teraz w sąsiedniej kabinie.

Już od dwóch i pół tysiąca lat wiedzą, że ta chwila nadejdzie. Całe ich dzieje wypełnione były przygotowaniem. A taki lud, któremu obca jest nawet myśl o przemocy, nie może w nieskończoność żyć z myślą o wojnie. To nie przygotowania naukowe i techniczne pochłonęły przez ten czas najwięcej ich energii, ale wysiłki zachowania najważniejszych cech tego, co uważają za człowieczeństwo.

Zachowali te cechy. Byłem tam w dole, widziałem ich białe miasta. Nie mają dziś problemów z tym, że ludzie nie chcą pracować. Wszyscy chcą.

Najstraszniejsze jest to, że o nieprzyjacielu wiedzą niewiele więcej, niż w czasach wielkiej wędrówki. Musieli unikać wrogów, chcąc przetrwać. Do dziś nie wiedzą, jak wyglądają istoty zwane przez nich obcymi.

Wiedzą tylko, że nadejdą. Kilka miesięcy temu wylądował na Igo Jeden z Memonów wroga. Oczekiwali go. Dziś dysponują już wszelkimi środkami do zniszczenia takiej maszyny, ale tego nie zrobili. Podali tylko nowe — choć niezupełnie pełne — dane o sobie i o swoich możliwościach. Potem skierowali maszynę z wiadomością o istnieniu cywilizacji do jej twórców. Teraz czekali na wyniki.

Tam na zewnątrz, w kosmosie, jest przestrzeń ograniczona polami w bezpiecznej odległości od Nowej Eeli i jej księżyca. Tam rozstrzygnie się wszystko.

2

Od tamtej chwili minęły niemal dwa lata. Po raz ostatni sięgam po ten maszynopis, by porządnie zakończyć opowieść, tak jak zakończyły się wydarzenia, które w niej opisuję, a przy okazji wypełnić zobowiązanie wynikające z mojej umowy z budapeszteńskim wydawnictwem.

Bardzo długie były te niemal dwa lata, przez które nie miałem dostępu do rękopisu, zwłaszcza jeśli uwzględnimy, jak wiele się wtedy zdarzyło. W rezultacie mimo wszystko nasz los rozstrzygnął się nie wtedy nad księżycem Nowej Eeli. Wiemy dziś także, kim są ci tajemniczy Obcy.

A więc tego dnia, dwadzieścia miesięcy temu — ciągle licząc według czasu Greenwich — notowanie przerwały mi radiowe sygnały od oddziałów patrolowych eelarskiej armii. Sygnalizowali zbliżanie się z kierunku układu słonecznego Obcych formacji sztucznych obiektów. Formacja zwalnia w miarę zbliżania się do układu MG 10003. Ich cele nie podlegają wątpliwości. Atak oczekiwany jest w ciągu godziny.

Od razu cała sala pod zielonożółtą kwarcową kopułą, wypełniona dotąd ciszą oczekiwania, nabrała życia. Eelarowie wiedzieli od dwóch i pół tysiąca lat, że ta chwila kiedyś nadejdzie, z większym czy mniejszym prawdopodobieństwem wiedzieli nawet, w którym roku dwuipółtysiąclecia. Przodkowie krzątających się wokół mnie ludzi wiedzieli dokładnie, wyliczając do pokolenia, kto z ich praprawnuków będzie toczył tę walkę. To właśnie przydało tym pokoleniom sił do przygotowania się. I jeszcze jedno: że wszyscy są potomkami ludu

prezydenta Igo–Vandara, tych Eelarów, którzy już raz dokonali rzeczy nadludzkiej, którzy stworzyli z niczego ich świat. Nie potrafiłem wśród nich pozbyć się myśli, że żaden przedstawiciel gatunku Homo sapiens nigdy nie czuł wspólnoty swego losu z losem całej ludzkości, jak czuły to pokolenia Eelar–Om. Wśród nich nawet najprostszy technik obsługujący ekrany komunikacyjne żył i pracował dla czegoś większego, wyższego niż przemijająca radość życia jednostki. Nie przynieśli tu ze sobą Problemów życia, jakie trapiły ich na starej Eeli. Zagrożenie i wielkie zadanie, perspektywa pracy, która ich czekała, uniosły ich od razu na inny jakościowo poziom. Dziś, kiedy wszystkiemu temu zagraża wielkie niebezpieczeństwo, wiedzą już, jaką wartość przedstawia bycie człowiekiem. Jeśli przeżyją, potrafią dalej żyć z tą wartością. Mają niewyobrażalne możliwości i widać to po każdym z nich. Wszyscy są zarazem prorokami i artystami na swój sposób.

Zawsze wiedzieli, że nadejdzie ta chwila. Nie zauważyłem jednak po nich śladu obawy czy emocji. Widać było tylko, że oto po stuleciach przygotowań nadszedł czas, kiedy spełnią swą powinność.

Dostrzegłem wśród nich raczej jakąś ulgę. Przez dwa i pół tysiąca lat oczekiwania może się wyczerpać nawet anielska cierpliwość.

Kopułę kwarcową wypełniły niepojęte dla mnie dźwięki i błyski światła. Niektórzy spieszyli na stanowiska, inni wpatrywali się z uwagą w przyrządy. Nawet przy najszczerzych chęciach nie mogłem im w niczym pomóc, starałem się więc chociaż nie zawadzać. Usunąłem się z drogi, czując się niepotrzebny. Nawet w takiej sytuacji uchwyciłem ciepły uśmiech Uula, który między dwoma przełączeniami spojrział na mnie znad niewyraźnych obrazów na ekranach szeregu niezwykłych urządzeń.

Później skinął, bym usiadł koło niego. Wskazał na wolny fotel. Rzucił zdanie w języku mago–lyn, wyjaśniając mi, że ekran ten pokazuje sam środek pola anihilacji. Pamiętam dokładnie, że na chwilę ogarnęła mnie duma z rozumienia tak skomplikowanych rzeczy.

Na ekranie nie było widać nic poza czarną pustą przestrzenią. Wiedziałem, że gdyby na przykład w obserwowanym polu pojawił się pływający w przestrzeni bezpieczeństwa hełm, też byśmy go zobaczyli — tak silne było powiększenie. W górnym rogu ekranu błysnęła daleka, biała gwiazda. Pole siłowe przesunęło się, a wraz z nim przesunęło się i pole widzenia monitora. Eelarowie potrafią tak poruszać polami siłowymi, jak zdalnie sterowanymi obiektami latającymi.

Krzątanina wokół mnie ustała. Środek obserwowanej strefy zatrzymał się, ruch na ekranie ustał i w centrum strefy pojawił się zaznaczony cienką, ostrą linią obszar: granica pola siłowego. Czekaliśmy w ciszy. Zupełnie jakby wszyscy wstrzymali oddech. To była chwila najważniejsza. Tam w dole miliardy mieszkańców miast planety w takiej samej ciszy obserwowały ekrany.

Minęło trzydzieści minut — mierzyłem je na swoim chronometrze, doxie, którą udało mi się zachować, kiedy ze względów bezpieczeństwa unicestwiliśmy wszystkie przedmioty pochodzące z Ziemi, by w razie porażki nie naprowadzić przedwcześnie wroga na nasz ślad. Przyszedł mi na myśl ten rozjarzony argonowym światłem wieczór, kiedy to Julika kupiła mi ten zegarek w sklepie przy ulicy Kigyo. Z nagłą, rozpaczliwą uwagą skoncentrowałem się na obserwacji widniejącego przede mną ekranu, starając się nie myśleć o niczym innym.

Upłynęło jeszcze pięć minut. I nagle między zgromadzonymi przed pulpitemi przebiegł lekki gwar.

Coś działo się nie tak, jak to sobie wyobrażali.

Potem wydarzenia następowały już z prędkością błyskawicy. Uula chwycił mnie za ramię i wskazał na ogromny ekran centralny sali. Już wcześniej wyjaśnił mi, że jego urządzenia obserwacyjne od chwili pojawienia się w polu widzenia śledzą bez przerwy maszynę

przeciwnika w przestrzeni zewnętrznej. Teraz tamte trzy roboty weszły w strefę bezpośredniej widzialności. Ze swoimi niezliczonymi dziwnymi odnóżami wyglądały jak jakieś wybrakowane ręczne granaty z zamierzonych czasów drugiej wojny światowej. Od razu spostrzegłem, co tak zaskoczyło Eelarów. Prawy skrajny „granat” zachwiał się w przestrzeni, zaczął podążać po linii falistej, zupełnie jak jaskółka, która zgubiła pióra z ogona. Na chwilę nawet zniknął ze skraju ekranu. Potem jego ruch ustabilizował się, ale zaraz zachwiał się drugi skrajny pojazd. Uła ścisnął mi ramię z siłą uchwytu maszyny, ale żaden z nas obu tego nawet nie zauważył. Wahania dwóch Memonów zwiększały się coraz bardziej, aż roboty uderzyły o siebie i odskoczyły. Leciąły dalej uszkodzone. Środkowy zaczął się bezwładnie obracać, widać było, że nie stara się uratować skrajnych. Pod kwarcową kopułą zabrzmiały już w tym momencie z głośników nowe rozkazy, do pracy ruszyli nowi ludzie i nowe urządzenia.

3

Dopiero później dowiedziałem się, że już w chwili zderzenia maszyn określono na podstawie analizy ich trajektorii, iż ich systemy sterujące uległy jakiemuś uszkodzeniu na krótko przed dotarciem w okolice układu Yarnoda. Po zderzeniu urządzenie, które pozostało nie uszkodzone, wysłało dokładnie w kierunku księżycy Igo–Vandar serię niezwykle silnych, rytmicznie powtarzających się sygnałów, odbieranych jednocześnie we wszystkich pasmach częstotliwości.

Eelarowie tysiące razy analizowali parametry lotu obu schwytych dotąd Memonów. Nie ulegało wątpliwości, że maszyny, z którymi mieli teraz do czynienia, nie były w porządku. Wstrzymano przygotowania do akcji zbrojnej. Eelarowie doszli bowiem do wniosku, że zachowanie Memonów wyrażać może wezwanie o pomoc lub też spóźnioną próbę nawiązania kontaktu. Po dwu i pół tysiąca lat Eelarowie byli jeszcze skłonni zaryzykować wiele po to, by spotkanie dwóch gatunków nie skończyło się zagładą. Może nigdy nie potrafimy ich pojąć, a może sami będziemy tacy kiedyś.

Odpowiedzieli więc na wezwania Memonów, nawiązując z nimi kontakt oparty na systemie logiki matematycznej i godzinę później trzy niemal całkiem bezwolne Memony, podążając za sygnałami sterującymi wysyłanymi z nowej Eeli, wylądowały w jednym z ogromnych, starannie obudowanych kraterów na Igo.

Po kolejnych dwudziestu czterech godzinach zostały dokładnie i łatwo rozmontowane przez wysłane w celu ich rozbrojenia anty–Memony, udoskonalone po całych stuleciach pracy badawczej. Pozostające w gotowości laboratoria rozpoczęły przyspieszoną analizę zawartości ich pamięci.

Mimo że na Eeli potrafiono już — dzięki odpowiedniemu przygotowaniu — zinterpretować każdy z zapisów pamięciowych, to jednak tym razem natrafiono na zupełnie niezrozumiały fakt. W sztabie znów dały się słyszeć głosy o pułapce.

Okazało się bowiem bez najmniejszych wątpliwości, że Memony te zostały wysłane właśnie wtedy, gdy powrócił Memon rozpoznawczy z wprowadzoną do jego pamięci informacją o tym, iż cywilizacja planety, rzekomo spustoszonej w wyniku konfliktu atomowego, żyje dalej na planecie układu MG 10003. Wyruszyły jako odpowiedź na to wezwanie. Nie były to zwykłe urządzenia rozpoznawcze, ale prawdziwe jednostki bojowe przygotowane do zniszczenia nieznanego przeciwnika. Otóż ich wyobrażenia o wrogu po prostu nie odpowiadały danym, jakie uzyskały.

Jeszcze mniej zrozumiałe było to, że Memony wystartowały przygotowane tak, jakby ich przeciwnik był całkowicie nieznan. Tymczasem z danych odesłanego Memona bardzo wiele wynikało, w wielu szczegółach należało zmienić ich uzbrojenie. Tymczasem ci, którzy wysłali

maszyny, wszystkiego tego jakby nie wzięli pod uwagę.

Również i te egzemplarze maszyn skonstruowane były tak, by nie zdradzić niczego o tych, którzy je wysłali. A na ostatnim odcinku swej drogi — w okolicach układu Yarnoda — zawahały się, bo nie otrzymywały już rozkazów. Jeszcze przez pewien czas podążały naprzód, niejako z rozpędu.

Ich sygnały wysłane na Igo–Vandara — niezrozumiałe dla nas — były w swej istocie żądaniami rozkazów maszyn szukających rozkazodawcy. Ich czujniki wykryły sztuczną inteligencję na księżycu, dlatego w tamtą stronę zwróciły się ich anteny. I tyle tylko się dowiedzieliśmy. Cała sprawa była niezrozumiała.

Sytuacja ta, z uwzględnieniem elementów nieznanych, skłoniła do działania Radę Nowej Eeli. Decyzję podjęto po starannym rozważeniu obecnego stanu. Możliwe, iż uszkodzone Memony, które nadleciały bez odpowiednich rozkazów, stanowiły część jakiejś skomplikowanej pułapki. Wróg wiedział jednak o Nowej Eeli tak wiele, że zabezpieczyć się można było tylko aktywnie działając.

Kilka dni po zakończeniu przez anty–Memony demontażu i badania obcych maszyn i uzyskaniu tak niezrozumiałego wyniku M’Bala z Iwanem wyruszyli na Ziemię, w towarzystwie kilku „indiańskich” specjalistów, zaopatrzeni w dokładne informacje i instrukcje na każdą możliwość oraz pełne wyposażenie telekomunikacyjne i urządzenia umożliwiające stworzenie wokół Ziemi dokładnej kopii systemu obronnego Eeli.

Wszystko to było działaniem zabezpieczającym, bo jeszcze tego samego dnia flotylla eelarskich statków ruszyła w kierunku nieznanego nieprzyjaciela — w stronę gwiazdy Ogg. W jednym z nich lecieliśmy ja i Nakamura.

4

Tu znów dotarłem do niełatwej części mojej opowieści. I dotąd zasadnicza jej część nie była relacją opartą na moich osobistych doświadczeniach, teraz zaś będę musiał w jeszcze większym stopniu sięgać do pośredniego materiału informacyjnego.

Na podstawie danych pochodzących z licznych źródeł musiałem zrekonstruować wydarzenia tej ostatniej fazy, a żadne z tych źródeł nie było samo w sobie wystarczające. Pomocne były przechowywane na Eeli dokumenty historyczne; zadany program lotu dawnego statku patrolowego, jego ostatnie sygnały radiowe, pewne części materiału pamięciowego schwytych Memonów. Ogromny wpływ miało na mnie pewne moje osobiste przeżycie. Natomiast ostatnie strony mojej relacji opierają się niemal w całości na wspólnym raporcie grupy historyków i biologów Eeli i Ziemi.

Wspólna — niedawno rozpoczęta — praca uczonych obu planet otwiera w życiu naszych cywilizacji nową epokę. Niewielu spodziewało się,

że i my potrafimy im coś przekazać w zamian za spadający nam z nieba ogrom wiadomości z różnych dziedzin nauki i techniki. Jak słyszałem, całe życie artystyczne Nowej Eeli przeżywa od roku twórczy kryzys, spowodowany kilkoma ziemskimi nazwiskami, takimi jak French, Bartok i Marimba. Zanim jednak dotrzemy do tego momentu, muszę jeszcze wiele opowiedzieć.

Moje źródła były zupełnie pewne — każde z osobna — ale mimo to cały materiał zestawiony na ich podstawie nie jest niczym więcej, niż hipotezą.

W pewnej części muszę też opisać wydarzenia, co do których nikt nie ma osobistych

doświadczeń i na temat których nie pozostały żadne notatki.

Dla zachowania całości obrazu muszę się cofnąć do chwili, kiedy w trzydziestym drugim roku eelarskiej Ery Nowej i w drugim roku podróży uciekającego Prokrona wspomniany patrol rozpoznawczy wysłał meldunek: wchodzi w głąb obszaru zdobytego przez Obcych.

5

Nikt nie ma bezpośrednich doświadczeń z wyprawy tamtego statku patrolowego. Meldunek radiowy przesłany wtedy, przed dwu i pół tysiącem lat, kończył się słowami: możliwe, iż jest to nasz ostatni kontakt.

Załoga statku zauważyła pierwszą ingerencję nocą, trzy dni po wysłaniu meldunku radiowego. Lecieli już wtedy drugi rok. Byli zarazem ostatnią i przednią strażą w tej walce na śmierć i życie, w której jeden z przeciwników jeszcze sobie nawet nie zdawał sprawy z tego, że się rozpoczęła. Nie wolno mu się było nawet o tym dowiedzieć. Patrolowiec kosmiczny numer jeden nie mógł w żadnym wypadku wpaść w ręce nieprzyjaciela. W żadnym wypadku — dwunastu członków załogi dobrze wiedziało, co to oznacza.

Byli w odległości trzydziestu lat świetlnych od Eeli, trochę dalej od Prokrona. Nowy rodzaj napędu fotonowego dawał to, iż odległość taka nie oznaczała ostatecznego oderwania się od swoich ani w czasie, ani w przestrzeni. Dotąd — jeszcze dwa dni temu — pozostawali dokładnie poza zielonymi promienistymi liniami na mapie gwiazdnej, zwanymi liniami Memonów. Obcy nie odstępowali bowiem nigdy od ustalonych z góry planów, natomiast na planetach wyznaczających granicę ich podbojów nie zostawiali nic, z czego można by wyciągać jakiegokolwiek wnioski na temat tego, kim są. Załoga znajdowała tylko nie powiązane ze sobą ślady i to w wielu miejscach — jakby coś celowo przeszkadzało w powstaniu życia.

To było przyczyną, dla której dowódca zdecydował się wejść w rejony opanowane przez Obcych już od tysiącleci oraz — jak to wynikało z danych uzyskanych ze schwytanego Memona — kontrolowane przez nich za pomocą rzadkich, ale systematycznie prowadzonych lotów patrolowych. Jeśli chcieli się czegoś dowiedzieć, musieli zaryzykować. Trzeciego dnia przekonali się, że przegrali.

Ingerencję poczuli po raz pierwszy w nocy. Rano oficer nawigacyjny po raz trzeci już sprawdził kurs i znów zgłosił:

— Podczas minionych dwudziestu czterech godzin statek zboczył z kursu o jeden stopień. Nie ma mowy o pomyłce, wielokrotnie w kilku sprawdzaliśmy obliczenia. Korygowaliśmy to odchylenie z pulpitu sterowniczego, ale bezskutecznie. Statek nie słuca poleceń ze sterowni.

Twarz dowódcy nie zdradzała żadnych emocji. Skinął głową.

— Nie mogliśmy mieć wiecznie szczęścia... Obserwować dalej, korygować kurs — dodał. — Jeśli nie zajdzie nic nadzwyczajnego, proszę o raport co godzina.

Stanął przed trójwymiarową mapą gwiazdną i w zamyśleniu popatrzył na zaznaczone granice stref. Punkt oznaczający na mapie pozycję statku leżał właśnie na jednej z takich linii granicznych. Pokonali dotąd tak mały odcinek drogi w głąb obszaru, że na mapie jeszcze nie można go było zauważyć.

Po kolejnych dwudziestu czterech godzinach odchylenie zwiększyło się do trzech stopni. Statek wyraźnie kierował się w głąb terytorium zajętego przez nieprzyjaciela. Począwszy od trzeciego dnia odchylenie rosło w postępie kwadratowym. Pole fotonowe statku, ogromne w

porównaniu z jego rozmiarami, okazało się bezsilne wobec ingerencji siły zewnętrznej. Kiedy zwiększali ciąg w kierunku przeciwnym sile odchylającej, zwiększała się i ona. Przynależność statku nie wykazywały w swoim zasięgu żadnego sztucznego obiektu, pojazdu, żadnej nieprawidłowości.

Wyglądało to tak, jakby jakieś niewidzialne, ogromne ręce porwały statek patrolowy i ciągnęły w określonym kierunku. Tymczasem w pobliżu nie było żadnego ciała, które mogłoby powodować taką siłę przyciągania, zresztą ciało takie musiałyby być wielokrotnie większe od każdej znanej dotąd bądź hipotetycznej gwiazdy.

Czwartego dnia dowódca zarządził alarm pierwszego stopnia. Piątego dnia, kiedy odchylenie od poprzedniego toru lotu wynosiło już dziewięćdziesiąt stopni, niewidzialne promieniowanie przedziurawiło powłokę statku w okolicy silników fotonowych. Uszkodzenie naprawiono w kilka minut i zniszczona płyta pancerza zaraz znalazła się na biurku dowódcy.

— Jest to niewątpliwie jakiś znak wojenny lub symbol zwycięstwa — powiedział dowódca do oficera kierującego naprawą. Na wymontowanej płycie widniały dwie półkoliste dziury wielkości dłoni, zwrócone ku sobie podstawami, między nimi zaś zostawiony był pasek pancerza szerokości kilku centymetrów. — Symbolizuje to masę krytyczną, podzieloną na dwie części. Ich pierwszą prawdziwą bronią też mogła być bomba termojądrowa. Te dwa półkola przedstawiają ładunek materiału rozszczepialnego bomby. Kiedy połówki zderzają się, ich łączna masa przekracza masę krytyczną i następuje reakcja łańcuchowa. Taka mogła być ich pierwsza broń, ale sądząc na podstawie naszego obecnego kursu statku nie pozbawiona podstaw jest hipoteza, że dysponują już doskonalszymi środkami. Fakt, iż przy tak wysokim poziomie rozwoju technicznego czują potrzebę wyciśnięcia na nieprzyjacielskim statku znaku zwycięstwa, jest wielkim anachronizmem. Nie mówi nam to o nich nic nowego: już na podstawie ich maszyn, ich metod walki, ich sposobu myślenia mogliśmy się przekonać, że to tylko świetnie wyekwipowani barbarzyńcy. Uważają nas za pokonanych wrogów. Z pewnego punktu widzenia mają rację. Nie wiedzą jednak, iż przez to jeszcze wcale nie zostają zwycięzcami. Teraz już nie wolno nam się spóźnić. Od jutra obowiązuje rozkaz wykonania planu 01. Wygląda na to, że będziemy mieli wystarczająco dużo możliwości — i czasu — by plan ten urzeczywistnić w najdoskonalszy, najdokładniejszy sposób.

Jeszcze tego dnia statek wszedł w regiony układów całkowicie zdobytych przez Obcych, jak to mógł sprawdzić dowódca na mapie gwiazdnej rekonstruowanej na podstawie danych z Memona. Od czasu do czasu przynależność ich statku wykazywały w wielkich odległościach obecność sztucznych obiektów sterowanych, podążających po trajektoriach łączących sąsiednie układy gwiazdne i nie zwracających najmniejszej uwagi na ich obecność.

Na jednej z bardzo odległych gwiazd zaobserwowali dziwne wybuchy, z których ostatni oderwał od gwiazdy prawie jedną dziesiątą jej masy. Dwóch astronomów statku nie mogło się zgodzić co do tego, czy obserwowali wybuch naturalny czy też spowodowany sztucznie.

W południe dowódca zażądał zestawienia danych na temat prędkości przyspieszenia i kursu z ostatnich trzech dni. Przez godzinę zamknawszy się w kabinie wykonywał jakieś obliczenia, a następnie wezwał resztę załogi. Na stole przed nim leżała otwarta koperta.

— Mamy jeszcze przed sobą cztery dni. Za pół godziny wchodzi w życie rozkaz wykonania planu 01. Każdy znajdzie tu na moim stole kopertę, przeznaczoną imiennie dla niego. Proszę je rozpieczętować.

Zapanował lekki gwar, rozdzielono koperty, potem słychać było szelest ostrzy, rozcinających papier. Nastąpiło kilka minut ciszy, każdy czytał kilkustronicowy zestaw imiennie skierowanych poleceń.

Dowódca odczekał, aż ostatni odłożą koperty. Potem odezwał się:

— Na temat rozkazu nie potrzebujemy nic mówić, chyba się co do tego zgadzamy. — Umilkł na chwilę i kiedy nikt się nie odezwał, tylko kilku skinęło potakująco głowami, ciągnął dalej: — Rozpocznam wykonywanie planu.

Dowódca wziął ze stołu pudełko z mikrokryształem opatrzone etykietą „Wielka Wędrówka”, przeszedł przed szeregiem milczących astronautów na korytarz i wrzucił zestaw kryształów do otworu urządzenia do spalania śmieci umieszczonego przy jego kabinie. W ułamku sekundy kryształy rozpadły się na atomy, a z pozostałego po nich niezwykle drobnego szarego popiołu żadną metodą nie można było nawet stwierdzić, jaki był stan skupienia spalonego materiału.

W otaczającej ich przestrzeni o objętości dwóch lat sześciennych rozległ się w tym momencie niepojęty dla ludzkiego rozumu, nieuchwytny dla wszelkich stworzonych przez człowieka przyrządów rozkaz:

— Sztuczny przedmiot nieznanego pochodzenia przetransportować na drugą planetę Ogga. Istoty żywe dostarczyć w stanie nie uszkodzonym — powtarzam: nie uszkodzonym.

W nie nadającej się do oddychania atmosferze dalekiej planety, wśród metanowych obłoków kłębiących się ponad powierzchnią zastukało skomplikowane urządzenie i baza sterująca potężnymi wiązkami energii odpowiedziała w tym samym języku:

— Już schwytni. Są słabi. TRRG zwycięża.

We wnętrzu ledwie stumetrowego statku załoga obserwowała, jak dowódca wrzuca do otworu spalarni odpadów starannie strzeżone dokumenty statku. Ich los podzieliła biblioteka dowódcy. Jedenastu ludzi pomogło dowódcy w opróżnieniu jego kabiny, a następnie rozdzieliło się, by każdy mógł zacząć wykonywać polecenia z zapieczętowanych kopert.

Statek patrolowy nieodwracalnie dryfował w stronę nieznanego celu. Za biblioteką dowódcy do spalarni trafiły wszystkie zapisy słowa i obrazu, mapy gwiazdne i przyrządy nawigacyjne. Dwunastu ludzi pracowało dniem i nocą, zastępując pigułkami jedzenie i sen. Ich zadanie składało się tylko z jednego punktu: dzieląc cały statek między siebie, według instrukcji z kopert, unicestwiali całe wyposażenie jednostki. Byli w załodze tacy, którzy dopiero teraz zrozumieli, po co tak niewielki pojazd miał zainstalowane dwa tak duże spalacze–dezintegratory. Po materiałach zapisanych zaczęto do dwóch otworów wielkości człowieka nosić wszystkie dające się zdemontować elementy wyposażenia statku. Młody kadet, który był w składzie załogi, miał teraz okazję przekonać się, że na tym statku wszystkie elementy da się zdemontować.

Tymczasem w otaczającej ich przestrzeni już podążał w stronę drugiej planety gwiazdy Ogg nowy rozkaz:

— Nadchodzi transport z żywymi istotami. Cel: stwierdzenie pochodzenia, określenie typu biologicznego i cywilizacyjnego, analiza poziomu inteligencji i potencjalnej siły bojowej.

Automaty odpowiedziały:

— Wykonanie polecenia w chwili nadejścia transportu przygotowane. Na planecie Ogga rozpoczęło działanie automatyczne laboratorium głównego sztabu. Wypełniły się odczynnikami nie używane od tysięcy lat analizatory chemiczne, samoorganizujące się automaty myślące zaprogramowały pytania dla elektronicznych psychoanalizatorów. Maszyny do wiwisekcji otrzymały nowe, ostre powierzchnie tnące. W przestrzeń poszedł meldunek:

— Jeszcze dwa dni.

Na statku dowódca i dwóch członków załogi miało pieczę nad kabiną o niezwykle odpornych ścianach. Była ona przez cały czas podróży zaplombowana i tylko dowódca znał jej

przeznaczenie. Jej ściany wykonane były ze stopu, który wytrzymać mógł nawet wybuch jądrowy w bezpośredniej bliskości.

Załoga zdemontowała i po kawałku zniszczyła w spalarni całe niepotrzebne już urządzenia sterujące statku, jego napęd, wszystkie części wyposażenia, potem wieloletnie zapasy żywności, wreszcie nawet swoje ubrania. Z całego statku pozostała tylko pusta metalowa powłoka, kilka ścianek działowych, jeden klucz, dwunastu ludzi i trochę pigułek.

Dziewiątego dnia od zauważenia ingerencji Obcych dowódca znów zwołał swoich ludzi. Kilka minut stali wszyscy w milczeniu przy spalarniach, potem dowódca otworzył właśnie tym jedynym kluczem drzwi specjalnej kabiny znajdującej się między spalarniami, klucz wrzucił do otworu spalarni i pociągnął do siebie umieszczoną w ścianie czerwoną dźwignię.

6

Na drugiej planecie układu Ogga, na siódmym piętrze Trrga coś zasygnalizowało w chwili wybuchu odczucie odrazy.

To, co przekazało takie odczucie i co można by — przez nieskończenie daleką analogię — porównać do układu wegetatywnego naszych kręgowców, było ogromnym organizmem, czulszym i bardziej wydolnym od tego układu wiele tysięcy razy. Zajmowało trzy piętra Trrga, a głównym zadaniem była percepcja na astronomiczne odległości w przestrzeni i w czasie oraz coś, co z braku innego określenia można by nazwać myśleniem. Trrg uważał to raczej za swój trzynasty zmysł, rodzaj dwukierunkowej pamięci, zdolnej do przeglądania przeszłości i przyszłości oraz określania ich związków. Zmysł ten był niezwykle czuły, lecz istniały jednak granice jego zdolności, jeśli chodzi o przyszłość. Zawsze trzeba się było liczyć z dość dużym marginesem niepewności. Odczucie, które teraz dotarło — z którym ostatnio spotkał się tysiące lat temu — było tak słabe, tak mało prawdopodobne, że mechanizm świadomego myślenia Trrga po prostu je odrzucił.

Dlatego właśnie Trrg nie dowiedział się, że po raz pierwszy w nieskończonych tysiącletniach swego istnienia poniósł klęskę.

W znanej mu części wszechświata nie było siły, która mogłaby się mu przeciwstawić z najmniejszą choćby szansą zwycięstwa. Dotąd siły takiej nie było też na drugiej planecie układu Ogga, pośród innych Trrgów.

Kiedy wysłany z Eeli statek patrolowy wybuchł w dziewięć eelańskich dni od chwili schwytania go, świadome myślenie Trrga stwierdziło, że wydarzył się wypadek i to w najbardziej niekorzystnym momencie.

Trrg był istotą racjonalną. Zawsze, w każdych okolicznościach wybierał rozwiązania optymalne. Dzięki temu pozostał przy życiu, w odróżnieniu od innych Trrgów, dzięki temu do niego należało pierwszeństwo w podboju kosmosu i dzięki temu mógł się stać nie kwestionowanym panem wszechświata zbadanego przez jego automatyczne pojazdy kosmiczne. W sposób naturalny wynikało stąd, iż jego psychika nie znała, a umysł nie przyjmował możliwości popełnienia samobójstwa.

Wybuch unicestwił eelarski statek. Cała sieć techniczna uruchomiona przez Trrga zdolna była tylko do wyśledzenia i zebrania kilku części rozproszonych na wielkiej przestrzeni. Istota myśląca kierująca statkiem miała bardzo słabą powłokę — Trrg myślał o pojedynczej istocie: w jego aparacie pojęciowym nie mieściło się współdziałanie w jednym celu wielu jednakowych istot. Istota musiała mieć słabą powłokę, bo nie zostało z jej masy nic, na podstawie czego można

by wnioskować na temat materiału, z jakiego była zbudowana, jej rozmiarów lub metabolizmu. Mimo to badanie można było uznać za ukończone sukcesem. Roboty odzyskały jedyną pozostałą część statku: zamknięty sześcian, który służył obcej istocie za laboratorium, dzięki czemu jego pancierz chroniący przed promieniowaniem wytrzymał wybuch. Z wymiarów pomieszczenia oraz jego zawartości można było określić, że istoty tamtego gatunku mają zaledwie około dziesięciu metrów wysokości, oddychają fluorem, na którym opiera się ich łańcuch metaboliczny, przeciętna temperatura planety, na której żyły, jest trzykrotnie wyższa od temperatury wrzenia wody, a planety tej należy szukać w układzie białego olbrzyma.

Na podstawie tych danych dziewiąte piętro Trrga opracowało plan odnalezienia planety i jej likwidacji. Spotkanie z obcymi cywilizacjami musiało się skończyć tylko takim rezultatem.

Trrg wydał robotom polecenia. Określił w nich, co mają robić na jednej i drugiej półkuli planety słońca Ogg, co w okolicach sąsiedniej gwiazdy Xyq, a co w odległych rejonach Drogi Mlecznej. Wydawał tylko rozkazy, sam bowiem nie mógł opuścić drugiej planety Ogga, na której miliony lat temu wydarzył się cud powstania życia i po milionach lat powstały pierwsze Trrgi. Nie potrafił nawet przekroczyć granicy skalistego płaskowyżu, na którym się znajdował. Wśród licznych umiejętności Trrga od tysiącleci już nie było zdolności do zmiany miejsca.

Roboty usuwały z zewnętrznych warstw plazmy jego mózgu obumarłe komórki, automatyczne urządzenia wzmacniakowe czuwały nad tym, by wyemitowane przez stojącego za łańcuchem górskim bratniego Trrga promieniowanie kontaktu seksualnego dotarło na miejsce przeznaczenia i zapłodniło wewnętrzne warstwy plazmy gotowe do podziału. Roboty hodowały na planecie zwierzęta dostarczające białka, roboty uprawiały rośliny służące za paszę zwierzętom. Roboty prowadziły badania naukowe, roboty odkrywały dla niego otoczenie planety oraz dalsze rejony kosmosu. Roboty opracowywały coraz to nowe rodzaje broni, roboty prowadziły wojny przeciw robotom innych Trrgów. Roboty produkowały inne roboty.

Mimo że pola optyczne położone na najwyższych piętrach potrafiły reagować na widma spektralne odległych gwiazd, to granicą bezpośredniej obserwacji wizualnej na własnej planecie był dla Trrga widnokrąg. Na jego skraju Trrg widział tylko najwyższe piętro swego bratniego sąsiada. Trrg wiedział zresztą, że tamten może być tylko chwilowo sojusznikiem — rosnąca siła chronionego tym związkciem sąsiada zaczynała już dla niego stanowić problem. Wiedział dobrze, że w krytycznej chwili tylko ten z nich dwóch pozostanie przy życiu, który pierwszy zdecyduje się na atak i wybór nowego partnera.

Pośród pojęć znanych Trrgowi nie istniały czasy, kiedy nie było go jeszcze tu, na tym skalistym płaskowyżu. Uważał się za wiecznego, on istniał zawsze. Zawsze podejmował decyzje we właściwej chwili. Jego potęgą w minionych tysiącleciach stale rosła.

7

Byt równoznaczny był z nieprzerwanie rosnącą potęgą. Potęga rodziła się ze zwycięstwa nad innymi Trrgami.

Kiedyś, przed wieloma tysiącami lat liczba Trrgów na planecie była ośmiokrotnie większa, licznie powstawało ich potomstwo. Kiedyś, bardzo dawno temu, nadeszła chwila, w której wszystko musiało się rozstrzygnąć. Broń była gotowa do użycia. Byli wtedy jeszcze tacy, którzy przepowiadali, że tamten kryzys rozstrzygnie los całego gatunku Trrgów i jeśli użyta zostanie siła, to los ten zostanie przypieczętowany na zawsze.

Dziewiąte piętro Trrga pomyślało teraz o tamtych przepowiedniach. Nie sprawdziły się,

zresztą nie mogły się sprawdzić. Były one wymysłami słabych. On wybrał walkę, słabi już nie istnieją, a on przeżył już tysiąclecia, a z każdą chwilą potęga jego rosła.

Pierwsza wojna termojądrowa rozegrała się o niewielkie złoża rud metali rzadkich. Trwała siedemdziesiąt sekund. Pokonani przestali istnieć, ich uzbrojenie przejęli zwycięzcy. Każdy, w kim silny był instynkt życia, myślał już o następnej wojnie i rozpoczynał budowanie złożonych systemów obronnych, doskonalił broń ofensywną oraz tworzył armię robotów. Między odległymi Trrgami powstawały tymczasowe pakti, skierowane przeciwko innym. Potem pakti rozpadały się i dawni sprzymierzeńcy przekształcali się w śmiertelnych wrogów. Wojna stała się permanentna.

W każdym tysiącleciu zdarzał się jeden czy dwa Trrgi, którego system obronny okazywał się nie dość nowoczesny i zostawał przełamany przez najnowsze środki rażenia. Zawsze któregoś ścierało z powierzchni planety uderzenie nadchodzące z nieoczekiwanego kierunku. Tymczasem tysiąclecia mijały nieubłaganie. Nie można już było myśleć o budowie potomstwa: nie mogłoby się ono obronić podczas stuleci wzrostu. Liczba Trrgów zmalała do jednej ósmej liczby sprzed pierwszej z wojen.

Trrg nie obawiał się. Należał do trzech najpotężniejszych, do tych, którzy dysponowali siłami zbrojnymi i stałymi bazami także poza układem gwiazdy Ogg. Miał tylko jeden cel w zdobywaniu układów gwiazdnych: chciał je zostawiać za sobą nieme, chciał mieć pewność, że pozostają po nim tylko układy wymarłe. Czasami jego armie robotów potykały się z armiami innych Trrgów, walcząc o hegemonię nad planetą lub sektorem przestrzeni kosmicznej. Stopniowo wytworzyły się w miarę ostateczne podziały graniczne i ustaliły strefy dalszych podbojów. Wtedy to opracował dokładne plany dla Memonów. Jego armia zabezpieczała go od niespodziewanych ataków z przestrzeni kosmicznej. Z nieubłaganą pewnością siebie wiedział, że to on będzie tym spośród nich trzech, który po pewnym czasie przejmie obszary dwóch pozostałych.

Nie bał się. Jego świadomość zgniotła przekazywane przez trzynasty zmysł słabe uczucie odrazy. Nie łączył jej zresztą w żaden sposób z tą oddychającą fluorem, małą, zaledwie dziesięciometrową istotą, której statek uległ awarii w tak niekorzystnej chwili.

Nie wiedział, że w tej potyczce, którą przegrało dwunastu małych, nie mających nawet po dziesięć metrów wzrostu ludzi, oddychających tlenem na planecie czerwonego karła, na której średnia temperatura nie przekracza nawet jednej trzeciej temperatury wrzenia wody, dwunastu ludzi, których bracia szukali teraz nowej ojczyzny, uciekając przed jego Memonami — że w potyczce tej odniósł już pierwszą porażkę. Nie dowiedział się bowiem o istnieniu gatunku, który czyniła potężniejszym od niego ta właśnie właściwość, iż jego malutcy i słabi przedstawiciele nie walczyli ze sobą, ale gotowi byli poświęcić swoje życie dla dobra gatunku. Nie dowiedział się o tych dwunastu kopertach, w których polecenia kończyły się słowami: *Twój statek dostał się w ręce nieprzyjaciela. Nie wolno mu dowiedzieć się niczego o naszym pochodzeniu. Eela prosi cię teraz o najcenniejsze, co możesz ofiarować: o twoje życie.*

* * *

Wiele było Trrgów, wielu śmiertelnych wrogów. Niebezpieczeństwa oczekiwali jeden od drugiego, zresztą słusznie.

Sens ich życia sprowadził się stopniowo do jedyne go celu: przetrwania. Wszystkie zmysły Trrga służyły temu celowi. Myślenie o tym, jak przetrwać, wypełniało go stopniowo przez całe tysiąclecia, aż wreszcie zlało się w jedno z instynktem życia, wypierając wszystko inne.

Jego złożony system percepcji i oceny nie był zdolny do wyrwania się z zaklętego kręgu myśli

o bycie i sposobie przetrwania. Po prostu nie potrafił myśleć o niczym innym. Nie podejrzewał więc, że niejasny sygnał jego trzynastego zmysłu pamięta tę chwilę z przyszłości, kiedy to na drugiej planecie gwiazdy Ogg wylądował pierwszy statek Eelarów.

Trrg tylko istniał, nic więcej, tak samo jak inne Trrgi. W miarę jak malała ich liczba, stawały się wrogami coraz bardziej zaciętymi, coraz okrutniejszymi i niezniszczalnymi. W tym zdeformowanym świecie z żelazną logiką działało prawo doboru naturalnego, dając tak potworne rezultaty.

Coraz więcej miejsca zajmowały na jego wyższych piętrach ośrodki pamięci przechowujące banki danych o wszystkich Trrgach planety, z ich pełnymi charakterystykami i opisami systemów obronnych. Cała oddzielna elektroniczna sieć nerwowa prowadziła stałą analizę tych danych w odniesieniu do aktualnej sytuacji. Dobrze wiedział o podobnych układach innych Trrgów, znał dokładnie ich możliwości. W miarę rozwoju broń i systemy obronne upodobniały się do siebie coraz bardziej. Ich rozwój określały i pchały w tym samym kierunku takie same obiektywne prawa natury. Na pewnym stopniu rozwoju przeciwników sytuacja ustaliła się — nastąpiło coś, co my na Ziemi nazywamy patem w szachach. Czas jest jednak ogromną siłą sprawczą. W otoczeniu Trrgów oraz w stopniu indywidualnej gotowości każdego z nich zachodziły niemal niedostrzegalnie małe zmiany. Na podstawie prawa wielkich liczb czasami któryś z Trrgów otrzymywał sygnał ze swojej sieci rozpoznawczej: inny Trrg, stojący na oznaczonej pozycji, może zostać zniszczony w pewien konkretny sposób, z danego kierunku, na przykład w ciągu najbliższych trzech godzin, bądź tylko przez dwadzieścia sekund. Jednocześnie ośrodki inteligencji opracowywały szczegółowy plan walki i wielowariantowy program ataku. Wtedy trzeba było uderzać bezpardonowo, nie było bowiem innego wyjścia. Takie sytuacje swoistego osłabienia w jakimś punkcie były bowiem odwracalne, i o tym, który spośród Trrgów znajdujących się w takiej sytuacji przeżyje, zależało często tylko od tego, który z nich ma szybszą sieć rozpoznawczą, od takiej właśnie przykładowej dwudziestosekundowej przewagi czasowej. Trrgi nie mogły się więc wahać. I on nigdy się nie zawahał. Historia przyznawała rację właśnie jemu. Liczba Trrgów malała, ale on istniał.

Pilnował także zdobytych obszarów wszechświata. Interesowała go w nich tylko jedna jedyna rzecz. Dzięki badaniom prowadzonym przez całe stulecia, eksperymentom oraz rachunkowi prawdopodobieństwa określił dokładnie zestaw warunków wymaganych do powstania życia na jakimś ciele niebieskim, niemal każdej jego formy. Nie szukał całkowitej pewności powstania, jego inteligencja stała wyżej niż taki problem. Wiedział, że życie może przejawiać się w tak ogromnym bogactwie form, iż nie mógłby kontrolować wszystkich możliwości. Jego obliczenia w rezultacie można było wyprowadzić ze znanych mu faktów, a jest rzeczą nieuniknioną, iż były fakty, których nie znał. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wszechświat jest nieskończony i tak samo nieskończona jest liczba możliwych kombinacji warunków życia w kosmosie. Fakty ograniczały jego fantazję, nie mógł sobie przyswoić tak irracjonalnego pojęcia, jak nieskończoność.

Kiedy już określił na podstawie nielicznych danych fizykochemicznych, jakimi dysponował, warunki powstania życia, zaczął pracować—nad zabezpieczeniem się przed powstaniem gdzieś takich warunków wszystkich jednocześnie i na stałe. Systematycznie przebadał całą przestrzeń pozostającą pod jego panowaniem. Wszędzie usunął jeden lub dwa ze sprzyjających warunków: ten, którego likwidacja pociągała za sobą najmniejszy wydatek energetyczny. Likwidację taką powtarzał automatycznie w regularnych odstępach co kilka tysięcy lat. Nie musiał tego robić za często: powstanie życia nie jest procesem zachodzącym z dnia na dzień. W ten sposób działał z wielokrotną rezerwą bezpieczeństwa.

To samo robiły pozostałe dwa Trrgi.

8

Mijały wieki i tysiąclecia.

Na miejscu bratniego Trrga za grzbietem górskim widniał od niepamiętnych czasów głęboki krater, z resztkami metalu zamienionymi w bezkształtną, zakrzepłą lawę na dnie.

Teraz pozostawał w związku seksualnym z Trrgiem stojącym na drugiej półkuli planety, na brzegu zatoki chronionej od strony ładu półkolem gór. Fale wiążące Trrgi transmitowane były przez stację przekaźnikową na pokładzie satelity telekomunikacyjnego, umieszczonego na stacjonarnej orbicie nad równikiem planety. Niełatwo zdecydował się na ten wariant. Fale te miały dla istot ich gatunku życiowe znaczenie i nie było jeszcze dotąd wypadku, by ich przekazywanie powierzać sztucznym urządzeniom. Najbardziej niezawodne urządzenie może ulec awarii, bądź też sabotażowi przeciwnika. Ale podczas podejmowania decyzji wiedział, że musi podjąć ryzyko. Tylko przy użyciu rewolucyjnie nowych rozwiązań może utrzymać swą wyjątkowo korzystną, bezpieczną pozycję.

Jego elektroniczne centrum dowodzenia zameldowało, że on oraz Trrg na antypodach znaleźli się jednocześnie w tym samym punkcie strategii: nie chcą już ryzykować zawierania związków z sąsiadami, a ściślej: nie mogą sobie już pozwolić na to, by zapewnić bezpieczeństwo któremukolwiek ze swych sąsiadów.

Zdecydował się więc na nowe, śmiałe rozwiązanie i raz jeszcze życie przyznało mu rację.

W tym czasie jeden z Memonów przysłał z niedalekiej planety niepokojące zdjęcia. Na swobodnej przestrzeni, w luce między obłokami, na zdjęciu dokonany z przestrzeni kosmicznej widniało coś ledwie dostrzegalnego. Planeta ta znajdowała się tak blisko, była tak dobrze znana — należała do sąsiedniego układu gwiazdy Xyq — że patrolował ją tylko rutynowo. Ta rzecz na zdjęciu coś mu przypominała, niepokojąco przypominała, i mógł określić, co. Centrum elektroniczne porównało obraz ze wszystkimi znanymi dotąd przedmiotami i istotami żywymi — przechowywało w jednostkach pamięci nieskończone wprost ilości materiału zdjęciowego — nie uzyskując żadnego rezultatu. Od początku walk nigdy jeszcze Trrg bądź jego automaty nie napotkały niczego o podobnej formie.

Dokonał nawet rzeczy tak niewiarygodnej, jak dostarczenie zdjęć przed własne czujniki optyczne. I wtedy od razu rozpoznał zjawisko. Od czasu rozpoczęcia się konfliktów jego roboty nigdy jeszcze nie dokonały zdjęcia takiego obiektu — od tego bowiem czasu takie obiekty już się nie pojawiały: był to młody, ledwo rozwinięty poza stan embrionalny, rosnący z roku na rok Trrg.

Oznaczało to, że jeden z dwóch jego konkurentów dysponujących statkami kosmicznymi rozwiązał nierozwiązywalny dotąd problem tworzenia potomstwa poza planetą. Kiedyś osiągnięcie takie oznaczałoby otwarcie przed Trrgami nie zamieszkanymi układów planetarnych kosmosu, a więc możliwość nieskończonego rozwoju i rozprzestrzeniania się. To oznaczało kiedyś. Dziś znaczyło to tylko jedno: najwyższe zagrożenie z najbardziej nieoczekiwanej strony.

Kiedy planeta słońca Xyq wraz z rosnącym na niej życiem została unicestwiona, Trrg podejrzewał, że w chwili tej na zawsze utracony zostaje sekret budowy życia poza ich planetą. Ten, który je budował, popadł w taki stan emocjonalny, że na niedopuszczalnie długi czas stał się możliwy do ugodzenia. Po prostu utracił instynkt samozachowawczy. Zniszczył go inny Trrg. Nie było czasu na rozczulanie się. Nie było rozczulania się. Nie było żadnych uczuć.

To był drugi z Trrgów, który rozciągnął swą potęgę w kosmos. Trzecim był ten na antypodach, sprzymierzeniec i seksualny partner Trrga.

9

I nadszedł dzień, kiedy w eelarskim skafandrze stanąłem na smaganym wichrami skalistym płaskowyżu drugiej planety. Układ słoneczny Ogga znaleźliśmy na podstawie sterowania Memona bez żadnych problemów.

Tak więc staliśmy tu my, małe istoty, na skraju skalistej płaszczyzny, patrząc z niedowierzaniem i zgrozą na pokrytą fantastycznymi dla naszych oczu wypustkami i odnogami, błyszczącą metalem wieżę wielkości góry.

Patrzyliśmy na niego.

Naszym uczonym, ziemskim, a zwłaszcza eelarskim, udało się niedługo potem zrekonstruować przebieg dramatu, który właśnie wtedy dobiegł końca. Eelarowie to urodzeni geniusze naukowcy, zwłaszcza jeśli chodzi o analizy tego typu, ale temat ten starczy zarówno im, jak i naszemu uczonemu na długie lata badań. Dość szybko udało się odkryć istotę całej tragedii, wraz z opowiedzianymi tu głównymi rysami dziejów Trrgów.

Tak się złożyło, że jeszcze raz, już po raz ostatni musiał podjąć decyzję. W świadomej pamięci Trrga natrafiono później na ślady jakichś niepewnych, nie do końca sformułowanych myśli, według których wszystko, co się dotąd zdarzyło, było wielką pomyłką. Może... Może można zacząć po raz ostatni, od nowa, bez broni, wojen i wrogości.

Nadeszła chwila, gdy Trrg i jego sojusznik z drugiej półkuli — związek z nim okazał się bardzo trwały — pozostali sami na całej planecie, sami w całym znanym im wszechświecie. Pokojowo podzielili się strefami kosmosu pozostałymi po Trrgu zniszczonym wraz z jego potomstwem. Nie było to trudne, wszak byli partnerami.

Cały wszechświat należał do nich dwóch. Na planecie ich pozycje wspaniale się umocniły. Pozostałe Trrgi ginęły z częstotliwością rosnącą do kwadratu. Ich sojusz oraz monopol siły uczynił ich nieskończenie odporniejszymi na ataki skierowane z przestrzeni kosmicznej.

Tak więc pewnego dnia zostało ich dwóch. Nigdzie nie powstawało potomstwo. Instynkt samozachowawczy dyktował jako podstawowe, najważniejsze zadanie: gotowość bojową, walkę. Zawarli między sobą układ: nie budują potomstwa. Oznaczało to dla nich obu bezpieczeństwo na rodzinnej planecie, bowiem stwierdzili już w trakcie uprzednich walk, że mogą w pełni kontrolować wszystko, co się na niej dzieje. Z tej strony nie groziło im zaskoczenie. To właśnie było przyczyną, że ich nie istniejący już sąsiad za cenę ogromnych wysiłków wypracował metody budowy potomstwa poza rodzinną planetą. Ale obłoki rozerwały się przed obiektywem kamery w niefortunnej chwili i odkrycie przypadło na zawsze.

Znów w dziejach Trrgów doszło do sytuacji pata, tym razem w specyficznym wariancie.

10

Wieczne życie wypełniających górne piętra formacji mózgu Trrga — a z nim całej istoty — zapewniała ciągła regeneracja warstw plazmy. Nie było to właściwie wieczne życie — przynajmniej z punktu widzenia poszczególnych komórek. Warstwy stare obumierały, oddzielały się, usuwane przez roboty, a na ich miejsce wydostawały się z głębi warstwy nowe, niosące w

swych genach doświadczenia zebrane przez tysiące lat. Trrg był istotą jednopłciową, rozmnażaniu innych istot żywych odpowiadała właśnie ta regeneracja mózgu. Było to rozbudowywanie intelektu, rozwój wiedzy. Istota żyła dotąd, dopóki rosła. W przyrodzie nie ma stagnacji — jest rozwój albo cofanie się. Warunkiem rozmnażania się wewnętrznych komórek mózgowych Trrga było ich zapłodnienie przez nawiązanie łączności z innym Trrgiem drogą emisji promieniowania.

Memony w odpowiednim czasie natrafiły na planetę, której cywilizację kiedyś zniszczyła wojna jądrowa. Systematyczne patrole zabezpieczały przed odrodzeniem się na niej życia: nie napotkały jednak jego najdrobniejszego śladu. Pamięć o statku, który pojawił się kiedyś spoza ich świata, została zepchnięta na dalszy plan wśród walk i problemów.

Pozostali we dwóch. Żyli. Niewiarygodnie wolno płynęły lata. Cały czas poświęcał na kontrolę swych wysuniętych pozycji i stałe patrolowanie zdobytych planet.

I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, nadeszła chwila, na którą czekał przez niezliczone sekundy tych długich lat: jego urządzenia elektroniczne zasygnalizowały, że z powodu niezwykłego stanu jonosfery planety cała orbita, z której można będzie niepostrzeżenie uderzyć od strony morza na ostatniego nieprzyjaciela, znajdzie się w cieniu radarowym. Miał sekundy na podjęcie decyzji. Niemożliwość wykrycia broni globalnego rażenia poruszającej się po tej zacienionej orbicie mogły wykorzystać obie strony. On uzyskał tylko — z racji położenia geograficznego — handicap czasowy: jego urządzenia wykryły zjawisko przed urządzeniami Trrga z antypodów.

Jego ogromne układy mózgowie przyzwyczajone były przez minione epoki do tego, iż życiowe decyzje muszą być podejmowane w ułamku sekundy. Teraz stały przed decyzją najtrudniejszą.

Wykorzystał do ostatniego ułamka czasu pozostający do jego dyspozycji, narażając się tą zwłoką niemal na bezpośrednie zagrożenie swego istnienia.

Rozpatrzył teraz wszystko. Po raz pierwszy pojawiła się dramatyczna niepewność: na przekór wszystkim doświadczeniom przeszłości, przyznającej mu dotąd zawsze rację.

Teraz była ostatnia szansa. Nie uderzać, a spróbować niemożliwego: zawarcia pokoju. Gdyby zawiadomił przed upływem pozostałego mu czasu drugiego Trrga, dowiódłby przekonująco: oto miałem możliwość cię zniszczyć. To, że z niej nie skorzystałem, dowodzi, że szczerze pragnę pokoju.

Czas skończył się. Na jego posłanie, którym zdemaskowałby ich wzajemną bezbronność, może przyjść odpowiedź w postaci jednego ciosu. Wtedy to na jego miejscu pozostanie krater ze stopioną masą metalu na dnie.

Trrg podjął decyzję, choć już w tym momencie był o czymś przekonany.

Na dane przyniesione przez Memona, odesłanego siłą z Igo–Vandara, nie zwracał już uwagi. Nie musiał się nimi przejmować, miał to już za sobą. Jego automatyczne centrum dowodzenia wysłało — na podstawie uprzednio wydanych rozkazów — trzy maszyny bojowe w celu zniszczenia przeciwnika. Dane wprowadzone do Memona na Nowej Eeli nie mogły zmienić tych wcześniejszych rozkazów. Centrum wysłało swoje siły zaczepne.

Wytyczona z góry marszruta maszyn obowiązywała tylko do pewnego punktu. Potem flotylla musiała nawiązać bezpośrednią łączność z Trrgiem, w celu otrzymania dalszych rozkazów.

Ta faza wykonania zadania nastąpić miała w okolicach układu Yarnoda. Maszyny zwróciły się z powtórnyim żądaniem wydania poleceń taktycznych.

Odpowiedź — przekładając ją na język schematów ludzkiego myślenia — brzmiała: „Rób, co chcesz”.

Oczywiście automatyczne urządzenia bojowe nie chciały niczego robić same z siebie. Były

zdolne do unicestwiania całych światów, ale nie dysponowały wolną wolą. Tak nielogiczne polecenie wywołało w ich jednostkach sterujących zakłócenia, co spowodowało bezwładny tor lotu.

To ostatnie polecenie — które mogłoby nam wiele powiedzieć — zostało w myśl wcześniejszych rozkazów dokładnie skasowane, ze wszystkim, co mogłoby naprowadzić na ślad bezpośredniej łączności.

Anteny maszyn zwróciły się po rozkazy w kierunku Igo–Vandara i automaty posłusznie wylądowały, nie wykazując żadnego oporu.

Trrg nie mógł już uwzględnić meldunku Memona wracającego z dalekich obszarów kosmosu.

Decyzję podjął wcześniej.

Niedługo potem staliśmy na smaganym wiatrami skalnym płaskowyżu, u stóp wieży–Trrga, my, pasażerowie pierwszego eelarskiego statku, który tu wylądował.

Patrzyliśmy na niego.

Stał tam niewzruszony, bezsilny, skręcony w przerażającej, nieruchomej agonii, otoczony przez zgromadzone u jego stóp, zniszczone przez siebie nawzajem szczątki niemych robotów.

Jeszcze żył. Telepatyczne odbiorniki moich eelarskich przyjaciół wykryły za krępującymi go jak pancerz zrogowaciałymi zewnętrznymi warstwami mózgu ostatnie przebłyski myśli. Eelarowie przebili się swymi nadajnikami przez te warstwy, pytając pośpiesznie: „Jak ci możemy pomóc? Prosimy o rozkaz: co dla ciebie zrobić?”

On jednak — choć byłby jeszcze do tego zdolny — nie odpowiadał w swej nieskończonej pysze. Wiedział, że jego jedyną odpowiedzią mogło być tylko: „Za późno”. Za późno nie było jeszcze wtedy, kiedy podejmował decyzję, tysiąc lat temu — ale podjął ją i na drugiej półkuli pozostały do dziś szczątki tamtego. Nie będzie się teraz zdradzał ze swą słabością przed tymi małymi, odrażającymi robaczkami.

Teraz bowiem uświadomił sobie, dlaczego jego trzynasty zmysł zareagował kiedyś odrazą na zagładę, obcego statku.

Przeczuł wtedy przyszłość: tę właśnie chwilę spotkania, do którego doszło zaledwie tysiąc lat po tym, jak w wyniku bezlitosnej decyzji zniszczył swego ostatniego wroga na drugiej planecie słońca Ogg i nie było już innego Trrga — nigdzie i nigdy, na zawsze — którego promieniowanie zapłodniłoby rodzące się nowe komórki plazmy jego mózgu.